

ZRZUTKA NA KAPELĘ, CZYLI AWANTURA O EMERYTURY ARTYSTÓW

UWOLNIĆ KUBĘ! AMERYKA W BLOKACH STARTOWYCH



JAK FERRARI SPRZEDAŁO CHIŃCZYKOM DUSZĘ

KABARET OT.TO: „UŚMIECHNIĘCI" NIE ZNAJĄ SIĘ NA ŻARTACH

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

24 (706) 2026
8–14 czerwca 2026

CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

ZEŁENSKI I ORZEŁ BIAŁY

CO POLSCY EKSPERCI ODKRYLI NA WOŁYNIU I CO CHCE UKRYĆ RZĄD TUSKA

EKSHUMACJA I BADANIA POTWIERDZAJĄ RELACJE ŚWIADKÓW O WYJĄTKOWO OKRUTNEJ ŚMIERCI POLAKÓW Z RĄK BANDYTÓW Z UPA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

9 772544 269601 24

Numer w sprzedaży do 15 VI 2026 r.

wPolsce24

NIE MA NAS W TWOIM TELEWIZORZE?

Zacznij działać! Naciskaj na swojego operatora telewizji kablowej.

Dzwoń, pisz, przekaż mu kontakt do nas:

operatorzy.kablowi@wPolsce24.tv

Im więcej zgłoszeń otrzyma operator, tym szybciej Ty i Twoi bliscy będziecie mogli oglądać wPolsce24.

Informacje o lokalnych i regionalnych operatorach tv:
www.wpolsce24.tv/gdzie-nas-ogladac



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube TelewizjawPolsce24
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	

Wydawca „Sieci”– Fratria Sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni – niniejszym przeprasza Pana Tomasza Piątka, autora książki pt. „Macierewicz i jego tajemnice” za naruszenie Jego dóbr osobistych w postaci godności oraz dobrego imienia, w artykule „Konfabulacje i nonsensy Tomasza Piątka”, który ukazał się w tygodniku „Sieci prawdy” dnia 18 września 2017 r. (nr 38/2017). Powyższe oświadczenie publikowane jest w wyniku przegranego procesu sądowego.

eprasa.pl d07dcb0daa

Nie takiego Zełenskiego odznaczył Andrzej Duda

Na czyn należy odpowiadać czynem. Nie dziwi więc decyzja prezydenta Karola Nawrockiego o odebraniu Wołodymyrowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego. I nie ma w tym chęci politycznej zemsty. To jedynie przejaw odpowiedzialności za powagę i tożsamość państwa. Jeśli ktoś jawnie wyraża niedojrzałość do posiadania najwyższego polskiego odznaczenia, sam siebie wyklucza z zaszczytnego grona kawalerów orderowych. Warto też pamiętać, za co prezydent Ukrainy otrzymał ten order z rąk Andrzeja Dudy.

Nie ma pełnego pojednania bez prawdy. Relacje Polski z sąsiadami są niezwykle trudne. Najczęściej dlatego, że agresorzy próbują wyprzeć się swoich win i tkać historię na kanwie niepamięci. Niezrównani są w tym oczywiście Niemcy. Od dziesięcioleci nie możemy także dojść do porozumienia z Ukrainą, która nie chce przyjąć do wiadomości prawdy o ludobójstwie wołyńskim. Dokonując piekielnej rzezi, z niewyobrażalnym okrucieństwem Ukraińcy wymordowali ok. 100 tys. Polaków, których miejsc spoczynku nie znamy do dziś. I choć wielokrotnie występowaliśmy z wnioskami o ekshumacje, wciąż nie otrzymaliśmy zgody na większość z nich.

Ukraińcy mają własną wersję tych wydarzeń. Próbują przekonywać, że „takich masakr dokonywali również Polacy", a Stepana Banderę i jego zbrodniczą formację OUN-UPA uważają za bohaterów. Dlaczego? Być może świadomość historyczna tego postsowieckiego kraju bazuje na niewiedzy i indoktrynacji. Może dlatego, że ten naród nie ma innych bohaterów. Bo w końcu dzieje zachodniej Ukrainy to w dużej części dzieje Polski, z której nas wypędzono. Ukraińcy nie chcą pamiętać, że Lwów był miastem polskim, nie wspominają pogromu Lwowa i próbują zatrzeć pamięć o Orlętach Lwowskich. Niepamięć ma ich chronić.

Andrzej Duda podnosił sprawę ekshumacji na Wołyniu od pierwszych dni swojej prezydentury, podobnie jak rząd PiS. Starania o zgodę na poszukiwania w Hucie Pieniackiej trwają od 2019 r. i udzielono jej dopiero w ubiegłym roku. W 75. rocznicę rzezi prezydent złożył wieniec w miejscu nieistniejącej dziś polskiej wsi Pokuta. Podkreślił, że w 1943 r. Ukraińcy dokonali tam „zwykłej czystki etnicznej", której celem było całkowite usunięcie Polaków.

Wybuch wojny na Ukrainie nieco przygasił rozmowy o zbrodni. Stanęliśmy wtedy w gotowości, by pomóc sąsiadom zaatakowanym przez Rosję. Bezdusznością byłoby wówczas stawianie warunków udzielenia pomocy w zamian za rozliczenie historii. W książce „To ja" Andrzej Duda opisał, jak wyglądał dialog z Zełenskim o tych sprawach. Nie mógł być łatwy, skoro ukraiński prezydent przyznaje, że jego pierwszym językiem jest rosyjski, ukraińskiego zaczął się uczyć, gdy był dorosły, a o zbrodni wołyńskiej dowiedział się dopiero jako prezydent.

Być może stan świadomości Zełenskiego naprawdę tak wyglądał. Wielu Ukraińców dowiadywało się o rzezi wołyńskiej dopiero, gdy zatrzymali się w polskich domach, uciekając przed Rosją. Dziś jednak prezydent Ukrainy tę wiedzę już posiada. Świadomie zdecydował więc o nadaniu ukraińskiej jednostce wojskowej imienia Bohaterów UPA. Nie można bardziej ubliżyć pamięci bestialsko pomordowanych Polaków. Czy to przystoi kawalerowi Orderu Orła Białego?

Andrzej Duda uhonorował go w kwietniu 2023 r. „w uznaniu znamienitych zasług w pogłębianiu przyjaznych i wszechstronnych stosunków między Polską a Ukrainą, za rozwijanie współpracy na rzecz demokracji, pokoju i bezpieczeństwa w Europie oraz niezłomność w obronie niezbywalnych praw człowieka". Wtedy relacje z Polską były naprawdę przyjazne. Wydawało się, że mamy do czynienia z nowym otwarciem, że będziemy mogli wspólnie dojść do prawdy historycznej, pojednania i upragnionego pochowania ofiar.

Kilka miesięcy później Zełenski pokazał swoje prawdziwe oblicze na forum ONZ. Już wtedy patrzył w stronę Berlina. Oziębiły się relacje z prezydentem Dudą, a roszczeniowość Zełenskiego przeniosła się na postawę wielu Ukraińców. Dziś jesteśmy jeszcze dalej. Prezydent Ukrainy zaatakował najbardziej wrażliwy obszar polskiej pamięci. Zamiast oddania czci bestialsko pomordowanym ofiarom UPA, nastąpiło uhonorowanie „bohaterów UPA". Nie sposób głębiej wbić sztyletu zatrutej niepamięci. Nie za taką postawę prezydent Duda odznaczył Zełenskiego. Ta obecna najzwyczajniej nie licuje z godnością kawalera Orderu Orła Białego. Dlaczego więc mielibyśmy legitymizować antypolskie postawy najbardziej polskim odznaczeniem?

Marzena Nykiel



Autopromocja

eprasa.pl d07dcb0daa

SIECI

spis treści



24 Mózg Kosiniaka-Kamysza
Stanisław Janecki



27 Bąkiewicz skazany, Lempart i Suchanow uniewinnione
Marzena Nykiel



50 „Dobry populista" zaostrza kurs
Aleksandra Rybińska

NA POCZĄTEK

5 **LEKCJA POLITYKI**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PLANOWE NISZCZENIE SZKOŁY**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **WAKACJE POD ZIELONO--UNIJNYM PARASOLEM**
Daniel Obajtek

13 **KOBIETY, RADYKALNY ISLAMIZM I HIPOKRYZJA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA MAŁGORZATY GAŁKI**
Michał Korsun

16 **BYŚ SIĘ WSTYDZIŁ!**
Jan Pietrzak

16 **ZAMIAST PODZIELIĆ, POŁĄCZYŁ**
Samuel Pereira

17 **PRZEKROCZONO GRANICĘ POLSKIEJ CIERPLIWOŚCI**
Arkadiusz Mularczyk

18 **ZBLATOWANIE BENEFICJENTÓW!**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **BANDEROWSKI KNEBEL**
Marcin Wikło

KRAJ

24 **MÓZG KOSINIAKA-KAMYSZA**
Stanisław Janecki

27 **BĄKIEWICZ SKAZANY, LEMPART I SUCHANOW UNIEWINNIONE**
Marzena Nykiel

30 **W OGONIE EUROPY**
Piotr Gursztyn

32 **ZRZUTKA NA KAPELĘ**
Konrad Kołodziejski

OPINIE

35 **POLITYKA NIE MOŻE ZABIĆ KABARETU**
Z Ryszardem Makowskim i Andrzejem Tomankiem rozmawia Jerzy Szmit

ŚWIAT

38 **OPERACJA „SILNI, ZWARCI I GOTOWI"**
Marek Budzisz

42 **OSTRZEŻENIE PRZED NOWĄ WIEŻĄ BABEL**
Grzegorz Górny

44 **UPADEK WIERZGAJĄCEGO KONIA**
Dariusz Matuszak

47 **CZY BĘDZIE WYZWOLENIE KUBY?**
Jan Rokita

50 **„DOBRY POPULISTA" ZAOSTRZA KURS**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

52 **SZARŻA POD ROKITNĄ: LEGENDA POLSKIEJ KAWALERII**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

55 **POWRÓT DO KOSTIUMU**
Jolanta Gajda-Zadworna

58 **JEDENASTY RAZ DO TEJ SAMEJ RZEKI**
Maciej Walaszczyk

60 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

SPORT

62 **MURAWA USIANA „ZIELONYMI"**
Michał Muzyczuk

PODRÓŻE

66 **MOJE SZLAKI: ALEKSANDRA I GRZEGORZ KOPROWIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **INSYGNIA ŚMIERCI**
Robert Tekieli

70 **ZEŁENSKI WÓDZ**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **ZAPOMNIANE SŁOWO**
Aleksander Nalaskowski

73 **ZADYMY WE FRANCJI I SERCE MAI**
Ryszard Czarnecki

74 **ZAMIAST ODWIECZNEGO PORZĄDKU**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl d07dcb0daa

BRONISŁAW WILDSTEIN

Lekcja polityki

Kłótnia w sprawie nominowania przez prezydenta na stanowisko prezesa Sądu Najwyższego Zbigniewa Kapińskiego dotyczy wyroku w sprawie Lecha Wałęsy z 2000 r. Sąd, w składzie którego zasiadał obecny prezes SN, uznał, że lider Solidarności nie był agentem SB. Uważam, że na tę nominację należy popatrzeć z innej politycznej perspektywy.

Niemniej musimy zacząć od sędziowskiego orzeczenia sprzed 26 lat. Nie było już wówczas wątpliwości co do współpracy Wałęsy z SB. On sam przyznawał się do tego wielokrotnie, by następnie swoim słowom zaprzeczać. Wprawdzie, pełniąc funkcję prezydenta, zniszczył dokumenty na swój temat, które odnalazł, co było poważnym przestępstwem, ale świadków i świadectw pozostało wystarczająco dużo, nawet przed ujawnieniem teczki z szafy Czesława Kiszczaka. Kwestią sporną pozostawały czas i zakres agenturalnej działalności Wałęsy. Dla traktujących sprawę poważnie wyrok z 2000 r. był skandalem.

Czy jednak sąd mógł orzec inaczej? Wielu nawet uczciwych prawników twierdzi, że nie. Deklaruje tak m.in. Małgorzata Wassermann, której nie sposób posądzić o koniunkturalizm. Ustawa lustracyjna była tak skonstruowana, że dowiedzenie współpracy było prawie niemożliwe. Warunkiem jej uznania było świadome działanie na szkodę inwigilowanych. Orzecznictwo w tej sprawie i interwencje Trybunału Konstytucyjnego pogłębiały tylko patologię. Sądy lustracyjne miały zablokować lustrację.

Czy nawet przy takim prawie sędzia nie mógł próbować skupić się na prawdzie i choćby ogłosić zdanie odrębne? Prawdopodobnie tak, ale wiązałoby się to z zanegowaniem swojej kariery.

Od tego czasu Kapiński działał niezwykle uczciwie i odważnie. W ostatnich latach radykalnie sprzeciwiał się podważaniu kompetencji tzw. neosędziów. Orzekł, że mianowany przez Tuska i Bodnara prokurator krajowy Dariusz Korneluk nie jest nim, gdyż na stanowisku tym zgodnie z prawem pozostaje Dariusz Barski. Rozstrzygnięcie to zapadło, kiedy faworytem wyborów prezydenckich był bezapelacyjnie Rafał Trzaskowski. To tylko przykłady postawy sędziego Kapińskiego.

Spośród kandydatów na stanowisko prezesa uzyskał on największe poparcie sędziów SN, co daje szanse na spójność działania tej niezwykle ważnej dla państwa instytucji. Z tego, co mi wiadomo, Kapiński zdobył sobie stosunkowo szeroki szacunek środowiska. Otwiera to perspektywę przezwyciężenia obecnego klinczu wymiaru sprawiedliwości, a jest to jedna z najbardziej dotkliwych bolączek naszego kraju.

Naturalnie Kapiński nie przekona do siebie członków bojówek sędziowskich, takich jak Iustitia czy Themis. Działanie ich jest sprzeczne z konstytucją, która zakazuje przynależności sędziów do organizacji politycznych, związków zawodowych czy działalności niedającej pogodzić się z niezależnością sądów. Fakt, że ich członkowie nie przejmują się tym, pokazuje stopień ich politycznego zacietrzewienia. Pomimo ich determinacji i wpływu nie stanowią oni jednak większości korporacji. Pomiędzy nimi a niewielką grupą odważnych jej przedstawicieli, którzy usiłują przywrócić właściwe, apolityczne funkcjonowanie polskiemu wymiarowi sprawiedliwości sytuuje się większość sędziów. Chcieliby uczciwie wykonywać swoją wyjątkową misję, która rozstrzyga o losach ludzkich, ale nie stać ich, aby przeciwstawić się establishmentowi rządzącemu gildią od czasów komunistycznych i wspieranemu przez układ prawniczy UE.

Kiedy ogół sędziów zorientuje się, że prawnicza oligarchia nie jest już w stanie przywrócić swojego bezwzględnego dyktatu, odwróci się od niej. I to jest stawka gry, której elementem jest mianowanie prezesa SN. Jego wybór powinien być nakierowany na interes wspólny, którym jest przywrócenie praworządności w Polsce.

Dlatego w pierwszym rzędzie należy mieć na względzie nie osobistą nieskazitelność kandydata, która sama w sobie jest bardzo ważna, ale jego kompetencje i możliwości. Wystarczający stopień niezależności i integralności Kapiński zademonstrował w ostatnich latach.

Współczesny konserwatyzm walczy o przywrócenie porządku moralnego w życiu politycznym. Nie oznacza to, że jesteśmy w stanie bezpośrednio wcielać w życie publiczne normy etyczne – gdyby tak było, polityka nie byłaby potrzebna. A jest ona sztuką możliwego.

Przekształcenie wspólnoty, której celem jest obrona swojej korporacyjnej, wpisanej w układ polityczny pozycji, w kierowany etosem korpus sędziowski jest rzeczą niebywale trudną. Po to, aby tego dokonać, należy odwołać się do większości, która ani nie jest tak bardzo zideologizowana, ani uwikłana w partyjne zależności jak jej krzykliwi przedstawiciele. Mogą zrobić to ludzie, do których „zwykli" sędziowie mogą mieć zaufanie. Tacy jak Kapiński. Są to elementarne zasady polityki.

Nie wiadomo, czy i na ile może udać się to przedsięwzięcie. Wiadomo, że jeśli mamy na względzie dobro Polski, musimy je podejmować. I tym, moim zdaniem, kierował się w swojej nominacji prezydent Nawrocki.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d07dcb0daa



Sygnalista nadaje

Zazdrość, roszczeniowa hołoto! ***Donald Franciszek Tusk***, lat 69. Nie lenił się, wiedział, że nie ma darmowych obiadów (nie licząc tych w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i w rezydencji przy ul. Parkowej), a także iż ciężka praca nie popłaca. Dlatego został politykiem liberalnym, a nie populistycznym. Właśnie pojawiły się informacje na temat oświadczenia majątkowego pana premiera i jego emerytury. Pan premier ma trzy emerytury – jedną z Komisji Europejskiej, drugą z ZUS i trzecią belgijską. Pewnie za pracę w EPP. Razem symboliczne 37–38 tys. zł brutto. Oczywiście miesięcznie. Na rękę wychodzi jakieś 29,5 tys. peelenów. Potraficie tak?

Wzruszająca historia wyciskająca łzy z oczu każdego unijczyka polskiego pochodzenia. ***Adam Bodnar***. Czy pamiętacie człowieka? Na pewno pamiętają go niektórzy demokraci starszego pokolenia. A tym, którzy nie pamiętają, przypominamy: to taka mniej owłosiona wersja soft Waldka Żurka. Pan Bodnar był ministrem ds. rozliczeń u zarania epoki demokracji walczącej. Są jednak ludzie, którzy nie zapomnieli jego zasług i usług. Bardzo ważni ludzie. Elita Mocarstwa Moralnego. Pan Bodnar dostał nagrodę o fajnej nazwie – Hambach. Moc komplementów: „Żarliwy bojownik o demokrację", który nieustannie stoi „po stronie wolności i praworządności" (tak jak my ją rozumiemy). Ale trzeba też mocno stwierdzić, że bojownicy i o wolność, i o demokrację powinni zjednoczyć swoje siły. Mamy bardzo dobrą nazwę – Związek Bojowników o Wolność i Demokrację? Prawda, że niesamowita nazwa? PS Nagroda Hambach wiąże się ze skromnym upominkiem – 10 tys. euro. Czyli symbolicznie, nawet na waciki nie wystarczy.

Jeśli chodzi o pieniądze, to przedstawiamy kobietę pracującą, która żadnej pracy się nie boi. Nawet na kolei, nawet za nędzne 340 tys. zł rocznie (żeby to chociaż było miesięcznie). To Agnieszka Gierzyńska-Kierwińska, radna KO z warszawskiej dzielnicy Śródmieście. Zapewne waszą uwagę przykuła druga część nazwiska. Tak, to żona ***Marcina Pogłosa-Kierwińskiego***. Nie jest to jednak nepotyzm. Bo po pierwsze, pani radna ma unikalne, wyjątkowe i niepowtarzalne kompetencje. Jest też bardzo pracowita: „regularnie pojawia się w pracy i jest obecna niemal każdego dnia" – czytamy w prasie demokratycznej. A po drugie, żona to nie rodzina i nie wypełnia statusu osoby najbliższej. Zwłaszcza że Marcin nie pokazuje się z nią, aby złe języki nie plotkowały. Z tego powodu zazwyczaj towarzyszyła mu Magda Roguska, ta blondyna, z którą jeździł na tereny powodziowe. Teraz rzadziej z nią jeździ, bo Magda objęła mandat posła po tym, jak Misiek Szczerba został eurodeputowanym.

Dobro wraca. W rocznicę pamiętnego nawiedzenia Domu Pomocy Społecznej w Nowym Dworze Mazowieckim przez posłankę Kingę Gajewską pod jej biuro poselskie trafił worek ziemniaków. I to dużo większy, niż dostał wtedy od posłanki uszczęśliwiony tak hojnym darem pan Stasio. Wówczas to było 5 kg ziemniorów, a z powrotem do pani poseł Kingi trafił worek

eprasa.pl d07dcb0daa

10-kilogramowy. A jeśli wy, drogie osoby czytelnicze, chcecie odwdzięczyć się pani poseł za jej bezinteresowną kupę serducha, to też możecie dać świadectwo dobra. Ale lepiej przynieście jej czekoladę. Rodzina Gajewskich pasjami uwielbia ten smakołyk. Mogą ją jeść całymi ciężarówkami.

Czasopismo demokratyczne „Newsweek" popadło w pesymizm i kryzys wiary: „Ani Tusk, ani nikt inny w partii nie ma pojęcia, czym obudzić wyborczy entuzjazm Polaków, skoro jedynym celem jest utrzymanie się u władzy pod nieśmiertelnym hasłem anty-PiS" – czytamy na jego łamach. I zadajemy pytanie: co złego i nieaktualnego w anty-PiS? Przecież w centralnych dzielnicach Krakowa, które nie poszły na referendum, w Miasteczku Wilanów, Podkowie Leśnej i Konstancinie-Jeziornie nadal jest ogromny popyt na anty-PiS. Zasłużeni artyści kabaretu, tacy jak np. pan Kryszak, śmieją się wyłącznie z PiS. A oni przecież najlepiej wiedzą, co jest modne. Poza tym przykre jest to, że demokratyczne czasopismo pisze takie rzeczy w rocznicę ukradzionego zwycięstwa Rafała Trzaskowskiego. Mina im zrzednie, gdy tylko dr Kontek skończy przeliczanie głosów.

Dobrze, że w tej praworządnej (tak jak my to rozumiemy) sprawie władzy patrzą na ręce demokratyczni dziennikarze. Marcin Pogłos-Kierwiński (dla przyjaciół „Bobas") otrzymał serię trudnych pytań od redaktor Biedrzyckiej: „Żałuje Pan, że nie przeliczono wszystkich głosów, że podjęto decyzję, by tego nie robić? Że odpuszczono to politycznie?". „Nikt nie odpuścił. To nieprawdziwa teza". „Ale nie wszędzie policzono. I jak teraz w przyszłym roku chce pan przekonać wyborców koalicji 15 października, Koalicji Obywatelskiej, tym słynnym hasłem »Liczy się każdy głos«"? Nie rozumiemy, co śmiesznego było w tej dramatycznej rozmowie, bo prawacy strasznie się chichrają, gdy to oglądają.

Kącik miłośników darknetu i innych dirty pleasures. Wybierz swojego wojownika: OUN-UPA czy NKWD? ***Paweł Kowal*** versus ***Leszek Miller***. Pierwszy zaatakował zawodnik reprezentujący Dynamo NKWD: „W Polsce działa banderowska piąta kolumna. Na czele tego stoi niewątpliwie pan Paweł Kowal, który jest szefem komisji spraw zagranicznych w polskim Sejmie". Riposta była nie mniej mocna: „Piąta kolumna w Polsce, ja na jej czele. Milleroszuria level hard. Proponuję podpytać odbiorcę moskiewskiej pożyczki, kto jeszcze jest w tej piątej kolumnie" – odbił reprezentant Banderstadt UPA.













A teraz z życia z prawicy – Przemuś chce się bawić z Krzysiem i Sławkiem. „Krzysiu, Sławku, wybierzmy wspólnego kandydata na prezydenta Krakowa" – zaapelował. I stała się rzecz zaskakująca. Zazwyczaj młodszaki bardzo chcą się bawić ze starszakami. Tu stało się inaczej – młodszaki zwyzywały starszaka i powiedziały mu, aby spadał na drzewo. Bo Sławek chciałby się bawić z Donkiem, a Krzyś wprawdzie mógłby się pobawić z Przemusiem, ale boi się Sławka.

Jeśli chodzi o Kraków, to na horyzoncie pojawia się mocny demokratyczny zawodnik. Wprawdzie nie chce, ale może będzie musiał. Gdy tylko Kierownik mu rozkaże, to rzuci ciepłe brukselsko-strasburskie pielesze i dla koalicji ratowania rzuci się przez morze. To znaczy przez morze prawackiego hejtu, bo normalnie dojazd jest raczej wygodny. Bartłomiej Sienkiewicz, bo o nim mowa, nazywany przez hejterów pułkownikiem. A dla nas, uniczyków polskiego pochodzenia, to colonel Sienkiewicz. Bo po tym, gdy w Parlamencie Europejskim przetarł się między prawdziwymi Europejczykami, nie można go już nazywać tak pospolicie. Colonel Sienkiewicz – tak będzie ładniej.

Układanki personalno-przedwyborcze w Koalicji Obywatelskiej to temat, który zaczyna być coraz bardziej pasjonujący. W mediach demokratycznych czytamy: „Nie będziemy tęsknić za Klaudią Jachirą, która ma neoliberalne poglądy i nie pasuje nawet do KO – opowiada jeden z posłów KO". A my będziemy tęsknić. Na szczęście są ludzie, którzy nie zdradzili neoliberalizmu. I nie jest to tylko prof. Balcerowicz. Sławek Mentzen przygarnie Klaudię. Razem będzie im przyjemniej nawalać w PiS.

Na koniec wyjaśnijmy nieporozumienia i pomówienia wokół ***Marty Cienkowskiej***. Dziewczyny z Ciechanowa, która została ministrą kultury (dziedzictwa i innych takich tam). Życiowi nieudacznicy rzucili się na nią, gdy ujawniono informację o jej wcześniejszych sukcesach, kiedy była jeszcze biznesłumenką (to feminatyw od słowa „biznesłumen"). Marta świadczyła ważne, strategiczne usługi dla warszawskiego ratusza. Otrzymała za to adekwatne wynagrodzenie, czyli 1,67 mln zł. Ratusz zamawiał u niej spacery dendrologiczne. „To jest oprowadzanie po przestrzeni leśnej, w którym przewodnik opowiada o tym, jakie to są drzewa, czym one się charakteryzują, kiedy np. wypuszczają liście" – tłumaczyła Marta w mediach jak krowie na rowie. Czego ludzie nie rozumiecie? To cenna, unikalna wiedza. To musi kosztować!

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, Fratria, Ludmyla Skwarczyńska x2

eprasa.pl d07dcb0daa



WIEŻA BAB

Planowe niszczenie szkoły

Pod hasłem „Dobra szkoła – silna Polska!” 14 czerwca o godz. 12.00 pod Pomnikiem Mikołaja Kopernika w Warszawie odbędzie się manifestacja rodziców, nauczycieli i organizacji społecznych.

Wydarzeniu towarzyszy list otwarty Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły (KROPS), skierowany do minister edukacji Barbary Nowackiej. Dokument, podpisany w imieniu 94 organizacji należących do koalicji, zawiera wyjątkowo mocne zarzuty wobec kierunku zmian w polskiej oświacie.

Autorzy listu twierdzą, że działania Ministerstwa Edukacji prowadzą do głębokiego kryzysu szkoły. Już na początku stwierdzają, że „skala dewastacji nauczania i propagowania pseudonaukowych koncepcji wychowawczych osiągnęła poziom stanowiący zagrożenie dla fundamentów państwa i społeczeństwa”. Wprost oskarżają odpowiedzialnych za edukację o „planowe niszczenie polskiej szkoły”.

Jednym z głównych zarzutów jest odchodzenie od modelu edukacji bazującej na wiedzy i wysokich wymaganiach. Według sygnatariuszy następuje „obniżenie rangi rozumu zastępowanego instrukcją obsługi emocji i poczuciem dobrostanu”, a także „rezygnacja z wiedzy teoretycznej na rzecz indoktrynacji ideologicznej”. Krytyce poddano również ograniczanie kanonu lektur, pomniejszanie znaczenia historii oraz obniżanie wymagań szkolnych. Zdaniem autorów prowadzi to do „infantylizacji całych pokoleń” i osłabiania więzi kulturowych młodych Polaków.

Szczególne miejsce w liście zajmuje krytyka podstaw programowych edukacji zdrowotnej. KROPS zarzuca ich autorom odejście od naukowego pojmowania człowieka i zastąpienie go wizją skupioną przede wszystkim na emocjach i seksualności. Koalicja protestuje także przeciwko „kwestionowaniu istnienia obiektywnej płci biologicznej na rzecz płynnej koncepcji płci społecznej”. Autorzy wyrażają sprzeciw wobec promowania tranzycji płciowej jako rozwiązania problemów psychicznych młodych ludzi oraz twierdzą, że pomijane są informacje o negatywnych skutkach takich działań, obserwowanych w części państw zachodnich.

W liście pojawia się również obrona rodziny jako podstawowej wartości społecznej. Sygnatariusze podkreślają, że nie kwestionują wolności wyborów życiowych, ale nie zgadzają się na „stawianie w programie szkolnym znaku równości między wyborem życia rodzinnego z wychowaniem potomstwa oraz życia wolnego, bez rodzinnych zobowiązań i w bezdzietności”. Przypominają, że wspieranie rodziny jest konstytucyjnym obowiązkiem władz publicznych.

KROPS krytykuje także międzynarodowe inspiracje reform edukacyjnych. Autorzy oskarżają władze o prowadzenie zmian zgodnie z założeniami globalnych programów transformacji edukacji i ostrzegają przed ograniczaniem suwerenności polskiej szkoły. W jednym z najmocniejszych fragmentów piszą: „Nie zezwalamy na wykorzystywanie naszych dzieci jako narzędzi wyimaginowanych rewolucyjnych przemian!”

Dokument zawiera także apele do nauczycieli, mediów i rodziców. Nauczyciele są zachęcani do otwartego sprzeciwu wobec zmian ocenianych jako szkodliwe, media – do informowania społeczeństwa o ich konsekwencjach, a rodzice – do wspólnego działania w obronie swoich praw i wpływu na wychowanie dzieci.

Kulminacją tych działań ma być manifestacja „Dobra szkoła – silna Polska”, zaplanowana na 14 czerwca w centrum stolicy. Organizatorzy podkreślają, że będzie ona wyrazem sprzeciwu wobec obecnego kierunku reform oraz poparcia dla szkoły bazującej na wiedzy, wysokich wymaganiach, wychowaniu i polskiej tradycji. Spór o kształt edukacji staje się tym samym jednym z najważniejszych tematów debaty publicznej dotyczącej przyszłości młodego pokolenia.

Dorota Łosiewicz

Łydka premiera



Ronald Kieł stał w gabinecie z podciągniętymi do kolan spodniami od garnituru i z zainteresowaniem przyglądał się swoim umięśnionym łydkom. „Ależ jestem wysportowany, jak nastolatek" – chwalił się w duchu. Nagle drzwi się otworzyły i wpadł przez nie wzburzony minister spraw wewnętrznych Marcin Pogłosowski.

– Kkkkierowniku! Jjjjakiś Ukrainiec wyłowił suma z jeziorka! – wykrzyczał Pogłosowski.

– Żyje? – zapytał rzeczowo Kieł.

– Ooooczywiście. Wydałeś przecież rrrozkaz, żeby Ukraińców traktować z najwyższym szacunkiem – odpowiedział minister.

– „Pogłosie", ja o rybę pytam – uściślił premier.

– A bo ja wiem? Jak widziałem zdjęcie, to tak na boku leżał ten sum. Jakby był jednak, nie wiem, martwy? – stwierdził ostrożnie „Pogłos".

– A może tylko spał? Albo był oszołomiony – zastanawiał się głośno Kieł. – Nie ma co przesadzać z reakcją.

– No właśnie trzeba reagować z całą stanowczością! Nawet nasi dziennikarze są oooburzeni. Żądają krwi. Aaagnieszka Głoszbira z telewizji ze słoneczkiem domaga się deportacji!

– O rany, jeśli nawet Agnieszka się domaga, to sprawa faktycznie jest poważna – zasępił się Kieł. – Przecież jej nic nie ruszało. Nawet jak Żołnierski nazwał dywizję imieniem Bohaterów UPA, to go broniła...

– Twarda jest. Zawsze jjjak Ukrainiec pobije Tenkrajczyka to mówi, że to trauma wojenna. I że trzeba nadstawić drugi policzek – przypomniał Pogłosowski.

– A jak ktoś ich krytykuje, to natychmiast mówi, że krytykują tylko onuce Putlera. Zuch dziewucha! – rozmarzył się Kieł. – Okejos, zrobimy tak: obserwuj trendy na Igreku i jeśli więcej naszych celebrytów zacznie się domagać srogiej kary, to wtedy z całą stanowczością odsyłamy go za granicę. Won za Don! Wówczas pokażemy wrażliwą twarz obrońców zwierząt. A jeśli temat sam umrze, to po cichu wypuścisz wędkarza. Prywatnie ci powiem, że ja człowieka rozumiem. Tę rybę na pewno złowił z głodu. Za niskie świadczenia mają nasi bracia ze Wschodu...

Drzwi znów się otworzyły i tanecznym krokiem weszła Justyna Szop-Pracz z telewizji w likwidacji. Powłóczystym spojrzeniem omiotła wciąż roznegliżowane łydki premiera.

– Ależ z pana ciacho, Kierowniku – mruknęła.

Kieł uśmiechnął się, odsłaniając górne zęby, co świadczyło o delikatnej utracie kontroli nad myślami. Ale to był tylko moment.

– No właśnie, Pogłosowski, dlaczego nie pochwaliłeś moich łydek?

– Pochwaliłbym, tylko byłem zdenerwowany. A właściwie dlaczego podciągnąłeś nogawki, Kierowniku? – zapytał przymilnie minister.

– Zbliżają się mistrzostwa świata w piłce nożnej i postanowiłem przypomnieć sobie, że był ze mnie materiał na reprezentanta...

– Tenkraju czy sąsiedniego mocarstwa? – zapytała Szop-Pracz, która z racji pracy zawsze zadawała trudne pytania.

– To trudne pytanie – zamyślił się Kieł. – Kiedy byłem w szczytowej formie, musieliśmy ukrywać swoje pochodzenie, więc w grę wchodził tylko Tenkraj. Ale teraz „Keine grenzen" – zaczął bezwiednie nucić w języku, który był mu bliski od dzieciństwa.

– O! Bardzo pan muzykalny – natychmiast pochwaliła Szop-Pracz.

– Wiem – odparł Kieł bez fałszywej skromności. – Myślałem nawet, żeby wybrać się na festiwal Jurasa Owsika i tam zaśpiewać.

I już miał wydobyć z siebie pieśń o braku granic, gdy drzwi otworzyły się po raz trzeci i stanął w nich nowy wiceminister rozwoju, Ryszard Swetru.

– Witaj Ronaldzie, wracam na salony – uśmiechnął się szeroko Swetru, ignorując „Pogłosa" i puszczając oko do Szop-Pracz. – I jest pani Justyna... Jakbyś chciała, mała, wyskoczyć na Medorę, to dzwoń. Mam zniżkę na bilety. No i lecę z tobą oczywiście.

– Chyba na Maderę – sprostowała Szop-Pracz.

– Tam też możemy – natychmiast zgodził się Swetru. – Ronaldzie, co tak pokazujesz nogi? Mógłbyś je trochę opalić. Aha, ja to w sumie przychodzę z pretensją. Dlaczego jestem tylko wiceministrem?

– Wiesz, Ryśku, zobowiązania koalicyjne. Mam związane ręce – wytłumaczył Kieł.

Swetru spojrzał na ręce premiera. – Wcale nie masz związanych – stwierdził z wyrzutem.

– To jest metafora, panie Ryszardzie – wyjaśniła Szop-Pracz. – Taka przenośnia.

– Ja mam pracę biurową i żadnych rzeczy przenosił nie będę – zastrzegł Swetru i spojrzał badawczo na premiera.

A Kieł tylko uśmiechnął się chytrze, bo poczuł, że mianowanie Ryszarda Swetru to strzał w środek tarczy. Przy nim żadnego rozwoju nie będzie...

MuMa

Fot.Grafika wygenerowana przez AI/MuMIN

eprasa.pl d07dcb0daa

Artyści kontra „faszyści”

Na festiwalu filmowym w Cannes obowiązuje pewna tradycja: gdy tylko gasną światła, publiczność klaszcze i wiwatuje, kiedy na ekranie pojawiają się logotypy producentów i dystrybutorów. W tym roku było inaczej. Niemal za każdym razem, gdy na ekranie pojawiało się logo Canal+, firmy, której jednym z głównych akcjonariuszy jest miliarder Vincent Bolloré, publiczność buczała. A to dlatego, że Bolloré, który zbił fortunę na surowcach, dziś jest największym prawicowym magnatem medialnym nad Sekwaną.

Oprócz udziałów w grupie Vivendi oraz Canal+ Bolloré posiada wydawnictwa Hachette Livre oraz Grasset, kanał informacyjny CNEWS, gazetę „Journal du Dimanche”, magazyn „Paris Match” oraz stację radiową Europe 1. Teraz szykuje się do zakupu spółki UGC, zarządzającej setkami kin we Francji i Belgii.

Nadsekwański świat kultury, mocno osadzony na lewicy, jest oburzony. 600 artystów i pracowników filmu, w tym aktorka Juliette Binoche [na zdj.], podpisało się pod listem otwartym opublikowanym w lewicowym dzienniku „Libération”. Ostrzegają w nim przed „faszystowską kontrolą” nad „kolektywną wyobraźnią”. Według nich „miliarder nie ukrywa faktu, że kieruje reakcyjnym, skrajnie prawicowym projektem cywilizacyjnym”. „Chociaż wpływ tej ideologicznej ofensywy na treść filmów był jak dotąd dyskretny, nie mamy złudzeń: na tym się nie skończy” – czytamy.

W odpowiedzi przewodniczący zarządu Canal+ Maxime Saada zagroził, że przestanie finansować filmy sygnatariuszy. „Nie chcę pracować z ludźmi, którzy nazywają mnie kryptofaszystą” – zaznaczył. Canal+ odpowiada za ponad 40 proc. prywatnych środków, które trafiają do francuskiej branży nadawczej, streamingu i kina. Groźba jest więc poważna.

Do wojny świata filmu z Bollorém natychmiast dołączył Jean-Luc Mélenchon, lider skrajnie lewicowej Francji Niepokornej (LFI) i 31 maja zorganizował manifestację pod tytułem „Ustrzelić Bollorégo” (Zapper Bolloré). Zdaniem Mélenchona miliarder „zagraża wolności słowa, tworząc ideologiczny monopol na prasę, kulturę i edukację oraz w sferze wydawniczej”. Mélenchon, który zamierza startować w wyborach prezydenckich w 2027 r., obiecał, że jeśli je wygra, „cały trust Bollorégo zostanie rozwiązany”.

Histeria wśród lewicowego establishmentu narasta. Ponad 100 autorów, w tym filozof Bernard-Henri Lévy oraz feministka Virginie Despentes, opuściło wydawnictwo Grasset po tym, jak zwolniło ono prezesa Oliviera Norę, uważanego za gwaranta dotychczasowej lewicowo-liberalnej linii wydawnictwa, a brytyjski „The Guardian” zaproponował, aby stworzyć unijny fundusz na rzecz kina, który „chroniłby demokrację w świecie filmowym”. Oczywiście w imię wolności słowa.

Aleksandra Rybińska



Francja



Etiopia

Na drodze do wojny

W ubiegłotygodniowych wyborach parlamentarnych w Etiopii rządząca Partia Dobrobytu premiera Abiya Ahmeda zgodnie z przewidywaniami odniosła druzgocące zwycięstwo. Już w poprzednich wyborach jej przedstawiciele zdobyli 457 z 547 miejsc w parlamencie i teraz będzie podobnie, choć wyniki elekcji mają być podane dopiero 11 czerwca.

Abiy Ahmed odwoływał się do licznych sukcesów rządu. Wśród nich jest niemal 10 proc. wzrost gospodarczy i poprawa sytuacji żywnościowej w kraju zamieszkanym przez 135 mln ludzi, z czego ponad połowa liczy sobie mniej niż 18 lat. Od 2024 r. eksport wzrósł o 50 proc., a rząd szczyci się wielkimi inwestycjami – wartą 4 mld dol. fabryką nawozów, która ma uniezależnić od importu etiopskie rolnictwo oraz gigantyczną tamą na Nilu, po uruchomieniu której kraj stał się eksporterem energii elektrycznej.

Przeciwnicy zarzucają Abiyowi Ahmedowi tendencje dyktatorskie i intensywne zbrojenia, co oznacza marnotrawienie owoców wzrostu i niebezpieczną megalomanię, która może doprowadzić do wybuchu regionalnego konfliktu. W 2020 r., zaledwie rok po otrzymaniu Pokojowej Nagrody Nobla, polityk rozpętał wojnę domową w prowincji Tigray, której ofiarą padło – jak się szacuje – nawet 500 tys. cywilów, a obecnie otwarcie deklaruje dążenie do uzyskania dostępu do morza. Na celowniku znalazła się Erytrea, z którą Etiopia już raz prowadziła wyniszczającą wojnę. Alternatywą jest porozumienie z Somalilandem – nieuznawanym przez świat państwem, które oderwało się od Somalii. Ta ewentualność niesie z kolei ryzyko konfliktu z Somalią, którego wybuch może stać się początkiem większej wojny regionalnej. Rząd Etiopii wspiera też Siły Szybkiego Wsparcia (RSF), jedną z dwóch głównych frakcji walczących w Sudanie, co dodatkowo zwiększa napięcie, bo ich rywalom pomaga Egipt, poróżniony z Addis Abebą w sprawie dostępu do wód Nilu, co ma związek z etiopską zaporą w górnym biegu tej rzeki.

Z odnowionym „demokratycznym mandatem” ambitny premier Etiopii może z nową energią przystąpić do realizacji swych imperialnych planów, co zapowiada wzrost napięcia w tym strategicznym regionie Afryki.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock x3

eprasa.pl d07dcb0daa



Ebolasceptycy

Demokratyczna Rep. Konga

Wirus ebola nadal zabija ludzi w środkowej Afryce. Walka z zarazą jest jednak bardzo trudna, ponieważ miejscowa ludność nie wierzy w informacje o chorobie. Szerzą się pogłoski, że epidemia została wymyślona, ponieważ organizacje humanitarne pragną zdobyć więcej pieniędzy na swoją działalność. Zgodnie z inną teorią władze chcą zastraszyć ludność, aby uzyskać nieskrępowany dostęp do miejscowych złóż złota.

Według Światowej Organizacji Zdrowia do końca maja odnotowano co najmniej 750 przypadków eboli i 177 zgonów. Nieoficjalne szacunki mówią jednak, że epidemia, która od blisko dwóch miesięcy rozwija się w Demokratycznej Republice Konga, pochłonęła już ponad tysiąc ofiar. Jedną z przyczyn jest niespotykane wcześniej nasilenie nieprawdziwych informacji. Ludzie nie wierzą w ebolę i nie chronią się.

Jak donosi „The Washington Post", ostatnio doszło do ataków na miejscowe szpitale, w których przebywali pacjenci zakażeni wirusem. W miejscowości Rwampara grupa młodych ludzi, nie mogąc uwierzyć, że ich przyjaciel, 30-letni piłkarz, zmarł na ebolę, postanowiła siłą odebrać ze szpitala jego ciało. W chaosie uciekło również 6 chorych pacjentów. Następnego dnia 18 innych pacjentów z podejrzeniem zakażenia ebolą uciekło po ataku na kolejny szpital.

Lokalna tradycja nakazuje bliskim zmarłego, aby pozostali z jego ciałem w domu przez jeden lub dwa dni. W tym czasie jest organizowana uczta, do której przyłączają się sąsiedzi i znajomi. Piłkarz, którego zwłoki wykradziono ze szpitala, był bardzo popularny i miejscowi nie wyobrażają sobie, że ktoś taki nie doczeka się godnego pochówku. Tymczasem jedną z głównych dróg zakażenia wirusem jest kontakt z płynami ustrojowymi osoby chorej lub zmarłej. Ryzyko rozniesienia choroby jest więc w takim przypadku ogromne.

Problem w tym, że zdaniem miejscowych żadnej eboli nie ma, a ostatnie zgony są spowodowane malarią. Niektórzy z kolei twierdzą, że ebola jest, ale została wywołana sztucznie, bo lekarze wstrzykują wirusa pacjentom, którzy zgłosili się z malarią. Dlatego lepiej unikać szpitali.

Obawy te wzmacnia strach przed wykluczeniem. Osoby zarażone ebolą jako nosiciele śmiertelnego wirusa są bowiem odrzucane przez lokalną społeczność. Dotyczy to również tych, którzy powrócili do zdrowia. „Ludzie się ciebie boją, twoja rodzina cię przegania lub unika, uciekają na twój widok, gdy idziesz po wodę. Wszyscy myślą, że ciągle masz w sobie ebolę" – mówił w rozmowie z amerykańskim reporterem jeden z ozdrowieńców.

Lepiej więc nie przyznawać się do choroby albo wyprzeć ją ze świadomości, co oczywiście sprzyja rozprzestrzenianiu się zarazy.

Konrad Kołodziejski

Wielka Brytania

Prawdziwi muzułmanie, fałszywi geje

W 2025 r. aż 35 proc. wniosków o azyl w Wielkiej Brytanii złożyli imigranci deklarujący się jako homoseksualiści. Tylko w tym roku ich liczba przekroczyła 100 tys. Najwięcej, bo aż 43 proc., pochodzi od obywateli Pakistanu, mimo że stanowią oni zaledwie 6 proc. wszystkich osób ubiegających się o azyl.

Sprawie postanowili przyjrzeć się bliżej reporterzy BBC, z których jeden udawał pakistańskiego imigranta. W toku dziennikarskiego śledztwa okazało się, że istnieje cały przemysł fabrykowania dokumentów, w który zaangażowane są kancelarie prawne i organizacje LGBT+. Pobierają one od nielegalnych przybyszów duże kwoty (od 2,5 tys. do 7 tys. funtów na początek) za sfałszowane dokumentacje. Reporter BBC nagrał z ukrycia m.in. Tanisę Khan, prawniczkę organizacji Worcester LGBT współpracującej z brytyjskim MSW. Kobieta przyznała, że od 17 lat regularnie zajmuje się oszustwami polegającymi na przedstawianiu muzułmańskich imigrantów jako homoseksualistów, rzekomo prześladowanych w swoich krajach z powodu orientacji płciowej. W tym celu fałszerze robią zainteresowanym zdjęcia w klubach gejowskich lub preparują listy od ich rzekomych kochanków. Zalecają im również zapisanie się do stowarzyszeń LGBT+. Dziennikarz pod przykrywką był nawet obecny na spotkaniu takiej organizacji, gdzie jeden ze śniadolicych członków wyznał mu szczerze: „Tu nie ma gejów. Geje to może tutaj 1 proc. A może 1 promil". Gdy żurnalista zapytał prawniczkę, czy może ściągnąć z Pakistanu żonę, usłyszał, że nie będzie najmniejszego problemu, gdy jako gej sprowadzi do Anglii swoją małżonkę lesbijkę.

Wszystko wskazuje na to, że oszustwo ujawnione przez BBC to tylko wierzchołek góry lodowej, ponieważ liczba rzekomych homoseksualistów ubiegających się o azyl jest nieproporcjonalnie duża, by mogła być prawdziwa. Oznacza to, że środowisk LGBT+ zaangażowanych w przestępczy proceder jest znacznie więcej. Nagłośnienie wspomnianej afery to z pewnością wiatr w żagle partii UK Reform Nigela Farage'a.

Grzegorz Górny

eprasa.pl d07dcb0daa

Wakacje pod zielono-unijnym parasolem

Sezon urlopowy tuż tuż, a przeciętny Polak, zamiast pakować bagażnik, siedzi przy stole i robi bilans strat. Jeszcze niedawno ruszaliśmy w drogę bez większego namysłu. Dziś kalkulator w telefonie jest ważniejszy niż krem z filtrem. Do drożyzny, którą zawdzięczamy polityce rządu Donalda Tuska i jego bezrefleksyjnemu hołdowaniu Brukseli, dołączył kryzys w Zatoce Perskiej. Napięcia, groźby zamknięcie cieśnin i spekulacje na rynku ropy robią swoje – ceny paliw idą w górę. A co robi polski rząd?

Zamiast zabezpieczać interesy kierowców i przewoźników, recytuje unijne mantry o „zielonej transformacji" i „solidarności europejskiej". Solidarności, która w praktyce oznacza, że to polski portfel ma być najsolidarniejszy i najmocniej drenowany. Paradoks tej sytuacji jest porażający. Unijna elita – ta sama, która forsuje Fit for 55, zakaz aut spalinowych od 2035 r. i kolejne podatki klimatyczne – nadal pozwala samej sobie latać prywatnymi odrzutowcami na szczyty klimatyczne i narzeka na podróże elektrykami z Brukseli do Strasburga. W międzyczasie, popijając ekoszampana z ekokieliszków, ustalają, ile mamy płacić za benzynę i ile ograniczeń przyjąć.

Donald Tusk, zamiast walczyć o polskie wyjątki, zamiast bronić naszego transportu i energetyki, z entuzjazmem wdraża każdą unijną dyrektywę. „Jesteśmy w Europie" – powtarza z dumą, jakby Polska miała być ofiarą, a nie równoprawnym partnerem.

Efekt? Wyższe rachunki, droższe wakacje i poczucie, iż rządzący traktują nas jak dzieci, którym trzeba wytłumaczyć, że jazda autem to już prawie grzech.

Najzabawniejsze – choć jednocześnie żałosne – są moralizatorskie kazania naszych elit. Ci sami politycy i publicyści, którzy za poprzednich rządów wyśmiewali „nacjonalizm" i „gorszy sort", dziś z powagą tłumaczą, że droższe paliwo to „nowa normalność", a urlop w Polsce stanowi dowód patriotyzmu. Tylko ich własne rodziny nadal spędzają wakacje w Toskanii i na greckich wyspach, a oni sami nie zrezygnowali z lotów business class. Hipokryzja tego układu jest tak oczywista, że nawet unijny komisarz ds. klimatu musiałby ją zauważyć, gdyby akurat nie był zajęty pisaniem kolejnego raportu o „zrównoważonej mobilności".



Polacy od stuleci radzą sobie z nieudolnymi władzami – z zaborcami, komunistami, ostatnio zaś z ekipą, która obiecywała uśmiechnięty „europejski raj", a dostarczyła drożyznę, chaos i uległość wobec Brukseli. Poradzimy sobie i tym razem

Planowanie wakacji stało się dziś sztuką partyzancką. Jedni wybierają pociąg (drogo i tłoczno, ale przynajmniej nie ryzykują bankructwa na stacji). Inni jadą na działkę albo nad najbliższe jezioro. Odważniejsi kalkulują trasę do Chorwacji czy Włoch jak operację militarną: ile litrów, ile autostrad, ile unijnych opłat i ile „zielonego haraczu". Bo do ceny paliwa trzeba dziś doliczyć nie tylko akcyzę, VAT i inflację windowaną nieudolną polityką gospodarczą Tuska, lecz także ideologiczne fanaberie Brukseli.

A nad tym wszystkim wisi strach przed eskalacją konfliktu na Bliskim Wschodzie. Rząd obiecuje „ochronę obywateli", ale w praktyce chroni głównie unijne fundusze i własne narracje. Zamiast inwestować w krajowe rafinerie, dywersyfikację dostaw i realne bezpieczeństwo energetyczne, woli kupować iluzję zielonej przyszłości, która pachnie drożyzną i zależnością.

Mimo wszystko nie popadajmy w pesymizm. Polacy od stuleci radzą sobie z nieudolnymi władzami – z zaborcami, komunistami, ostatnio zaś z ekipą, która obiecywała uśmiechnięty „europejski raj", a dostarczyła drożyznę, chaos i uległość wobec Brukseli. Poradzimy sobie i tym razem. Znajdziemy tańsze opcje, wynegocjujemy promocje, będziemy grillować u rodziny, pływać w Bałtyku i chodzić po górach. Z humorem, hartem ducha i polskim „jeszcze tak nie było, żeby jakoś nie było". Wakacje w 2026 r. mogą być skromniejsze, ale będą jak zwykle udane. Bo największą siłą Polaków nie jest to, co daje im władza, lecz to, jak świetnie uczą się z nią obchodzić.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl d07dcb0daa

Kobiety, radykalny islamizm i hipokryzja



Marta Kaczyńska-Zielińska

Jednym z najbardziej tragicznych skutków wycofania wojsk amerykańskich z Afganistanu i przejęcia władzy przez talibów w 2021 r. było gwałtowne pogorszenie sytuacji kobiet i dziewcząt. Kraj pogrążył się w kryzysie gospodarczym i humanitarnym, a miliony rodzin zostały pozbawione środków do życia. W tych warunkach nasiliły się zjawiska obecne w Afganistanie od dziesięcioleci: małżeństwa dzieci, małżeństwa przymusowe oraz praktyki polegające na wydawaniu córek za mąż w zamian za korzyści finansowe. Dla tysięcy afgańskich dziewcząt oznacza to utratę dostępu do edukacji od 11. roku życia, perspektyw zawodowych i ochrony prawnej, a w najbardziej dramatycznych przypadkach także ryzyko potraktowania ich jak przedmiotu transakcji między rodzinami.

Upadek wspieranego przez Zachód państwa afgańskiego oznaczał utratę wolności, nadziei na lepszą przyszłość oraz podstawowej ochrony przed przemocą i wyzyskiem. W ciągu zaledwie kilku lat Afganistan stał się symbolem systemowego pozbawiania kobiet podstawowych praw, a zarazem przykładem tego, do czego może prowadzić podporządkowanie państwa skrajnemu islamowi. Dziś Afganistan jest uznawany przez wiele organizacji międzynarodowych za państwo, w którym prawa kobiet podlegają jednemu z najdalej idących ograniczeń na świecie. Dziewczęta nie mogą kontynuować nauki w szkołach średnich, kobietom odebrano możliwość studiowania na uniwersytetach, a dostęp do wielu zawodów został zamknięty. Ograniczono ich obecność w administracji publicznej, organizacjach społecznych, mediach, sporcie i kulturze.

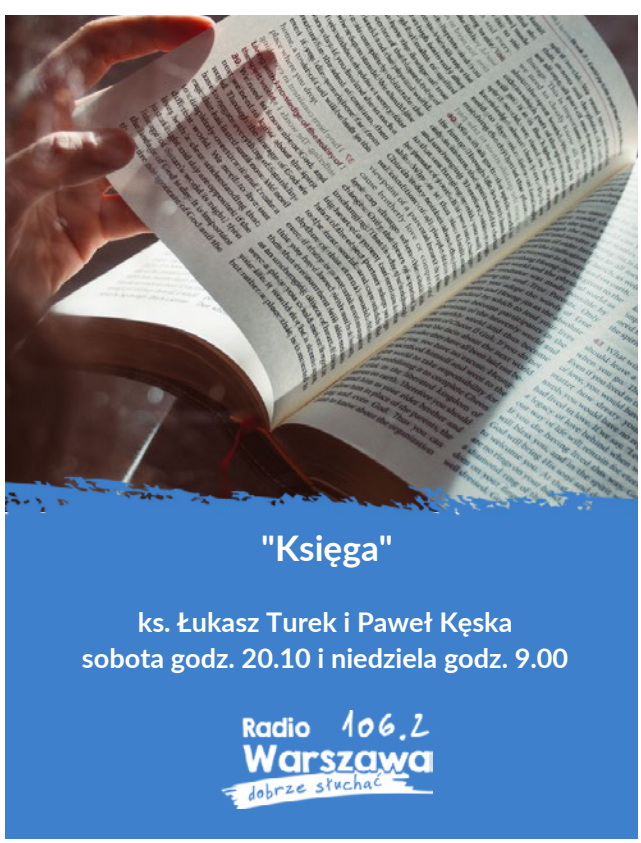
Według organizacji zajmujących się ochroną praw dzieci znacząca część afgańskich dziewcząt wychodzi za mąż przed ukończeniem 18. roku życia, a niektóre jeszcze przed ukończeniem 15 lat. W wielu przypadkach granica między małżeństwem a sprzedażą dziecka staje się niezwykle cienka. Problem ten nie jest wyłącznie skutkiem biedy, lecz przede wszystkim efektem systemu społecznego i prawnego, w którym dziewczynki są pozbawione podstawowych praw.

W ostatnich tygodniach nowe przepisy zniosły obowiązujący w Afganistanie minimalny wiek zawarcia małżeństwa przez dziewczęta, wiążąc prawo do zamążpójścia z okresem dojrzewania, który może się rozpocząć już w wieku 9 lat. Rozwody będą zaś możliwe tylko za zgodą męża. Ograniczenia praw kobiet dotyczą także podróżowania bez opieki męskiego członka rodziny, uczestnictwa w życiu publicznym czy ochrony przed przemocą.

Sytuacja ta rodzi pytania o postawę społeczności międzynarodowej. Szczególnie interesującym przykładem są relacje Afganistanu z Rosją. W ostatnich latach Moskwa rozwijała kontakty z władzami talibów. Afganistan jest dla Kremla elementem szerszej strategii budowania wpływów w Azji Centralnej i ograniczania obecności Zachodu w regionie. To miejsce, w którym szczególnie widać brak spójności rosyjskiej narracji politycznej. Agresywna Rosja od lat przedstawia się jako obrońca konserwatywnych wartości, tradycyjnej rodziny, chrześcijańskiego dziedzictwa oraz moralnego porządku przeciwstawianego liberalnemu Zachodowi. Jednocześnie to samo państwo utrzymuje bliskie kontakty z reżimem odpowiedzialnym za jedne z najpoważniejszych naruszeń praw kobiet i dzieci we współczesnym świecie.

Czy doświadczenia Afganistanu mają znaczenie dla Europy? Zagrożeniem są radykalne ruchy islamistyczne rozwijające się w państwach, w których obecne są społeczności migranckie. Europa przez wieki budowała system bazujący na wolności osobistej, równości wobec prawa i ochronie praw człowieka. Doświadczenie współczesnego Afganistanu wskazuje, jakie konsekwencje rodzi radykalny islam. Los afgańskich kobiet jest dziś nie tylko tragedią jednego narodu. Jest także ostrzeżeniem dla świata. Pokazuje, jak szybko można odebrać kobietom wolność, edukację, niezależność ekonomiczną i możliwość decydowania o własnym życiu. Współczesna Europa stoi przed wyzwaniami związanymi z migracją.

REKLAMA



24/0526/F

eprasa.pl d07dcb0daa



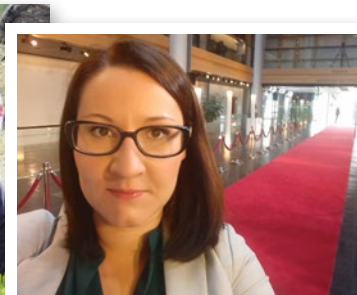
Walizka Małgorzaty Gałki

reporterki, publicystki, prowadzącej „Pytania o Polskę”

Zawsze chciałam dużo podróżować. Na studiach miałam marzenie, że odwiedzę wszystkie stolice europejskie. Jego spełnienie stawało się realne dzięki pracy reporterskiej dla redakcji zagranicznej w poprzedniej telewizji, co pozwoliło mi zwiedzić kawał świata. Gdy wypełniałam obowiązki zawodowe, prywatny czas poświęcałam na oglądanie, chłonięcie zapachów, wyczucie pulsu miasta. Mam na koncie sporo fajnych miejsc, które dobrze poznałam. W pewnym momencie Bruksela była moim drugim domem, bo jeździłam do niej praktycznie co dwa tygodnie. Stany Zjednoczone zjechałam wszerz i wzdłuż, ale szczególnie lubię Wschodnie Wybrzeże. Miałam okazję odwiedzić Macedonię Północną na styku z Grecją, gdzie robiłam reportaż z naszą Strażą Graniczną o patrolowaniu granicy. To było mocne doświadczenie, bo mogłam dosłownie dotknąć kryzysu migracyjnego, zobaczyć ludzi, którzy próbują się dostać do Europy.

Poruszający był kontrast tej sytuacji – dramat ludzi rozgrywał się bowiem w przepięknej scenerii jak z turystycznego folderu. Podobną sytuację przeżyłam w Afganistanie, gdzie przebywałam w bazie Bagram z Polakami. Miejsce otoczone górami rodem ze Szwajcarii, z tą różnicą, że ostrzeliwali nas z nich rakietami. Dlatego określam moje podróże jako słodko-gorzkie, w których mocne doświadczenia zderzają się z zachwytem nad miejscem. Jednocześnie gdy spędzasz swoje urodziny i Wielkanoc w Kijowie na wyborach, to masz z tyłu głowy, że ta rodzina gdzieś została i coś człowiekowi umyka. Dlatego zwolniłam i podróżuję trochę inaczej, bo głównie prywatnie i po Polsce. Mimo że zjechałam pół świata, dopiero teraz odkryłam zachwycający Tykocin.





„PYTANIA O POLSKĘ”

Prawie dwie dekady pracy reportera będą teraz owocować w moim programie w telewizji wPolsce24. Podczas rozmów z politykami nie będę podpierać się wiedzą wyssaną z palca czy tweetów na platformie X, lecz wykorzystam moje osobiste doświadczenia, także frontowe.



eprasa.pl d07dcb0daa





WISIOREK OD UKOCHANEGO

Pierwszy prezent od niego, więc mam sentyment.



KALENDARZ

Każdy ma w telefonie, ale ja jestem starej daty.



SZPILKI

Mam ich sporo i obsesję na ich punkcie. Sprawdzają się przed kamerą w studiu, ale zdarzyło mi się także biegać w nich podczas zdjęć w terenie, dlatego muszą być wygodne.



KSIĄŻKI

Czytam nałogowo, głównie literaturę faktu i książki historyczne. „Lotniczka" jest o wspaniałej bohaterce, Janinie Lewandowskiej, ofierze zbrodni katyńskiej. „Sarmatia", bo XVII w. to najbarwniejszy okres naszej historii.



BUTY WOJSKOWE

Kupiłam je przed wyjazdem do Afganistanu, na zdjęcia w PKW. Potem przydały się na niejednym poligonie. Zawsze są ze mną – nigdy nie wiadomo, kiedy się przydadzą.



SŁUCHAWKI

Na playliście Joe Cocker, Dire Straits, Phil Collins i wielu innych, w zależności od nastroju. Słuchawki muszą być tylko naładowane.



STRÓJ SPORTOWY

Trening siłowy pozwala wyczyścić głowę i dodaje energii. Dwa razy w tygodniu to moje minimum. Z plusów: mniejsze ryzyko osteoporozy w przyszłości!





PERFUMY

Druga obsesja po szpilkach. Lubię je zmieniać w zależności od pory roku i nastroju.



PAMIĄTKI Z WYJAZDÓW

Dostałam je od strażników granicznych z misji w Macedonii i od żołnierzy w Afganistanie. Przypominają o wyjątkowości zawodu, który wybrałam.



KUBEK

Z każdej podróży zawsze przywożę kubki. Ten jest z ostatniej wizyty w Nowy Jorku. Uwielbiam Stany, chociaż niekoniecznie to miasto.



KOSMETYCZKA

Przez lata pracy przed kamerą nauczyłam się malować w samolocie, w jadącym po wybojach samochodzie i po ciemku.



BIŻUTERIA

Kolczyki z węgla ze Śląska, kolczyki z bursztynami znad Bałtyku. Lubię to, co charakterystyczne i polskie. Mamy wielu utalentowanych twórców.



HERBATA

Piłam od zawsze, w dużych ilościach. Zielona, czarna, owocowa – lubię każdą i zawsze wrzucam do walizki kilka torebek.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, prywatne archiwum Magdaleny Gałki

eprasa.pl d07dcb0daa

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Byś się wstydził!



Jan Pietrzak

Posłanka Marcelina Zawisza próbowała w Sejmie wręczyć premierowi dokumenty w sprawie upadającego szpitala w Lesku. Tusk zdecydowanie ją ignorował. Brzydził się wziąć do ręki niemiłe mu papiery. Sala sejmowa podniosła krzyk: „Byś się wstydził!". Ona machała, on się wykręcał, sala krzyczała, on konsekwentnie się nie wstydził. Taki z niego uparciuch. Prawdopodobnie Zawisza, wołająca o jeden szpital, jedynie go rozdrażniła. Nie docenia rozmachu premiera, który ma raczej większe ambicje, np. plany skasowania wszystkich państwowych szpitali w Polsce. Jako liberał stawia na prywatną służbę zdrowia. Zaczął od likwidacji porodówek.

Jak Polacy zniechęcą się do rozmnażania, będzie ich coraz mniej. Pojawią się wolne budynki dla zawsze zdrowych migrantów z Niemiec. Jasne jest, że wszyscy imigranci z natury rzeczy w żadnych wyborach nie będą głosować na partie patriotyczne, „zaściankowe", partie nienormalnych Polaków.

W Berlinie ustalono już dawno, że polskość to nienormalność, *ergo*: Polacy z definicji nie są normalni. Oni na przykład, ci Polacy, cztery lata temu bardzo się zaangażowali w pomoc zaatakowanej przez Rosję Ukrainie. Instytucjonalnie i personalnie, prywatnie. Otworzyli własne domy dla uciekinierów spod rosyjskich bomb. Oddali mnóstwo sprzętu wojskowego. Zapewnili na swoim terytorium bazy komunikacyjne itd. Tak się nie zachowywały „normalne" Niemcy.

Po czterech latach pamięć o altruistycznej postawie Polaków jakoś na Ukrainie wyparowała. Wróciła im natomiast silna pamięć lat dawniejszych, II wojny światowej, kiedy pomagali hitlerowcom eksterminować polską ludność. Obecnie szczycą się swoimi bohaterami tamtej krwawej agresji na polskie wsie i miasta. Polska, przez sześć lat mordowana przez Hitlera i Stalina, została brutalnie zaatakowana również przez Ukraińców. Czy w kontekście tych okropnych wydarzeń my, Polacy, nie jesteśmy po prostu za dobrzy dla swoich sąsiadów? Zbyt wyrozumiali, dobroduszni, łatwowierni...?

To kluczowe pytania, na które muszą odpowiedzieć polscy przywódcy. Społeczeństwo, oszukiwane od lat, doszło już do ściany. Coraz mniej rozumie, nie wierzy politykom, gubi się w ocenie rzeczywistości. W tak drastycznej sytuacji należy przyjąć, że gloryfikowanie właśnie teraz Bandery i Szuchewycza jest celową, świadomą prowokacją. Ale czyją? Rosyjską, niemiecką? Ukraińską? Nawet na Ukrainie są środowiska, które nie chcą zakończenia wojny, nie chcą zawieszenia broni... W tej okrutnej dżungli interesów ktoś chce wykorzystać polskie emocje i „wkręcić" nas w ten dramat. Jest wiele nieprzyjemnych pytań. Prośmy rzetelnych znawców tematu, by nam wyjaśniali, co się tam dzieje. Polacy zasłużyli na tę wiedzę. Byśmy się nie wstydzili... naszej dobroci, współczucia, życzliwości! Naszej normalności!

YouTube: Jan Pietrzak Na Rencie

Zamiast podzielić, połączył



Samuel Pereira

Nieraz skutki pewnych działań odwracają się od intencji tych, którzy je podejmują. Tak stało się w przypadku prezydenta Ukrainy, który w imię partykularnych, politycznych interesów (zaskarbienie sobie sympatii ekstremy w swoim kraju) postanowił obrazić nasze państwo, a koniec końców doprowadził do istotnego resetu w naszych relacjach i zjednoczenia obywateli Polski.

Decyzja Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu jednej z ukraińskich jednostek wojskowych imienia Bohaterów UPA wywołała w Polsce oburzenie. Trudno się temu dziwić. Dla Polaków UPA nie jest symbolem walki o niepodległość, lecz organizacją odpowiedzialną za ludobójstwo na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. To jedna z najboleśniejszych kart naszej historii, której nie da się zamazać politycznymi gestami ani bieżącymi kalkulacjami.

Paradoks polega jednak na tym, że ruch Zełenskiego przyniósł efekt odwrotny od zamierzonego. Zamiast podzielić Polaków, połączył ich wokół przekonania, że są sprawy ważniejsze niż polityczne spory. Tym razem reakcja była wyjątkowo zgodna. Krytyczne głosy popłynęły z różnych stron sceny politycznej, a także od zwykłych obywateli, którzy nie zgadzają się na relatywizowanie zbrodni dokonanych na Polakach.

Symbolem tej zmiany stała się reakcja samorządowców z Chełma i Przemyśla. To właśnie te miasta były jednymi z najważniejszych punktów wsparcia dla Ukrainy po rosyjskiej agresji. Ich mieszkańcy pomagali uchodźcom, organizowali transporty humanitarne i udowodnili, że polska solidarność nie jest pustym sloganem. Dziś prezydenci obu miast otwarcie mówią o rozczarowaniu i pytają mieszkańców, czy nie należałoby zwrócić przyznanych przez Ukrainę tytułów „Miast Ratowników". Nie dlatego, że pomoc była błędem. Wręcz przeciwnie. Dlatego, że pomoc opiera się na wzajemnym szacunku.

Polacy nie przestali wspierać Ukrainy w jej walce z rosyjską agresją. Coraz wyraźniej pokazują jednak, że wsparcie nie oznacza zgody na fałszowanie historii. I właśnie to jest najważniejszy skutek decyzji Zełenskiego. Nie osłabił Polski. Nie podzielił Polaków. Przeciwnie – przypomniał im, że pamięć o własnych ofiarach i szacunek dla prawdy historycznej pozostają fundamentem narodowej wspólnoty.

eprasa.pl d07dcb0daa

Przekroczono granicę polskiej cierpliwości



Decyzja prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu jednej z jednostek wojskowych imienia UPA nie jest politycznym błędem, lecz przekroczeniem granicy, co w obecnych warunkach geopolitycznych nie może skończyć się dobrze dla Ukrainy. Odbieram to także osobiście.

W 1944 r. moi dziadkowie ocaleli przed ukraińską rzezią w Kolędzianach w obecnym obwodzie tarnopolskim. W ciągu jednej nocy bandy UPA zamordowały tam dziesiątki bezbronnych ludzi. Moją rodzinę uratowała ukraińska sąsiadka, która ostrzegła ich o planowanym ataku. Dzięki jej odwadze udało im się uciec, a ze wspomnień mojej rodziny wiem, jak brutalna masakra miała tam miejsce.

Dlatego tak trudno zaakceptować dzisiejsze gloryfikowanie Ukraińskiej Powstańczej Armii. Ci, którzy przeżyli, powtarzają jedno: UPA nie tylko zabijała. UPA bawiła się śmiercią Polaków. Towarzyszyły temu bestialskie tortury, mordowanie kobiet, dzieci i starców oraz niszczenie całych wsi. Takie jest prawdziwe „dziedzictwo" tej formacji i popleczników Stepana Bandery.

Z tego powodu decyzję prezydenta Ukrainy uważam za skandaliczną. Nie można budować współczesnej tożsamości narodowej na kulcie organizacji odpowiedzialnej za zbrodnie na ludności cywilnej. Rozumiem i popieram decyzję prezydenta Karola Nawrockiego o odebraniu Zełenskiemu najwyższego polskiego odznaczenia. Państwo polskie ma obowiązek stać po stronie pamięci ofiar.

Warto przypomnieć, że od pierwszego dnia rosyjskiej agresji Polacy okazali Ukrainie ogromną solidarność. Otworzyli swoje domy, pomagali uchodźcom i wspierali walczącego sąsiada. Nie chodzi o wypominanie tej pomocy, ale o wzajemny szacunek.

Polacy mają prawo oczekiwać, że ich wsparcie będzie pomagało budować dobre relacje między naszymi narodami, a nie pogłębiać historyczne podziały. Jeśli jednak Polacy widzą, że tak się nie dzieje, społeczne poparcie dla dalszej pomocy będzie słabnąć, a na relacje polsko-ukraińskie zaczynamy – jako społeczeństwo – patrzeć wyłącznie przez pryzmat pragmatyzmu i złych emocji. To podejście być może będzie skuteczne, ale nigdy nie zbuduje zaufania.

Pamięć o Wołyniu nie jest przeszkodą w pojednaniu. Jest jego fundamentem. Pytanie retoryczne zatem brzmi, czy zrozumie to społeczeństwo Ukrainy – bo na Zełenskiego nie liczę.

Arkadiusz Mularczyk

Hej Opole, hej góry

Z piosenkarką Haliną Mlynkovą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Czy festiwal w Opolu na dobre otwiera wakacyjny sezon muzyczny?

Halina Mlynkova: Myślę, że ten sezon już trwa, natomiast opolski festiwal zawsze jest okazją, by upamiętnić wspaniałe polskie piosenki, przypomnieć wszystkim, że polska piosenka ma się dobrze i że jej przeszłość oraz przyszłość też mają się dobrze. Zwłaszcza w bezpośredniej łączności ze słuchaczami, na żywo. To chyba jest najważniejsze w festiwalu – muzyczne spotkanie. Artystów z widzami i wszystkich z piosenką.

Co zaśpiewała pani na tegorocznym 63. KFPP?

„Czas relaksu" w duecie z Andrzejem Rybińskim. Bardzo się z tego cieszyłam, ponieważ to wspaniały artysta i wyjątkowy, cudowny człowiek. Drugim utworem była „Julia i ja" – piosenka, której nie znałam. Wspaniale było odkryć ją dla siebie i zaśpiewać dla widzów.

Opole za nami, a jak będzie wyglądało pani muzyczne lato?

Przygotowuję się do trasy koncertowej jesienno-zimowo-wiosennej, więc ograniczyliśmy plenerowe letnie granie. Także dlatego, że mamy już innego słuchacza, bardziej uważnego, świadomie przychodzącego na moje koncerty, a widz wakacyjny chce się bawić od pierwszej do ostatniej nuty. Tymczasem w moim repertuarze jest wiele piosenek refleksyjnych, zachęcających do tego, by się zatrzymać, wsłuchać w muzyczne i wokalne niuanse. Po 25 latach na scenie bliżej mi do utworu „Hej góry", który przepięknie brzmi z orkiestrą, niż do „Czerwonych korali". Bardzo zachęcam do jego wysłuchania.

Fot. halina mlynkova/facebook

eprasa.pl d07dcb0daa

TRENDY I OWĘDY

Zblatowanie beneficjentów!

Zasadnicze pytanie brzmi: kto jest większym nierobem, artyści czy politycy? Utalentowany przywódca Konfederacji rozprawił się na Facebooku z pomysłem dopłat do ZUS dla artystów: „STOP finansowaniu nierobów, beztalenci i darmozjadów z naszych pieniędzy!”. Tak się składa, że politycy też żyją z pieniędzy publicznych i mają rozmach, taki jak jedna posłanka, która rozliczyła sobie kilometrówkę na bogato, chociaż nie ma samochodu i mieszka w pobliżu Sejmu. Pomysł dopłat do ZUS dla artystów wymyślił nie kto inny, jak właśnie politycy. Ten projekt rządowy jest nie do zaakceptowania, bo godzimy się na to, by to urzędnicy decydowali, kto jest artystą. Pani ministra czy ministerka w swoim geniuszu powoła Komisję Opiniującą, mającą liczyć 155 osób. Ma być utworzone Centrum Edukacji i Pracy Artystycznej – CEiPA (fajna wymowa skrótu), gdzie posady znajdzie 29 osób. Całość kosztów ustalania, komu i ile jest szacowana na 300 mln zł. Mamy kolejną robotę dla swoich i ci swoi przekażą pieniądze swoim. A jacy są ci swoi?



Ryszard Makowski

Kto u nas tworzy środowisko artystyczne? Posłanka Małgorzata Wassermann przypomniała: „Maciej Stuhr żartował sobie ze śmierci mojego ojca, i to publicznie”. On „żartował”, ale rżało całe audytorium. Trudno nazwać tego artystę nierobem, bo po sławetnej wypowiedzi nie może się opędzić od ról. III RP od zarania dbała o to, by dofinansować – czy to w dziedzinie polityki, czy to sztuki – tych, którzy pomogą utrwalić postkomunę. Najnowszy pomysł dopłat dla wybranych artystów do ZUS to jeszcze mocniejsze zblatowanie w jedną siłę beneficjentów III RP.

ZDJĘCIE TYGODNIA Teraz Maja. Wielki sukces Chwalińskiej w Paryżu



Fot. Rex Features/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR, PAP/VLADYSLAV MUSIIENKO, DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS, ROBERT TADLA/MATERIAŁY KABARETU OTTO, IPN x2, MATERIAŁY PRASOWE FERRARI, SHUTTERSTOCK/OSCAR GONZALEZ FUENTES, REAL_LIFE_PHOTO, SABINO PARENTE

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl d07dcb0daa

„Żabka Biznes na dzień dobry” – rusza trzeci sezon podcastów z franczyzobiorcami Żabki

Żabka rusza z trzecim sezonem podcastów z franczyzobiorcami pod nazwą „Żabka Biznes na dzień dobry”. Po dwóch edycjach prowadzonych przez znane osobowości medialne tym razem po raz pierwszy w historii formatu pojawił się duet gospodarzy – Paulina Sykut-Jeżyna i Krzysztof Ibisz. Rozmowy pokazują różnorodne historie i perspektywy przedsiębiorców, łącząc wątki biznesowe z osobistymi doświadczeniami i drogą do sukcesu. Pierwszy odcinek będzie można obejrzeć 20 maja, kolejne co tydzień będą publikowane na kanale YouTube Żabka Biznes oraz na stronie ***www.zabka.pl/franczyza/podcasty***

Premiera pierwszego sezonu podcastów odbyła się w maju 2024 r. Obecnie sieć wraca do słuchaczy i widzów z kolejnym cyklem rozmów z franczyzobiorcami prowadzącymi sklepy. Pojawiają się tematy związane z zarządzaniem zespołem, budowaniem relacji z klientami, organizacją codziennej pracy czy łączeniem życia zawodowego z prywatnym. Ale to coś więcej niż rozmowy o przedsiębiorczości. To także historie o pasjach, motywacjach, inspiracjach oraz o tym, co daje radość i napędza do działania. Są one opowiedziane z bardzo ludzkiej perspektywy, bazują na doświadczeniach i realiach codziennego życia.

– Franczyzobiorcy Żabki to ludzie z niezwykłymi historiami, doświadczeniami i pasjami. Chcemy pokazać ich nie tylko jako przedsiębiorców, lecz także jako ludzi, którzy realizują swoje marzenia oraz rozwijają zainteresowania poza biznesem. Podcast „Żabka Biznes na dzień dobry” to przede wszystkim rozmowy o odwadze, rozwoju i codziennym życiu – mówi Kinga Hajducka, menedżerka komunikacji franczyzy Żabka Polska.

Dziś społeczność franczyzobiorców Żabki tworzy blisko 11 tys. osób w wieku 18–78 lat, wśród których jest ponad 1 tys. przedsiębiorców pochodzących z zagranicy, reprezentujących 15 różnych państw.



BIZNES, KTÓRY DAJE PRZESTRZEŃ NA PASJE

W nowym sezonie wśród rozmówców znajdą się osoby, które poza prowadzeniem sklepów rozwijają swoje pasje i realizują nietuzinkowe zainteresowania. Słuchacze poznają historie franczyzobiorców organizujących rodzinne wyprawy rowerowe, podróżujących po świecie, prowadzących szkoły tańca czy kolekcjonujących unikatowe zestawy LEGO z całego świata.

– Najbardziej zaskoczyło nas to, jak różnorodne historie stoją za przedsiębiorcami prowadzącymi sklepy Żabka. To osoby pełne energii, pasji i odwagi do działania. W tych rozmowach nie mówimy wyłącznie o biznesie, lecz także o życiu, marzeniach oraz zainteresowaniach, które udaje się rozwijać równolegle z prowadzeniem własnej działalności – dodają Krzysztof Ibisz i Paulina Sykut-Jeżyna, prowadzący trzecią edycję podcastów Żabki. Krzysztof Ibisz to jeden z najbardziej rozpoznawalnych prezenterów telewizyjnych w Polsce, od lat związany z telewizją. Paulina Sykut-Jeżyna jest dziennikarką i prezenterką telewizyjną, która od wielu lat prowadzi najważniejsze formaty rozrywkowe. W tym roku wspólnie wcielili się w rolę gospodarzy, wprowadzając słuchaczy i widzów w historie przedsiębiorców w trzecim sezonie podcastów „Żabka Biznes na dzień dobry”.

Każdy z 25 odcinków to inna historia. Materiały wideo będą publikowane co środę, od 20 maja br., m.in. na kanale YouTube Żabka Biznes, w aplikacjach streamingowych oraz na **https://www.zabka.pl/franczyza/podcasty/**.

Artykuł sponsorowany | 01/06/26/F

eprasa.pl d07dcb0daa



Poszukiwania ofiar zbrodni wołyńskiej we wsi Ugły w obwodzie równeńskim (marzec 2026 r.)

Banderowski knebel

Czy prezydent Karol Nawrocki może liczyć na wsparcie rządu w walce o polski honor? Niejednoznaczne wypowiedzi Donalda Tuska po skandalicznej decyzji Wołodymyra Zełenskiego nadającej elitarnej jednostce wojskowej imię Bohaterów UPA każą nam w to wątpić



MARCIN WIKŁO

Wygląda na to, że „banderowska piąta kolumna" w Polsce nie jest tylko publicystycznym wymysłem. To zorganizowany na szczeblu rządowym układ blokujący treści, które mogłyby „urazić naszych ukraińskich przyjaciół", np. przypominając o tym, że na Wołyniu doszło do ludobójstwa.

NA RĘKĘ WSZYSTKIM

„Paweł Kowal powiedział mi wprost, że mam przestać udzielać wywiadów. Usłyszałam, że każda moja wypowiedź oddala mnie od pozytywnego załatwienia mojej sprawy" – mówi Karolina Romanowska, przewodnicząca Stowarzyszenia Pojednanie Polsko-Ukraińskie. 18 osób z jej rodziny straciło życie w nocy z 12 na 13 maja 1943 r. we wsi Ugły w obwodzie równeńskim. Sotnia Ukraińskiej Powstańczej Armii pod dowództwem Nikona Semeniuka „Jaremy" spaliła wówczas 50 gospodarstw i w brutalny sposób zamordowała blisko 100 osób.

Romanowska najpierw opowiedziała swoją rodzinną historię w filmie „Sad

Fot. IPN

eprasa.pl d07dcb0daa

dziadka", a potem konsekwentnie walczyła o pozwolenie na poszukiwania i ekshumacje. Jakimś cudem to się udało, ale – paradoksalnie – nie było to na rękę polskiemu rządowi Donalda Tuska, który z Ukrainą woli się obchodzić jak z jajkiem. Zamiast cieszyć się z przełamania wieloletniego impasu, zaczęło się rzucanie kłód pod nogi. Ekipa poszukiwawcza została wysłana na Ukrainę tuż przed upływającym rocznym terminem ważności pozwolenia i dostała tylko cztery dni na pracę. W tak krótkim czasie nie udało się odnaleźć masowej mogiły, co ukraińskie media z ochotą podchwyciły, pisząc, że „Karolina Romanowska opowiada jakieś legendy, które nie mają odzwierciedlenia w prawdzie". Puenta była jeszcze szersza: „Na całej rówieńszczyźnie nie ma masowych grobów". Knebel zadziałał.

POLITYKA NIEPAMIĘCI

Wołodymyr Zełenski chyba się nie spodziewał, że nadając elitarnej jednostce, Samodzielnemu Centrum Operacji Specjalnych „Północ", imię Bohaterów UPA, rozpęta taką burzę. W pogoni za lawinowo spadającym poparciem wewnątrz kraju ukraiński przywódca chwyta nawet bardzo radykalne nastroje. Przedłużająca się wojna stępia w Ukraińcach wrażliwość historyczną, dlatego prezydent uznał, że dobrze będzie podnieść morale armii i społeczeństwa poprzez „nawiązanie do tradycji narodowych" oraz „uhonorowanie żołnierzy za ich rolę w obronie niepodległości i integralności terytorialnej państwa".

Gdy afera wybuchła, swoje dołożył rzecznik ukraińskiego MSZ Heorhij Tychyj: „Walka UPA symbolizuje wyłącznie sprzeciw wobec imperialnej polityki Moskwy i w żadnym razie nie jest wymierzona przeciwko Polakom". Ale zostawmy dzielny naród ukraiński z tymi mało przekonującymi tłumaczeniami, że „prezydent Zełenski mógł być źle poinformowany, jaki jest odbiór działalności UPA w Polsce". Po pierwsze, to oczywista nieprawda, pisze o tym choćby Andrzej Duda w autobiograficznej książce „To ja", wspominając, jak pięć lat temu osobiście edukował Wołodymyra w zakresie trudnej historii. A po drugie, o wiele ważniejsze dla nas powinno być to, jak na gloryfikację morderców Polaków zareaguje strona polska. I tutaj tak naprawdę zaczyna się historia, którą na światło dzienne wyciągnął prezydent Karol Nawrocki, wnioskując o odebranie ukraińskiemu przywódcy Orderu Orła Białego.

> Wnioskując o odebranie ukraińskiemu przywódcy Orderu Orła Białego, prezydent Karol Nawrocki powiedział: „W rodzinie europejskiej nie można gloryfikować bandytów i morderców, którzy mordowali kobiety i dzieci, mordowali Polaków"

„W rodzinie europejskiej nie można gloryfikować bandytów i morderców, którzy mordowali kobiety i dzieci, mordowali Polaków" – stwierdził Nawrocki. „Dzisiaj trzeba powiedzieć jasno. Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski dostarczył najlepszego materiału i wiele tlenu rosyjskiej propagandzie swoją decyzją. Oceniam to bardzo krytycznie" – mówił prezydent.

Pogrzeb ofiar ataku UPA na kolonię Katerynówka w powiecie Łuckim, maj 1943 r.



Fot. IPN

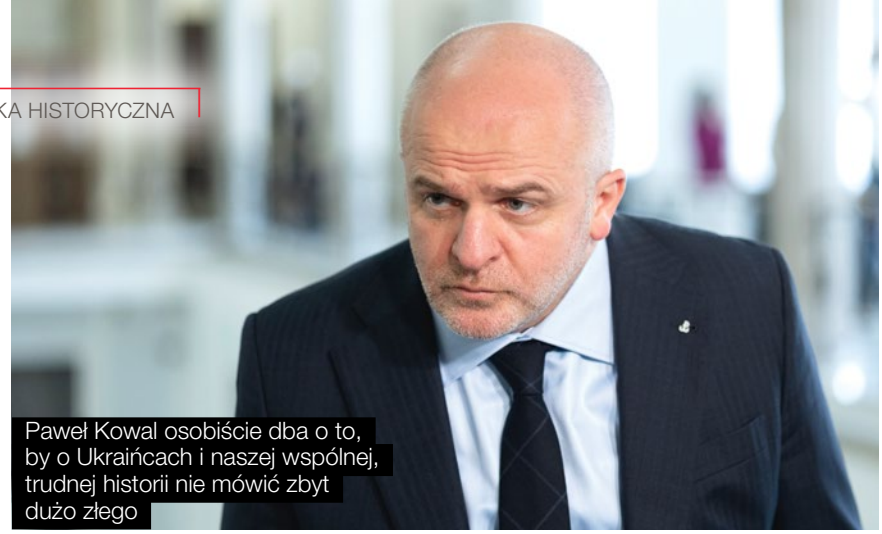
PIĄTA KOLUMNA

Było jasne, że czekają nas międzynarodowy skandal i poruszenie. Że odezwą się zwolennicy i krytycy tego pomysłu. Konstytucja mówi jasno: by odebrać to najwyższe polskie odznaczenie, do wniosku prezydenta potrzebna jest opinia kapituły (specjalne posiedzenie odbędzie się 8 czerwca br.) i kontrasygnata premiera.

Kanclerz kapituły OOB prof. Michał Kleiber powiedział w telewizji wPolsce24, że „odebranie orderu Wołodymyrowi Zełenskiemu wydaje się nieuniknione", więc trudno się spodziewać, by stanowisko kapituły było inne. Pozostaje kwestia decyzji na szczeblu premiera, a ona nie jest już taka oczywista.

Tusk najpierw rytualnie się oburzył, potem zaczął lawirować, strofując Zełenskiego oraz... Nawrockiego. „Jeśli pokłócimy się o przeszłość, ktoś inny wygra przyszłość. Prezydent Ukrainy powinien

eprasa.pl do odbiorcy



Paweł Kowal osobiście dba o to, by o Ukraińcach i naszej wspólnej, trudnej historii nie mówić zbyt dużo złego

Fot. Andrzej Wiktor

to wreszcie rozumieć. Polski też. Zanim będzie za późno!" – oświadczył premier.

„Nareszcie ważny polski polityk zrobił to, co powinien zrobić, to znaczy jednoznacznie potępił decyzję pana prezydenta Zełenskiego, która jest *de facto* wyrazem niebywałej buty i arogancji. […] To wszystko, co powiedział pan Nawrocki, zostało powiedziane właściwym językiem i zostały użyte właściwe słowa" – do dyskusji włączył się Leszek Miller w Polsat News. „Bo jak do tej pory to polscy politycy mieli i, jak sądzę, dalej mają taką tendencję, by żonglować słowami i cały czas chodzić w białych rękawiczkach. Żeby przypadkiem nie urazić kogoś w Kijowie" – mówił były premier, wprawiając w osłupienie prowadzącą program dziennikarkę.

Dostało się też goszczącej go telewizji Polsat: „Zamiast powiedzieć wprost, że jest to prowokacja, plucie w twarz ofiarom ludobójstwa i kpina z historycznej prawdy, to się mówi, że to jest kontrowersyjne. Słowo »kontrowersyjne« to dobry eufemizm dla tych, którzy boją się powiedzieć, że bandyta jest bandytą" – dodał Leszek Miller. Natomiast najważniejszy wątek otworzył, ujawniając ukraińskie lobby w polskim rządzie. „[…] jest zbyt wielu polityków w Polsce, którzy nie chcą się tym zajmować i jest zbyt silna piąta kolumna banderowska w Polsce, która torpeduje każde działanie, które zbliża się do prawdy o tym, co dzieje się na Ukrainie. […] Na czele tego stoi niewątpliwie pan Paweł Kowal" – podsumował Leszek Miller.

Dlaczego były szef rządu tak jednoznacznie wskazał na przewodniczącego sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych? Przecież po stronie koalicji 13 grudnia pojawiło się bardzo wiele głosów, mniej lub bardziej delikatnie namawiających prezydenta do przemyślenia decyzji o odebraniu odznaczenia. Anna Maria Żukowska: „[…] nie wiem, czy powinniśmy korzystać z aż takiego arsenału […] ktoś musi być mądrzejszy w tej relacji". Włodzimierz Czarzasty: „Takich spraw się nie załatwia, kto jest ważniejszy i kto jest mądrzejszy, poprzez ustawki w lesie. […] Prezydent naszego kraju, pan Nawrocki, powinien w takich sytuacjach zachowywać rozsądek przede wszystkim, bo najważniejszą sprawą jest bezpieczeństwo Polski, a nie kłótnie".

Słowa mocne, dosadne, ale – szczerze mówiąc – to tylko publicystyka. Żadna taka opinia nie jest dla prezydenta wiążąca. Z Pawłem Kowalem sprawa wygląda nieco inaczej. On mówi może mniej i nie tak barwnie, ale za to osobiście dba o to, by o Ukraińcach i naszej wspólnej, trudnej historii nie mówić zbyt dużo złego.

> Podczas prac zarówno w Ugłach (marzec 2026 r.), jak i w Puźnikach (kwiecień–maj 2025 r.) strona polska zawarła z Ukraińcami niepisaną umowę. Jak najmniej mediów, kamer, zdjęć. Im ciszej, tym lepiej. Dlaczego? Bo „Ukraińcy bali się tego, co wyjdzie z dołów"

CISZEJ W TYCH SPRAWACH

Podczas prac zarówno w Ugłach (marzec 2026 r.), jak i w Puźnikach (kwiecień–maj 2025 r.) strona polska zawarła z Ukraińcami niepisaną umowę. Jak najmniej mediów, kamer, zdjęć. Im ciszej, tym lepiej. Dlaczego? Bo „Ukraińcy bali się tego, co wyjdzie z dołów".

Tak opisuje to w książce „Kłopot z Zełenskim" Zbigniew Parafianowicz. „Dyplomata X: Kowal wprowadził – można powiedzieć – cenzurę. Nie wpuszczał dziennikarzy do miejsc, w których trwały prace. Nie pozwalał, by w Puźnikach pojawili się dziennikarze, którzy robiliby zdjęcia wydobywanych ofiar UPA. Dziennikarze mieli pojawiać się tam w kontrolowany sposób i nie robić zdjęć dołów, w których były ludzkie szczątki […]. Nie chciał internetowych dyskusji na temat tego, ile gwoździ odnaleziono w głowie zamordowanego dziecka".

Zdjęcia wydobytych szczątków oczywiście powstały, zrobiła je ekipa poszukiwawcza. Takie prace zawsze są szczegółowo dokumentowane. Co widać na fotografiach? Dla laika być może niewiele, mówimy przecież o zbrodni z 1945 r. i szczątkach w stanie częściowego rozkładu. Ale jest jasne, że wśród wydobytych szkieletów 42 osób było na pewno 16 kobiet, 10 mężczyzn i co najmniej 11 małoletnich. Przed szczegółowym badaniem jeden wniosek jest oczywisty – dzieci raczej nie zginęły w równorzędnej walce.

W Ugłach nie udało się odnaleźć mogiły, ale Karolina Romanowska, stojąc na wprost ukraińskich mediów, powiedziała wtedy w emocjach, że „kiedy ich odnajdziemy, zobaczycie, co UPA robiła z Polakami". Polscy urzędnicy zadrżeli – takie słowa miały przecież nigdy nie padać publicznie.

Jak słyszę od osób, które uczestniczyły w pracach, „bardziej nawet niż Paweł Kowal dbała o to minister kultury Marta Cienkowska". A to już oznacza, że taka musiała być wola samego premiera Donalda Tuska. Retorycznie nie sprzeciwiać się, krytykować Ukrainę, ale robić tak, żeby nie wyszło nic, co mogłoby być twardym dowodem zbrodni.

Jak to działa w praktyce? Karolina Romanowska, gdy tylko uzyskała zgodę strony ukraińskiej na poszukiwania szczątków swoich bliskich, zgłosiła się do ministerstwa kultury, resortu mającego

23/05826/F

eprasa.pl d07dcb0daa

nadzorować prace we współpracy z IPN. Wówczas ministrem była Hanna Wróblewska. Potraktowała potomków pomordowanych bardzo obcesowo, jak intruzów. A ówczesna wiceminister Marta Cienkowska w przypływie szczerości stwierdziła, że rząd Tuska nie będzie się tym zajmował, bo „według badań Polacy chcą tylko ekshumacji, a wcale nie zależy im na rozdzieraniu ran i nadmiernej dyskusji, którą wywołałaby kwestia konieczności upamiętnienia pomordowanych".

PRZYJACIEL NACJONALISTÓW

Paweł Kowal od lat jest aktywny w polsko-ukraińskim dialogu, w rządzie pełni ważną funkcję przewodniczącego Rady do Spraw Współpracy z Ukrainą. To najważniejsze ciało przy premierze, które tak naprawdę decyduje o polityce wobec Kijowa. Raczej nie ma wielkich sukcesów. Słyszymy wielkie słowa o odblokowaniu ekshumacji po 20 latach, ale w tym procesie – i tego z rządu już się nie dowiemy – wielką rolę odegrali też ludzie poprzedniego premiera Mateusza Morawieckiego. Choćby Michał Dworczyk, który na Ukrainie jest znany i ceniony za swoją często cichą, ale skuteczną pracę, realnie wzmacniającą naszych sąsiadów w wojnie z rosyjskim najeźdźcą.

Osoby, które dobrze znają tematykę wschodnią, zwracają uwagę na krąg przyjaciół Pawła Kowala – szeroki, ale jednostronny. „Jest zaprzyjaźniony raczej z grupą polityków i działaczy związanych z poprzednim prezydentem Petro Poroszenką, to ukraińscy nacjonaliści. Jak więc ma robić im wbrew i pozwalać na udowadnianie nacjonalistycznych zbrodni na Polakach?" – słyszę.

Paweł Kowal był ostatnio nieuchwytny, przebywał w USA, reprezentował Sejm RP na spotkaniach z kongresmenami. Przed wylotem zrewanżował się Leszkowi Millerowi na platformie X wpisem pełnym złośliwości, ale już Krzysztofowi Bosakowi udzielił szerszej odpowiedzi na zarzut cenzurowania dziennikarzy podczas poszukiwań. Jest w niej mowa o tym, że dokumentacja fotograficzna stanowi obecnie własność prokuratury prowadzącej śledztwo w sprawie zbrodni i o tym, że to szefowie ekspedycji decydowali, czy i z jak bliska media mogą obserwować prace.

Z osobistego doświadczenia wiem, że to mało finezyjny wykręt. Jako dziennikarz (czasem jako jedyna osoba postronna) wielokrotnie towarzyszyłem w pracach prowadzonych przez IPN – zarówno w Polsce, jak i za granicą – i nigdy nie było z tym problemu. Co więcej, badaczom zależało na tym, by pisać i mówić o ich pracach. Niedorzecznością jest także argument, że pokazywanie ekshumowanych szczątków może sprawić przykrość rodzinom. Tu znów mogę się odwołać do własnego doświadczenia, niejeden raz nad dołami śmierci spotykałem się z potomkami tych, których szukano. To zawsze były prawdziwe, szczere, wzruszające, czasem skropione łzami rozmowy. Zawsze z jedną nadzieją – by odkryć prawdę, co tak naprawdę się stało, by nigdy już więcej nie pozwolić na zakłamanie lub przemilczanie historii. By nikt nigdy nie nakładał na nas żadnego knebla.

REKLAMA

POMÓŻMY CHRZEŚCIJANOM W ZIEMI ŚWIĘTEJ



WPŁATY NA KONTO:
FUNDACJA INSTYTUT MEDIÓW
03 1140 2004 0000 3002 7860 6231

TYTUŁ PRZELEWU:
POMOC DLA CHRZEŚCIJAN
W ZIEMI ŚWIĘTEJ

+PRO+TERRA+SANCTA+
WSPARCIE DLA CHRZEŚCIJAN W ZIEMI ŚWIĘTEJ

WIĘCEJ O AKCJI POMOCY:

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

Zwierzchnictwo w Polsce
Zakonu Rycerskiego
Świętego Grobu w Jerozolimie

Fundacja
Instytut Mediów

eprasa.pl d07dcb0daa

Mózg Kosiniaka-Kamysza

Magdalena Sobkowiak-Czarnecka jest przymierzana do takiej roli, jaką kilkanaście lat temu odegrała Elżbieta Bieńkowska



STANISŁAW JANECKI

42-letnia kobieta, nienależąca do doświadczonych i „ostrzelanych" w polskiej polityce, wicepremierem? Taką sensacyjną wiadomość podali twórcy podcastu „Polityczny WF" w Polsat News – Marcin Fijołek i Piotr Witwicki. I wywołali spore zamieszanie, sugerując, że miałaby to być jedna z najważniejszych twarzy rządzącego układu w kampanii wyborczej w 2027 r. Chodzi o Magdalenę Sobkowiak-Czarnecką, od października 2025 r. pełnomocnik rządu do spraw Instrumentu SAFE. Podobno plany wobec niej mają obejmować powierzenie jej funkcji wicepremiera jeszcze w trakcie kampanii wyborczej, czyli w obecnym rządzie, a także w nowym gabinecie, gdyby rządzący obecnie układ utrzymał władzę.

eprasa.pl d07dcb0daa

Politycy Koalicji Obywatelskiej mówią, że Donald Tusk zaakceptował Magdalenę Sobkowiak-Czarnecką i nie robi jej żadnych nieprzyjemnych uwag (jak ma w zwyczaju wobec kobiet w swoim gabinecie, o czym najboleśniej przekonała się minister Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz). A szef rządu dobrze wie, że to najważniejsza osoba w otoczeniu Władysława Kosiniaka-Kamysza, wicepremiera i ministra obrony. W PSL jest nazywana jego „mózgiem", była bowiem szefową zespołu doradców prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego. Kierowała także jego kampanią prezydencką w 2020 r.

W otoczeniu Kosiniaka-Kamysza mówi się, że Donald Tusk chciałby „zajumać" „mózg" swego wicepremiera, ale podobno Sobkowiak-Czarnecka jest ostrożna ze względu na to, co premier robił i robi z niektórymi kobietami w swoim rządzie. Pracowała już blisko Tuska, gdyż 4 stycznia 2024 r. została podsekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, w pionie do spraw Unii Europejskiej, ale nie zbliżyła się do niego na tyle, by poznać go od złej strony.

Jej kariera nie musi się jednak potoczyć tak jak kariera Elżbiety Bieńkowskiej, która w latach 2013–2014 była wicepremierem, a potem została komisarzem UE (2014–2019). Na razie ktoś „życzliwy" z otoczenia wicepremiera Kosiniaka-Kamysza przypomniał Sobkowiak-Czarneckiej nie Elżbietę Bieńkowską, lecz prof. Zytę Gilowską, którą Tusk się zachwycał, a potem potraktował wyjątkowo brutalnie. To jednak premier musiałby zdecydować o awansie Sobkowiak-Czarneckiej i niejako ją przejąć, aby uczynić twarzą kampanii, bo przecież nie zanosi się na jeden blok całej koalicji rządzącej.

W STYLU BEATY SAWICKIEJ

Pod koniec maja 2026 r. szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz m.in. wraz z Magdaleną Sobkowiak-Czarnecką i gen. Arturem Kuptelem, szefem Agencji Uzbrojenia odpowiedzialnej za zakupy sprzętu dla wojska, objeżdżali kraj, podpisując kolejne kontrakty w polskich zakładach zbrojeniowych. Zawitali wtedy do Huty Stalowa Wola, gdzie Magdalena Sobkowiak-Czarnecka wygłosiła przemówienie. Powiedziała m.in.: „Tak wygląda skuteczność w polityce europejskiej. Dzisiaj w Hucie Stalowa Wola zakontraktowaliśmy 60 mld zł. Tyle Francja otrzymuje z całego programu SAFE. Jeśli kogoś to porównanie nie przekonuje, to powiem wam więcej. Te 60 mld to tyle, ile dostanie w sumie sześć krajów: Czechy, Chorwacja, Finlandia, Hiszpania, Portugalia [szóstego nie wymieniła]. Te kraje razem dostają tyle z SAFE, ile my dzisiaj zostawiamy w Hucie Stalowa Wola. I tak wygląda też skuteczność w polityce krajowej, bo przez ostatnie pół roku wielu było tych, którzy mocno trzymali kciuki, żeby ten projekt nie wyszedł. Panie prezydencie, rozmawiałam z panem przez wiele godzin o mechanizmie SAFE, z pana doradcami. I co? Ja mówiłam prawdę, a pana doradcy zrobili pana w balona. Wszystko się zgadza, polskie firmy, wielkie umowy i wielka modernizacja polskiej armii. Pieniądze, które zostają w Polsce. A będzie ich więcej, bo będą jeszcze umowy z innymi państwami i te państwa też będą wydawały pieniądze w Polsce. Także tutaj".

60 mld zł, które ma trafić do Huty Stalowa Wola, to nie żaden wielki dar, tylko pożyczka. Wprawdzie tej firmy nie powinno to obchodzić, bo nie ona będzie ją spłacać, ale te pieniądze wcale nie są pewne, skoro nie wiadomo nawet, jak ten kredyt będzie oprocentowany i jakie warunki postawi Komisja Europejska, która musi zatwierdzić każdy kontrakt. A mówienie do głowy państwa, że została „zrobiona w balona", nie tylko nie przystoi, lecz także jest wyjątkowym przejawem arogancji.

Te słowa mogły być próbą udowodnienia Donaldowi Tuskowi, że Sobkowiak-Czarnecka jak najbardziej nadaje się na jego zastępcę i jest gotowa atakować prezydenta Nawrockiego równie chamsko jak szef MSZ Radosław Sikorski. Ale to, co podoba się Donaldowi Tuskowi, wcale nie musi się podobać Polakom, którzy według badań największe zaufanie mają właśnie do prezydenta Karola Nawrockiego. W Stalowej Woli Sobkowiak-Czarnecka udowodniła, że weszła już na taki poziom demagogii, iż może rywalizować z samym Tuskiem.

Na zakończenie swego wystąpienia poszła w kiczowaty melodramat: „Dzisiaj jestem bardzo wzruszona, bo to jest sześć miesięcy trudnej pracy. Córeczko, wiem, że nie było mnie w domu w Dzień Matki. Nie wybaczę tym, przez których czytasz i boisz się, czy mama nie pójdzie do więzienia. Do żadnego więzienia nie idę. Buduję bezpieczną i silną Polskę. Polskę SAFE". Obawy o więzienie są akurat uzasadnione, bo umowa to gruby przekręt prawny, tyle że to nie Sobkowiak-Czarnecka ją podpisywała, więc albo się lewaruje, sytuując obok Władysława Kosiniaka-Kamysza i Andrzeja Domańskiego, albo uznała, że melodramat w stylu Beaty Sawickiej jest dobrym narzędziem zyskiwania poparcia, a przynajmniej współczucia.

29 maja 2026 r. w programie Polsatu „Gość Wydarzeń" Magdalena Sobkowiak-Czarnecka przebiła takich zagończyków w KO jak Michał Szczerba i Dariusz Joński, Konrad Frysztak, rzecznik rządu Adam Szłapka, rzeczniczka partii Dorota Łoboda, Witold Zembaczyński czy Mariusz Witczak. Próbowała być sarkastyczna: „Ogromne podziękowania dla pana premiera Mateusza Morawieckiego. To on przeprowadził w polskim parlamencie ratyfikację decyzji Rady o zasobach własnych, czyli o tym, że kraje unijne zgadzają się na to, by Komisja Europejska w ich imieniu zaciągała pożyczki na rynkach międzynarodowych. My dzisiaj korzystamy z tej zasady w mechanizmie SAFE". Oczywiście nie były to żadne szczere podziękowania, tylko coś w stylu wpisów Donalda Tuska, więc i na tym polu widać chęć przypodobania się premierowi.

UCZENNICA TUSKA I SIKORSKIEGO

Magdalena Sobkowiak-Czarnecka udowodniła, że sama wystarczyłaby rządowi za ministerstwo propagandy. W Polsacie stwierdziła: „Nie ma tego wszystkiego, o czym mówiła opozycja, że to będą jakieś niemieckie czy inne kontrakty, że te pieniądze wyjadą za granicę. Nic takiego się nie stało. My te kontrakty podpisujemy w polskim przemyśle zbrojeniowym. Udało się więcej, niż zakładaliśmy. Przez te trzy dni [pod koniec maja 2026 r.] to my je tylko podpisujemy, a te umowy negocjowane były przez ostatnie kilka, kilkanaście tygodni. Przecież to nie jest tak, że nie było żadnych przygotowań. My to

Fot. Wojciech Stróżyk/REPORTER

eprasa.pl d07dcb0daa

konsekwentnie przygotowywaliśmy. Teraz jedynie finalizujemy ten proces przez podpisywanie umów". Bez mrugnięcia okiem zapewniała, że „większość tych wspólnych zakupów [od 1 czerwca 2026 r. możliwe są tylko kontrakty z udziałem innego państwa UE i EOG oraz Ukrainy] to będą kontrakty, na których korzystają polskie firmy. Już mamy jasne deklaracje z Grecji, z Rumunii, ze Szwecji, z Norwegii, Kanady. To jest historyczna chwila, kiedy Kanada kupuje w polskim przemyśle zbrojeniowym. Nie było jeszcze takiego momentu w naszej historii". Na razie to tylko słowa, bo inne państwa specjalnie się nie wyrywały do składania w Polsce zamówień w ramach SAFE (może poza Ukrainą, która liczy, że nie będzie za to płacić).

„Mówiliśmy, że będą rekordowe kwoty dla polskiego przemysłu. Przed chwilą w Hucie Stalowa Wola podpisane umowy z SAFE na 60 mld zł. A co tam u Lucjusza Nadbereżnego? SAFE dalej nie pasuje?" – zapytała 30 maja 2026 r. Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, wywołując do tablicy prezydenta Stalowej Woli. „U mnie wszystko dobrze. Gdyby jednak nie zabrakło klasy i odwagi, a gospodarz miasta, gdzie funkcjonuje HSW, zostałby zaproszony na dzisiejsze wydarzenie, mógłbym osobiście przedstawić pani swoje odczucia, wątpliwości oraz potrzeby rozwojowe Stalowej Woli. Ponieważ nie otrzymałem takiego zaproszenia, pozwolę sobie zadać kilka pytań publicznie" – napisał Lucjusz Nadbereżny i zadał owe pytania. Potem prezydent Stalowej Woli zaprosił Magdalenę Sobkowiak-Czarnecką na „poważną i konkretną rozmowę o naszych wątpliwościach, potrzebach oraz szansach rozwojowych".

W tej wymianie „uprzejmości" było widać, że pełnomocniczka ds. SAFE upodobała sobie nie tylko styl Donalda Tuska, lecz także Radosława Sikorskiego i jego kumpla Romana Giertycha. To wywołało spore zdziwienie w PSL, bo partia nie chce, by jej politycy byli tak brutalni jak koalicjanci z KO, by stosowali pokrętną retorykę i zadawali ciosy poniżej pasa. Tym bardziej są zdziwieni, że robi to kobieta, i to całkiem dobrze wykształcona.

Z MEDIÓW DO POLITYKI

Zanim Magdalena Sobkowiak-Czarnecka została pełnomocniczką rządu do spraw SAFE, przez wiele lat była dziennikarką. Karierę rozpoczęła w 2006 r., kiedy podjęła pracę w poznańskim radiu RMI FM. W 2007 r. związała się z poznańskim oddziałem TV Biznes, gdzie była reporterką i prezenterką. W 2008 r. została dziennikarką grupy Polsat, przygotowywała materiały dziennikarskie dla Polsat News oraz „Wydarzeń". W 2009 r. przeszła do Panoramy w TVP2. Relacjonowała tam politykę krajową i międzynarodową, m.in. wizyty zagraniczne prezydenta Bronisława Komorowskiego oraz premiera Donalda Tuska. Obsługiwała także wybory prezydenckie w USA w 2012 r. W latach 2015–2016 była korespondentką TVP w Brukseli. Relacjonowała wydarzenia związane z działaniem Unii Europejskiej. Obsługiwała m.in. wybory parlamentarne w Wielkiej Brytanii w 2015 r., informowała o zamachach w Paryżu i Brukseli. W 2016 r. zrezygnowała z pracy w Telewizji Polskiej.

> W Stalowej Woli Sobkowiak-Czarnecka udowodniła, że weszła już na taki poziom demagogii, iż może rywalizować z samym Tuskiem

W jej portfolio można znaleźć informacje, że ukończyła kurs dziennikarstwa multimedialnego Agencji Reutera w Londynie, Szkołę Liderów Politycznych, Leadership Academy for Poland (program we współpracy z Harvard Kennedy School) oraz szkołę CEU Democracy Institute Leadership Academy w Budapeszcie.

Przez dwa lata pracowała w Komisji Europejskiej jako doradca ds. komunikacji, speechwriter i ekspertka polityki obronnej, gospodarczej i kosmicznej. „Praca w KE pozwoliła mi zdobyć ogromną wiedzę o sekretach funkcjonowania unijnych instytucji. To dało mi przewagę w negocjacjach przy SAFE. Z kolei podczas prezydencji Polski zyskałam umiejętność kierowania wielkim zespołem rozproszonym w administracji" – chwaliła się Sobkowiak-Czarnecka.

W latach 2019–2023 była szefową zespołu doradców Władysława Kosiniaka-Kamysza oraz szefową jego kampanii prezydenckiej. Efekty były takie sobie, skoro przegrał nie tylko z Andrzejem Dudą i Rafałem Trzaskowskim, lecz także całkiem zdecydowanie z Szymonem Hołownią i Krzysztofem Bosakiem. Wynik 2,36 proc. głosów był ewidentnie klęską. Sobkowiak-Czarnecka pracowała jeszcze w sztabie wyborczym Koalicji Europejskiej (wybory do Parlamentu Europejskiego w 2019 r.) i w sztabie PSL (wybory parlamentarne w 2019 r.).

4 stycznia 2024 r. została podsekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w pionie ds. Unii Europejskiej. Koordynowała przygotowania oraz prace polskiej prezydencji w Radzie UE. Była prelegentką na takich wydarzeniach jak UCL Leaders Conference w Londynie, Forum Ekonomiczne w Karpaczu czy Europejski Kongres Gospodarczy w Katowicach. Założyła też ogólnopolską organizację „Kobiety w Centrum", promującą lokalnie równouprawnienie i aktywność kobiet w życiu publicznym. Stała na jej czele do grudnia 2025 r.

Jej ojcem jest Jacek Sobkowiak (rocznik 1960), prezes poznańskiej spółki Tormel (wykreślonej z rejestru przedsiębiorców 29 maja 2025 r.), głównego wykonawcy remontu poznańskiego Starego Rynku, ul. Święty Marcin i innych elementów miejskiej infrastruktury Poznania. Reprezentowana przez niego spółka była niemiłosiernie krytykowana przez mieszkańców, lokalne media i stowarzyszenia za fatalną jakość prac, nieterminowość, nieprzestrzeganie zasad BHP i lekceważenie mieszkańców. 26 sierpnia 2024 r. Jacek Sobkowiak został wykreślony z KRS jako reprezentant spółki. W tym czasie córka robiła już karierę w polityce.

eprasa.pl d07dcb0daa



Bąkiewicz skazany, Lempart i Suchanow uniewinnione

Państwo Donalda Tuska zostało osadzone na osi odwrotności. Mechanizm politycznej zemsty wyznacza kierunki wszelkich działań, nie mając względu na ład prawny, porządek społeczny, obyczaj polityczny czy interes narodowy. Jednym z ostatnich przykładów jest wyrok skazujący Roberta Bąkiewicza. Człowiek, który bronił kościołów przed profanacją, został ukarany, a agresywne aktywistki Strajku Kobiet – uniewinnione. Tak Koalicja Obywatelska spłaca swoje długi!



Fot. Andrzej Wiktor

MARZENA NYKIEL

Każdego dnia pojawia się tak wiele szokujących doniesień, że powoli zacierają się wydarzenia z niedalekiej nawet przeszłości. Czy jeszcze pamiętamy, jak wyglądały czarne protesty w 2020 r. organizowane przez Strajk Kobiet? Co się działo na ulicach i jak niebezpieczny był agresywny szturm na katolickie kościoły? Gdyby próbować nakreślić ich obraz na podstawie obecnej linii orzeczniczej, można by dojść do wniosku, że ofiary są przestępcami, a przestępcy – ofiarami.

eprasa.pl d07dcb0daa

JAWNA STRONNICZOŚĆ SĄDU

Sędzia Marta Pilśnik z Sądu Rejonowego dla Warszawy-Śródmieścia skazała Roberta Bąkiewicza za obronę warszawskiej bazyliki Świętego Krzyża 25 października 2020 r. Uznała go za winnego spowodowania lekkiego uszczerbku na zdrowiu aktywistki Andżeliki Domańskiej. Nałożyła na niego karę 10 miesięcy ograniczenia wolności w formie nieodpłatnych prac na cele społeczne w wymiarze 30 godzin miesięcznie oraz orzekła obowiązek zadośćuczynienia oskarżycielce w kwocie 5 tys. zł. Sąd uznał, że Bąkiewicz, działając wspólnie i w porozumieniu z nieustalonym mężczyzną, przy użyciu siły fizycznej sprowadził Domańską po schodach, w efekcie czego upadła, uderzając głową o chodnik, w wyniku czego doznała obrażeń zewnętrznych w postaci sińców. Rzecz jednak w tym, że – jak podkreśla oskarżony – sąd oparł się wyłącznie na zeznaniach i świadkach Domańskiej, nie dopuszczając złożonych przez niego dowodów niewinności.

Kulisy tego procesu mrożą krew w żyłach. Bąkiewicz został niemal całkowicie pozbawiony możliwości obrony. Ze zgłoszonych przez niego niemal 30 świadków przesłuchano zaledwie jednego. Sędzia nie wzięła też pod uwagę dowodów, choć całą sytuację do dziś można zobaczyć na zarejestrowanych nagraniach.

Andżelika Domańska była jedną z głównych aktywistek próbujących wedrzeć się do kościoła przy Krakowskim Przedmieściu po wcześniejszych zachętach Klementyny Suchanow i Marty Lempart do tego, by zrobić „dym w kościołach". Na świątynię, w której trwała modlitwa, napierał rozjuszony tłum. Do figury Chrystusa niosącego krzyż, tak symbolicznej i pełnej historycznych kontekstów, próbowano przyczepić tęczową flagę LGBT+. Padały wulgarne hasła. Robert Bąkiewicz wraz z innymi katolikami stali na straży kościoła i uniemożliwiali aktywistom wtargnięcie do środka. Wśród awanturników była Domańska, którą Bąkiewicz sprowadził ze schodów. Całe zajście zostało zarejestrowane i nie widać, by poniosła jakąkolwiek szkodę.

„To jest lincz sądowy" – powiedział Bąkiewicz po opuszczeniu sali sądowej, zapowiadając apelację. Stwierdził, że sposób działania sędzi Pilśnik przypomina „wyroki stalinowskie, które skazywały ludzi wbrew dowodom i faktom". Podkreślił, że sędzia uchyliła blisko 30 świadków wydarzenia ani nie rozpatrzyła złożonych w materiale dowodowym nagrań.

„SĄD BEZCZELNIE KŁAMIE, a ja zostałem wyprowadzony z sali! To, co wydarzyło się dzisiaj, to absolutna farsa i skandal. Sędzia Marta Pilśnik ogłosiła wyrok skazujący, bezczelnie mijając się z prawdą. Kiedy domagałem się moich praw, zostałem... już po raz drugi w tym procesie wyprowadzony z sali przez policję! Mamy do czynienia z kompletnym bezprawiem: Sąd NIE dopuścił moich świadków. Sąd NIE obejrzał nagrań wideo, które jednoznacznie pokazują, jak było. Efekt? Agresorzy ze Strajku Kobiet, tacy jak Andżelika Domańska, którzy atakowali kościoły, stają się »ofiarami«. A ludzie, którzy stanęli w obronie wartości, wiary i świątyń, są skazywani. Przestępcy w tym systemie mogą czuć się bezpiecznie, a przyzwoici ludzie ponoszą konsekwencje" – napisał Robert Bąkiewicz w mediach społecznościowych.

KŁAMLIWA AGRESJA STRAJKU KOBIET

Z orzeczenia sądu niezwykle zadowolona była Klementyna Suchanow, o której szerzej za chwilę. Zaatakowała na platformie X córkę Roberta Bąkiewicza Blankę, którą sędzia Pilśnik również usunęła z sali podczas procesu. „Byłam na miejscu i nie tylko pchał ze schodów Andżelikę, ale także moją córkę. Ciebie tam nie było, ja byłam. Są też filmy. Rozumiem, że to ojciec, ale nie da się zaprzeczyć nagraniom. Może to czas, by zrozumieć, co robił tatuś?" – napisała Suchanow, której Blanka odpowiedziała krótko: „Barbarzyńcy ze #StrajkKobiet atakowali kościoły i bili wiernych. Klementna Suchanow nawet z własną córką chciała puszczać kościół z dymem. Dziś udają ofiary... Ale my ich rozliczymy! A mój Tata to bohater!".

W jednym z wywiadów wspominała też, że w czasie manifestacji jej ojciec otrzymywał groźby odwetu na jego rodzinie. „Wyjechaliśmy z domu. Mój najmłodszy brat miał wtedy miesiąc. Tata musiał nas ewakuować, bo dostawał groźby, że oni idą pod nasz dom, by zaatakować. Tata nie pozwalał mi przez tydzień wychodzić, bo bał się o moje bezpieczeństwo. Ta grupa nie ma żadnych hamulców. Nie zatrzymuje się przed niczym" – powiedziała Blanka Bąkiewicz.

Przypomnijmy więc, co działo się jesienią 2020 r., gdy przez Polskę przetaczała się fala czarnych marszów. Marta Lempart i aktywistki Strajku Kobiet rozpętały dziką histerię po wyroku Trybunału Konstytucyjnego, który orzekł, że polska konstytucja nie pozwala na zabijanie dzieci nienarodzonych z przyczyn eugenicznych, a więc tylko dlatego, że istnieje podejrzenie ich choroby. I choć TK podtrzymał jednocześnie dopuszczalność aborcji, gdy dziecko zostało poczęte w wyniku czynu zabronionego albo ciąża zagraża zdrowiu lub życiu matki, feministki, posługując się kłamliwą manipulacją, rozpętały wojnę z rządem i Kościołem. Było naprawdę groźnie. Agresywne protesty trwały wiele dni, a fizyczne ataki były wymierzone wprost w Kościół. Aktywistki zniszczyły fasady wielu świątyń w całej Polsce, malując na nich obraźliwe, wulgarne i proaborcyjne hasła.

Do tych działań zachęcały liderki Strajku Kobiet. Marta Lempart wywrzaskiwała hasło „Dym w kościołach", a zapytana na antenie Radia ZET, czy naprawdę trzeba posuwać się do wchodzenia do kościołów i niszczenia fasad budynków kościelnych, odparła jednoznacznie: „Ależ oczywiście, że trzeba robić to, co się czuje, co się myśli, co jest skuteczne i to, na co zasłużyli. To jest tolerancja dla katolików". Po tym, jak zdziczały tłum sprofanował świątynie, zabytkowe budynki i ulice, Klementyna Suchanow oświadczyła w TVN24, że nie ma w sobie żalu za takie zajścia, a Kościół po prostu sobie na to zasłużył.

Były też wtargnięcia do świątyń podczas mszy świętej. Wśród sprawców nie zabrakło polityków. Joanna Scheuring-Wielgus wraz ze swoim mężem stanęli przed ołtarzem z proaborcyjnym transparentem. Akt ten stanowił jasny instruktaż dla antyklerykalnych bojówek i zachęcał do daleko posuniętych działań.

eprasa.pl d07dcb0daa

OBRONA KOŚCIOŁÓW

Trudno, by katolicy patrzyli na ten atak ze spokojem. Robert Bąkiewicz wezwał wówczas do obrony kościołów. Odzew był bardzo liczny. Otoczono kordonem świątynie najbardziej zagrożone szturmem. W Warszawie były to kościoły św. Aleksandra i św. Krzyża. Odmawiano różaniec i powstrzymywano agresorów przed wtargnięciem do środka. Okazało się, że modlitwa nie wystarczy i trzeba stawić czoło agresywnym bojówkom. Przy niezrozumiałej bierności policji i wsparciu ówczesnej opozycji aktywiści nie przebierali w środkach. Obrońcy przyjmowali wręcz fizyczne ciosy, czego doświadczył sam Bąkiewicz, którego przed kościołem św. Krzyża uderzono w głowę aparatem fotograficznym. Były także fizyczne ataki na policjantów.

Warto przypomnieć, że wsparcie dla tych działań płynęło nie tylko ze strony ówczesnej opozycji, która podburzała do ataków. Przychodziło z najbardziej radykalnych stron, od Antify po Światowy Zakon Szatana. The Global Order of Satan z zainteresowaniem śledził wydarzenia w Polsce, wyrażając pełne wsparcie: „Dziesiątki tysięcy polskich obywateli zablokowało ludzi przed pójściem do kościoła i mszy. […] To piękna i najbardziej satanistyczna akcja". Ze statystyk policyjnych wynika, że tylko od 25 października do 2 marca doszło w Polsce do 152 ataków na kościoły.

OSŁONA PRAWNA I POLITYCZNA DLA AGRESORÓW

Agresja była tym większa, że Platforma Obywatelska wraz z wojującymi organizacjami prawniczymi zagwarantowały aktywistom pełną ochronę prawną i polityczną. 30 października 2020 r. politycy PO zorganizowali „sieć obrony protestujących" i mimo trwającej pandemii koronawirusa zachęcali do udziału w demonstracjach. Ówczesny szef Platformy Borys Budka oraz Barbara Nowacka, Kamila Gasiuk-Pihowicz i Elżbieta Zielińska wystąpili w maskach z piorunami i wygłosili płomienne odezwy, zapewniając, że każdy protestujący otrzyma bezpłatną „pomoc prawną w biurach poselskich Platformy Obywatelskiej".

Prezes Naczelnej Rady Adwokackiej Jacek Trela wraz z mec. Jackiem Dubois poinformowali, że adwokatura zorganizowała pomoc dla osób zatrzymanych, a w akcję jest zaangażowanych ponad tysiąc adwokatów, głównie młodych. „Pamiętajcie, że każdy zatrzymany ma prawo zażądać pomocy adwokata. Na naszych stronach internetowych są opublikowane listy adwokatów chętnych do pomocy" – mówił Jacek Trela.

> Kulisy tego procesu mrożą krew w żyłach. Bąkiewicz został niemal całkowicie pozbawiony możliwości obrony. Ze zgłoszonych przez niego niemal 30 świadków przesłuchano zaledwie jednego. Sędzia nie wzięła też pod uwagę dowodów, choć całą sytuację można zobaczyć na zarejestrowanych nagraniach

BEZKARNOŚĆ I AWANS

Jak się zakończył ten anarchistyczny skandal? W październiku 2024 r. Sąd Okręgowy w Warszawie uniewinnił Martę Lempart, Klementynę Suchanow i Agnieszkę Czerederecką-Fabin. W uzasadnieniu podważył jednocześnie wyrok Trybunału Konstytucyjnego! Orzekał sędzia Tomasz Grochowicz. Ten sam, który już w 2021 r. nie dopatrzył się niczego niewłaściwego w agresywnych działaniach liderek Strajku Kobiet i odesłał akt oskarżenia do prokuratury. Ten sam, który w styczniu 2022 r. uznał, że Jakub Żulczyk, nazywając prezydenta „debilem", nie zniesławia głowy państwa.

Uniewinnienie to jednak tylko początek wsparcia, jakie obiecała Platforma Obywatelska.

W kwietniu 2025 r. rząd Tuska stworzył specjalną jednostkę mającą ścigać PiS za działania wobec protestujących, także wobec Strajku Kobiet. Adam Bodnar wspólnie z Tomaszem Siemoniakiem powołali „komisję ds. wyjaśnienia mechanizmów represji wobec społeczeństwa obywatelskiego oraz działaczy społecznych w latach 2015–2023". Na jej czele postawiono mec. Sylwię Gregorczyk-Abram, która wciąż nie wyjaśniła bulwersujących doniesień o swojej aktywności w grupie „Wejście", mającej omawiać siłowe przejęcie mediów publicznych. Tę samą, która wybroniła Barbarę Kurdej-Szatan od zarzutów znieważenia obrońców granic. Jeszcze ciekawszy był skład komisji. Do 11-osobowego grona Adam Bodnar powołał nie kogo innego, jak Klementynę Suchanow.

Antyklerykalnych zadymiarzy specjalną opieką otoczył także Waldemar Żurek. W listopadzie 2025 r. minister sprawiedliwości spotkał się z nimi w gmachu Prokuratury Regionalnej w Warszawie na specjalnej naradzie. W zaszczytnym gronie uczestników znaleźli się: Marta Lempart, założycielka Strajku Kobiet, Bartosz Kramek z Fundacji Otwarty Dialog, Mateusz Kijowski, były szef KOD, Paweł Kasprzak z Obywateli RP, wulgarna i agresywna emerytka Katarzyna Augustynek, antypisowski prowokator Arkadiusz Szczurek czy Jakub Kocjan z Akcji Demokracja.

Jak ujawnił jeden z uczestników, rozmawiano o „postępowaniach wykroczeniowych przeciwko aktywistom". Wszystkich zebranych łączy wspólne „światłe" zawołanie „Jeb...ć PiS", które stało się wyborczą odezwą obecnie rządzących. Nie dziwi więc to, że do dziś z takim oddaniem chronią tych, dzięki którym przejęli władzę. Spłacają swój dług, nie bacząc na skalę postępującej destabilizacji państwa. Nie jego siła jest przecież ich celem. Celem jest zemsta i utrzymanie rządów za absolutnie każdą cenę.

eprasa.pl d07dcb0daa

W ogonie Europy



Katastrofa demograficzna! Z roku na roku coraz straszniejsza. Polska wylądowała na samym dnie światowych rankingów demograficznych. I co? I nic! Rząd milczy w tej sprawie, a tym bardziej nie działa. Choć Donald Tusk, gdy był jeszcze w opozycji, miał wiele do powiedzenia w tej sprawie



PIOTR GURSZTYN

Ostatnio premier polskiego rządu chwalił się „osiągnięciami" swojej ekipy podczas II Urodzin Rządowego Programu In Vitro. „To jest też bardzo ważne z punktu widzenia państwa. Bardzo nam zależy na tym, żeby dzieci rodziło się jak najwięcej, żeby miały jak najlepszą opiekę. To jest 15 tysięcy młodych obywatelek i młodych obywateli, które urodziły się dzięki tej procedurze, dzięki in vitro. 15 tys. w czasie, kiedy rodzicielstwo nie jest aż tak modne, jak byśmy chcieli, kiedy mamy do czynienia z kryzysem demograficznym i w Polsce, i na świecie, to jest wielka rzecz" – przemawiał. Oraz apelował: „Też chcę podkreślić, jak ważne jest to, żebyśmy wszyscy – i państwo, i instytucje, ludzie – żebyśmy wszyscy mobilizowali wszystkie nasze siły, żeby dzieci było w Polsce jak najwięcej".

Takie apele, zachęty i zapowiedzi są jak najbardziej na miejscu. W 2025 r. Polska zbliżyła się do demograficznego dna. Według GUS wskaźnik urodzeń za ubiegły rok wyniósł 1,068 – tyle urodzeń przypada na jedną Polkę. Jesteśmy w ogonie Europy, w której średni wskaźnik wynosi 1,34 (też dużo poniżej poziomu zastępowalności pokoleń). A także w skali całej planety – gorzej od nas wypadło osiem państw.

W liczbach bezwzględnych oznacza to, że w Polsce w 2025 r. przyszło na świat 238 tys. dzieci, ale zmarło 400 tys. osób, czyli ok. 160 tys. więcej. Trend odnotowany w pierwszym kwartale br. wskazuje na to, że dane dotyczące demografii będą jeszcze gorsze. A apelom premiera Tuska nie towarzyszą żadne działania.

OSKARŻENIA TUSKA

Cofnijmy się o kilka lat, gdy obecny premier był jeszcze w opozycji. Za ówczesnych rządów PiS zarysowało się zjawisko, że efekt 500+ przestał działać i Polska zaczęła pikować. Donald Tusk grzmiał: „Polska niestety jest w jednej z najgorszych sytuacji w Europie, jeśli chodzi o dzietność. Za 70 lat, mniej więcej, będzie nas 28 milionów. I to zakładając, że przecież tutaj tak czy inaczej będą napływały różne grupy ludzi" – mówił w kwietniu 2023 r.

Platforma (a także lewica) głosiła wtedy tezę, że kobiety boją się rodzić dzieci, bo rządzi PiS. „Mamy u władzy mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet. Jeśli mamy obecnie największy dramat demograficzny od czasów II wojny światowej, to odpowiedzialne za to jest państwo zarządzane przez ludzi, którzy z różnych powodów ideologicznych, niekompetencji, własnych kompleksów, doprowadzili do sytuacji, że Polska znajduje się na szczycie rankingów, jeśli chodzi o kryzys demograficzny" – oskarżał Donald Tusk jesienią 2022 r.

POKAZ BEZRADNOŚCI

Rok później wyborcy dali mu szansę, aby stworzył rząd, który pokaże, jak naprawić tę sytuację. Jedynym ruchem było wprowadzenie procedury in vitro, co stanowiło działanie bardziej ideologiczne niż praktyczne. Żadne inne programy obecnej władzy (poza wymiarem propagandowym) nie miały najmniejszego wpływu na poziom dzietności. I wygląda na to, że problem demografii podnoszony w czasach rządów prawicy był dla Tuska jedynie hasłem wyborczym. Czymś o wartości „100 konkretów". A ponieważ zapaść demograficzna jest problemem skrajnie trudnym już w niemal wszystkich państwach świata, Tusk wybrał milczenie w tej sprawie.

Najpierw postąpił zgodnie z powiedzonkiem Lecha Wałęsy: „Stłucz pan termometr, nie będziesz miał pan gorączki", czyli skasował rządowy Instytut Pokolenia zajmujący się demografią. „Obawialiśmy się, że wraz z likwidacją instytutu znikną z debaty publicznej niektóre tematy ważne z punktu widzenia polityki demograficznej państwa" – narzekała wtedy Barbara Socha, która współtworzyła ten Instytut, pełnomocnik ds. demografii w rządzie PiS, obecnie doradca prezydenta Karola Nawrockiego. Niestety jej obawy się spełniły. Demografia w ogóle nie jest tematem polskiej polityki.

Śladem tego, co Tusk myśli o tej sprawie, są jego słowa z wywiadu, którego udzielił jesienią ub.r. dla „Sunday Times". Powiedział w nim, że Polki nie chcą rodzić dzieci ze względów kulturowych, a nie społecznych. „Chodzi o to, że nie lubią takiego stylu życia, obowiązków, odpowiedzialności" – stwierdził. Brzmi to jak wymówka, że w związku z tym rząd jest bezradny i nie ma sensu cokolwiek dalej robić.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d07dcb0daa



W rządzie jest osoba, która odpowiada za demografię, choć bardzo się z tym kryje. To wiceminister ds. rodziny Aleksandra Gajewska. Pytana o program, który by odwrócił lub tylko zahamował katastrofalny trend, też odpowiedziała z bezradnością: „Jeżeli chodzi o zwiększenie dzietności, to dziś właściwie nie możemy powiedzieć, że w skali porównawczej rok do roku w Polsce rzeczywiście ono następuje. W naszym kraju rodzi się coraz mniej dzieci. Oczywiście są jednak programy, które wprowadziliśmy i które wpływają na wsparcie potencjalnych rodziców. Spójrzmy chociażby na program in vitro: ponad 10 tys. urodzeń i ponad 20 tys. ciąż".

EFEKTY 500+

Tyle że nie może się to równać z wynikami 500+. Jest wielu krytyków tego programu jako nieskutecznego pod względem demografii. Jego sens podważają ekonomiści, politycy, publicyści. Ale nie demografowie. Ludzie, którzy badają tę tematykę, mówią jasno, że 500+ spełniło efekt pronatalistyczny. „500+ zwiększyło dzietność o ok. 6 proc. i nic nie wskazuje na to, że efekty były nietrwałe. Gdyby nie 500+, wskaźnik dzietności byłby dziś jeszcze niższy. Reszta to obserwowany na całym świecie trend spadku dzietności" – napisał prof. Jan Gromadzki z Uniwersytetu Ekonomicznego w Wiedniu. Demograf Mateusz Łakomy przedstawia twarde dane: „Znacząco pomógł osobom o niższych dochodach z jednej strony, a z drugiej – osobom, które chciały mieć drugie, a zwłaszcza trzecie i kolejne dziecko. W 2015 r., przed wprowadzeniem programu, dzieci trzecie i kolejne stanowiły ok. 15 proc. wszystkich urodzeń. Od ok. 2018 r. do dziś jest to już ok. 22 proc.".

Niestety problem z 500+ był taki, że program został wprowadzony zbyt późno. Rzutem na taśmę, gdy na rodzenie następnych dzieci decydowały się ostatnie kobiety z wyżu demograficznego, będące w stosownym wieku rozrodczym. Zresztą Mateusz Łakomy twierdzi, że nadal widać pronatalistyczne efekty dzisiejszego 800+, gdy chodzi o pary decydujące się na posiadanie trzeciego dziecka. Jednak rzeczywiście Polska stanęła przed wyzwaniem stworzenia nowego, równie rewolucyjnego programu, który byłby skierowany do kobiet z roczników niżu demograficznego.

ZAKAZ SMARTFONÓW

Wygląda na to, że jedynym prawdziwie pozytywnym pomysłem obecnego rządu – jeśli się powiedzie – jest... zakaz używania smartfonów w szkołach. W tej sprawie demografowie są zgodni – to one odpowiadają za epidemię samotności wśród najmłodszego pokolenia, co przekłada się na nieumiejętność nawiązywania kontaktów i tworzenia trwałych związków. „W kraju po kraju wskaźnik dzietności gwałtownie spadł po wprowadzeniu smartfonów. Niezależnie od wcześniejszego trendu współczesne środowisko mediów cyfrowych miało głęboki wpływ na społeczeństwo, co doprowadziło do spadku romantycznych związków" – czytamy w głośnym artykule na ten temat, który ukazał się w maju tego roku w „Financial Times".

PREZYDENT I WOJSKO ALARMUJĄ

W Polsce instytucjami publicznymi, które naprawdę zwracają uwagę na demograficzną katastrofę, są jedynie... wojsko i Kancelaria Prezydenta. To pierwsze – Wojsko Polskie – od dłuższego czasu pilnie analizuje spadającą liczbę ludzi zdolnych do służby wojskowej. Kilka miesięcy temu wielu generałów oraz specjalistów wojskowych i cywilnych występowało na poświęconej temu konferencji organizowanej przez Biuro Bezpieczeństwa Narodowego. Diagnozy były pesymistyczne. Demograf Ariel Drabiński podawał dane, według których jedna trzecia polskich gospodarstw domowych należy do osób samotnych. W większości dotyczy to ludzi młodych i w sile wieku, a nie seniorów. Połowa ludzi poniżej 30. roku życia pozostaje samotna, bez żadnej drugiej romantycznej połówki.

Niedawno odbyło się drugie spotkanie u prezydenta Nawrockiego, w gronie czysto cywilnym. Tam też diagnozy były smutne. Ale nie beznadziejne. Uczestnicy, podpierając się solidnymi badaniami, przedstawiali recepty. W skrócie to mieszanka działań na polu ekonomii i kultury. Z jednej strony zapewnienie młodych ludziom stabilności ekonomicznej i ułatwienie dostępu do mieszkań, z drugiej – walka z ich osamotnieniem, brakiem wiary w siebie, strachem przed odpowiedzialnością. W każdym jednak przypadku powodzenie nie jest możliwe bez aktywnych, niekonwencjonalnych, czasem kontrowersyjnych działań odważnej i odpowiedzialnej władzy państwowej.

eprasa.pl d07dcb0daa

Zrzutka na Kapelę



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Obrońcy przywilejów emerytalnych dla artystów próbują przedstawiać irytację społeczeństwa w kategoriach prostackiej zawiści. Że oto prymitywny motłoch zionie nienawiścią do elity. W ten sposób ujawniają jedynie swoją pogardę wobec społeczeństwa

Zapewne niektórzy pamiętają jeszcze wielki koncert podczas tuskowego marszu miliona serc, zorganizowanego przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi. Na scenie zebrała się wtedy cała plejada dinozaurów polskiej estrady, którzy wspólnie z Tuskiem, Owsiakiem i innymi „demokratami" odśpiewali kiczowaty przebój Chłopców z Placu Broni o wolności, którą kochają i rozumieją. Miał to być wielki, wspólny gest sprzeciwu wobec rządów PiS i łamania praworządności przez pisowski reżim.

Artyści musieli jednak czekać jeszcze prawie trzy lata, aż ta wymarzona praworządność i wolność zapuka wreszcie do ich drzwi, a konkretnie do ich portfeli. Za swoją lojalność i zamiłowanie do demokracji zostali bowiem wynagrodzeni przez obecny rząd emeryturami, co dla wielu pląsających wówczas na scenie jest – ze względu na ich metrykę – sprawą niecierpiącą zwłoki.

SOLIDNY POLICZEK

Wszystko zaczęło się od Jasia Kapeli, człowieka wielu umiejętności, który potrafi sprzedać komuś kopniaka, a jak trzeba, to i zaśpiewać. Sam Kapela podaje się za artystę – poetę i pisarza, powszechnie jednak uchodzi za osobę nieco rozchwianą.

Kilka miesięcy temu okazało się, że otrzymał od ministerstwa kultury stypendium w wysokości 60 tys. zł na napisanie musicalu o aborcji. W tym celu „stworzył" już jakoby kilkadziesiąt piosenek, które mają być wykonane w jednym z teatrów (podobno trwają negocjacje w tej sprawie). Niektóre z tych piosenek zademonstrował w internecie. Recenzować ich nie ma sensu, czytelnik może znaleźć je samodzielnie, wypada tylko uprzedzić, że jest to sztuka szczególnego rodzaju, bardzo niszowa, stylistycznie bliska instalacjom wystawianym w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Kapela, choć zgrywa błazna, doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jego „twórczość" budzi, delikatnie mówiąc, spore wątpliwości. Dlatego w ogóle się nie hamuje. To, co robi, jest po prostu prowokacją, która ma wywołać irytację większości odbiorców. To rodzaj performance'u, w którym widownia pluje, tupie nogami z oburzenia, a on śmieje się jej w twarz. I jeszcze bierze za to pieniądze od państwa.

Trudno nie ulec wrażeniu, że jest to pokaz najwyższej pogardy wobec ludzi. Bo oto muszą oni bez pytania o zgodę zrzucać się na wygłupy i prowokacje bezczelnego fircyka. Kapela twierdzi, że 60 tys. zł to żadne pieniądze. „Ławka w parku potrafi tyle kosztować" – odpowiada. „Zastanawiam się, dlaczego kasjerka w Lidlu jest bardziej uprzywilejowana i zarabia więcej na kasie niż ja po 15 latach pracy intelektualnej" – pyta w rozmowie z Jackiem Prusinowskim w Kanale Zero.

Kapela celowo drwi z ludzi. W jego środowisku takie zachowanie musi budzić aplauz. Facet po czterdziestce, kompletne beztalencie, udaje artystę, dostaje za to pieniądze i w ten sposób robi sobie żarty z motłochu, który w odpowiedzi może tylko bezsilnie poujadać. Bo Kapeli – w odróżnieniu od motłochu – wolno dziś wszystko. Pokazuje tym samym, że stoi ponad innymi, jest panem w obecnej rzeczywistości.

Nie ma wątpliwości, że w liberalnych kręgach podobny stosunek do otoczenia jest zjawiskiem powszechnym. To dzika satysfakcja z tego, że zwykłym ludziom wreszcie wymierzyło się solidny policzek.

Mamy tu do czynienia z osobliwą perwersją, która polega na czerpaniu przyjemności z upokarzania innych ludzi. Z radości, że inni muszą zasuwać w pocie czoła i są potem zmuszani do finansowania cudzych wygłupów. Jeżeli ktoś chce tak promować artystów, jest to sposób najgorszy z możliwych.

DROGA DO SŁAWY

Wielu ministrów rządu Tuska w chwili nominacji było osobami zupełnie nieznanymi opinii publicznej. Można jednak dostrzec między nimi dość dziwaczną rywalizację o szeroką rozpoznawalność. Każdy z nich chce błysnąć czymś tak kontrowersyjnym lub bezdennie głupim, aby już na zawsze zapaść tym „dokonaniem" w pamięć ludzi.

Takim przypadkiem jest m.in. minister kultury Marta Cienkowska, która dostała się na szczyty władzy, reprezentując Polskę 2050.

O Cienkowskiej zrobiło się głośno publicznie, gdy coś tam nabluzgała podczas zamkniętej narady polityków Polski 2050 na internetowym czacie. Wreszcie pojawiło się stypendium

eprasa.pl d07dcb0daa

dla Jasia Kapeli, które – jak się okazało – było jedynie wstępem do znacznie szerszej regulacji, jaką jest wprowadzenie emerytur dla artystów. Dzięki tym „dokonaniom" pani Cienkowska wreszcie dopięła swego i przestała być osobą anonimową.

Cienkowska jak mało kto rozumie środowiska twórcze. Sama w pewnym sensie wiodła artystyczny tryb życia, żyjąc z oprowadzania wycieczek po lasach. Uczestnicy, jak wyjaśniała, mogli się dowiedzieć, jakie gatunki drzew mijają i kiedy te drzewa tracą liście. Trzeba tu zauważyć, że początkowo warunki były ciężkie z powodu pandemii. Nic więc dziwnego, że za tę trudną i pożyteczną pracę w latach 2021–2023 jej firma otrzymała od warszawskiego ratusza ok. 1,7 mln zł.

Po otrzymaniu teki ministerialnej w 2025 r. pani Cienkowska najwyraźniej postanowiła ulżyć innym poszkodowanym przez życie. Przygotowany przez jej resort projekt ustawy o zabezpieczeniu socjalnym osób wykonujących zawód artystyczny zakłada, że artysta, który osiąga niskie lub nieregularne dochody, otrzyma dopłaty do składek ZUS. Wsparcie miałoby objąć osoby, których średnie miesięczne przychody w ostatnich trzech latach nie były wyższe niż 125 proc. minimalnego wynagrodzenia. Artysta będzie mógł także skorzystać ze świadczeń chorobowych oraz urlopów macierzyńskich. Według wstępnych szacunków ustawa obejmie ok. 20 tys. osób i zapłacimy za to z budżetu ok. 375 mln zł rocznie.

Rzecz jasna o tym, kto jest, a kto nie jest artystą, będzie decydować powoływana na czteroletnią kadencję 15-osobowa Rada Programowa i 145-osobowa Komisja Opiniująca. W ten sposób wydamy dodatkowe pieniądze, a rząd otrzyma silny instrument nacisku na środowiska artystyczne. Chyba nikt bowiem nie wątpi, że w obecnych okolicznościach na dopłaty do składek będą mogli liczyć tylko ci twórcy, którzy wykażą się lojalnością wobec władzy, albo w ostateczności neutralnością polityczną. Powróci zatem – jak za PRL – instytucja artystów koncesjonowanych.

KOGO DOTOWAĆ?

Sprawa z emeryturami dla artystów nie jest oczywiście taka prosta, jak twierdzi np. Sławomir Mentzen, który nagle objawił się światu jako wielki obrońca ludu pracującego przed pazernością pasożytniczych elit. „Nie zgadzam się z tym, żeby ludzie zarabiający najniższą krajową płacili za emerytury nierobów!" – napisał Mentzen, który sam zarabia na doradztwie podatkowym, na czym ogół społeczeństwa raczej niewiele zyskuje.

Artyści są taką samą częścią społeczeństwa jak doradca podatkowy i każdy inny. Zresztą ich rola w społeczeństwie jest bardzo ważna, choćby dlatego, że bez kultury stajemy się barbarzyńcami. Nie ma sensu rozwodzić się tutaj nad znaczeniem kultury i sztuki dla siły państwa oraz jego oddziaływania w świecie. Ktoś, kto to kwestionuje, nie jest po prostu zbyt mądry.

Chodzi raczej o co innego. O to, na ile artystów powinniśmy pozostawić samym sobie, zgadzając się tym samym na marginalizację naszej kultury, a także o to, co właściwie uznajemy za sztukę. Problem w tym, że sztukę jest dziś trudno zdefiniować, bo wszystko zależy od wrażliwości odbiorców.

Są trzy możliwości. Po pierwsze, sztukę możemy zdemokratyzować i uznać, że jest nią tylko to, co podoba się większości. Takie zasady rynkowe nie zawsze jednak działają, bo w ten sposób stworzymy ryzyko osunięcia się we wtórność i przeciętność. Druga możliwość to – tak jak mamy dzisiaj w Polsce – przyjęcie, że sztuką jest przede wszystkim



Jaś Kapela podaje się za artystę – poetę i pisarza, powszechnie jednak uchodzi za osobę nieco rozchwianą

Fot. Filip Naumienko/REPORTER

egzemplarz prasowy

twórczość niszowa, przy czym czasem te nisze są tak odległe od dotychczasowego rozumienia sztuki, że jej wartość budzi zrozumiałe wątpliwości. Jest wreszcie ostatnie i chyba najlepsze rozwiązanie, będące kompromisem pomiędzy dwiema powyższymi skrajnościami.

Od tego, które z tych rozwiązań przyjmiemy, w dużym stopniu zależy także finansowanie kultury. Sztuka demokratyczna utrzyma się sama, z własnej popularności, z kolei nisza musi być jakoś dotowana. Pytanie tylko, według jakich reguł. I czy koniecznie należy to robić wbrew nastrojom społecznym, w warunkach postępującej zapaści usług publicznych?

Co ciekawe, ten problem dostrzegł również nieszczęsny Jaś Kapela, dając przy tym ujście swojej frustracji. W wywiadzie dla Kanału Zero zaproponował, aby jego działalność finansowali popularni twórcy ze sprzedaży płyt i biletów na swoje koncerty. „Od Sanah, Maty i wszystkich tych g...wno-artystów [...]. Niech oni płacą podatek 50 proc." – stwierdził. „Uważam, że większość masowej sztuki pop jest niewiele warta, a jest tylko powtarzaniem, popłuczynami po artystach prawdziwych, takich jak ja" – dodał.

Kapela, który podaje się za „artystę prawdziwego", wyrządza niedźwiedzią przysługę wszystkim twórcom, bo w końcu doprowadzi do tego, że przeciętny człowiek będzie kojarzył artystów wyłącznie z osobami takimi jak on. Ma jednak rację w jednej sprawie – twierdząc, że nie każdy artysta powinien otrzymywać wsparcie.

W ustawie rządowej istnieje wprawdzie próg dochodowy, ale dlaczego dotyczy on również tych, którzy kiedyś zarabiali spore pieniądze, ale zaniedbali opłacanie składek? Dlaczego społeczeństwo ma teraz wynagradzać im wcześniejszą niefrasobliwość? Czy tylko z tego powodu, że poparli Tuska w 2023 r. i odśpiewali z nim piosenkę o wolności? Zresztą istnieją uzasadnione obawy, że będzie się wspomagać wyłącznie „swoich" artystów. A sztuka motywowana dotacjami bardzo łatwo może się osunąć w stronę propagandy. Zresztą niewykluczone, że o to właśnie chodzi.

NIESPRAWIEDLIWOŚĆ

Nic więc dziwnego, że pomysł dopłat do emerytur nie wzbudził powszechnego entuzjazmu. Przede wszystkim dlatego, że w podobnej sytuacji – braku uprawnień do emerytury – są lub wkrótce będą miliony ludzi, którym nikt nie zamierza fundować świadczeń. Co więcej, nie każdy artysta przymiera głodem, nie ma więc żadnego powodu, aby obdarzać przywilejami tych, którzy popisywali się bogactwem i wystawnym życiem, a dzisiaj nagle spostrzegli, że przez ten czas nie opłacali składek emerytalnych, choć było ich na to stać. W internecie od razu pojawiły się zdjęcia różnych „przymierających głodem" artystów, w tym stare fotografie Maryli Rodowicz, która jeszcze w czasach PRL biła ludzi po oczach swoim Porsche lub całkiem współczesne, mające jakoby przedstawiać Krystynę Jandę zmierzającą do wartego kilkaset tysięcy Lexusa.

Obrońcy przywilejów emerytalnych dla artystów próbują przedstawiać irytację społeczeństwa w kategoriach prostackiej zawiści. Że oto prymitywny motłoch, który nie docenia sztuki i nie ma pojęcia o tym, jak trudny jest proces twórczy, zionie nienawiścią do elity. W ten sposób potwierdzają jedynie tezę, że w gruncie rzeczy problem ma wymiar klasowy i jest przejawem pogardy wobec reszty społeczeństwa.

Nie ma bowiem żadnej wątpliwości, że w obliczu wielu innych palących potrzeb emerytury dla artystów są formą wyróżnienia, uprzywilejowania, z którego reszta społeczeństwa jest wykluczona. Dodatkowo na te przywileje będą musieli zrzucić się wszyscy, w tym ci, którzy przez całe życie zarabiali grosze, podczas gdy elita miała – i nadal ma – ich los w głębokim poważaniu. Krótko mówiąc, naruszone zostało poczucie elementarnej sprawiedliwości.

> W obliczu wielu palących potrzeb emerytury dla artystów są formą uprzywilejowania, z którego reszta społeczeństwa jest wykluczona. Na te przywileje będą musieli zrzucić się wszyscy

W mediach społecznościowych pojawiają się już głosy, że emerytury dla artystów okażą się dla obecnego reżimu Tuska tym, czym dla poprzedniego były słynne ośmiorniczki z restauracji Sowa i Przyjaciele. A więc popisem samobójczej arogancji i kompletnym rozjazdem z potrzebami społeczeństwa. Wydaje się jednak, że nie należy wyciągać aż tak daleko idących wniosków. Mamy tu raczej do czynienia z kolejną fazą degeneracji ekipy Tuska, która – owszem – konsekwentnie zmierza ku wizerunkowej katastrofie, ale póki co od przepaści dzieli ją jeszcze kilka kroków.

MECENAS ARTYSTÓW

Oczywiście pojawia się pytanie, dlaczego Tusk decyduje się na takie posunięcia. Istnieje kilka teorii na ten temat. Wszystko wskazuje na to, że przeważyły dwie rzeczy. Po pierwsze, obecna władza musiała w końcu zapłacić rachunek za wspólny koncert na marszu miliona serc i chce sobie zapewnić poparcie środowisk twórczych przed kolejnymi wyborami. Po drugie, Tusk – w imieniu swoim, a także wszystkich środowisk liberalnych – z lubością odgrywa się na społeczeństwie, które 11 lat temu odsunęło jego ekipę od władzy. Przez cały okres rządów PiS środowiska te dyszały żądzą zemsty na niesfornym motłochu. Niech więc teraz tenże motłoch płaci za swoją niesubordynację.

Tusk z pewnością uważa, że nie ryzykuje zbyt wiele, bo w razie porażki będzie mógł zrzucić winę na Martę Cienkowską. Jest jednak zdeterminowany, aby popchnąć tę sprawę do końca, a spodziewane weto prezydenta pozwoli mu występować w roli mecenasa artystów. Oczywiście za cudze pieniądze.

eprasa.pl d07dcb0daa



Od lewej: Andrzej Tomanek, Wiesław Tupaczewski i Ryszard Makowski

Fot. www.fotobadia.pl

Polityka nie może zabić kabaretu

Z *Ryszardem Makowskim* i *Andrzejem Tomankiem*, twórcami kabaretu OT.TO, o starych czasach i nowej płycie rozmawia Jerzy Szmit

Czy politykę można porównać do kabaretu?

Nie. W kabarecie często trzeba bardzo wiele wysiłku, aby można było pokazać na scenie coś sensownego. W polityce natomiast wszystko dzieje się na bieżąco i politycy próbują błysnąć bon motem albo dopiec konkurencji. Czasami polityk potrafi od ręki wymyślić taki poziom absurdu i abstrakcji, że aż zadziwia. To jednak nie jest kabaret. Kabaret jest dziedziną sztuki. My wychowaliśmy się na kabarecie literackim, gdzie są tekst, piosenka, skecz, no i puenta. Czasami refleksja, ale przede wszystkim kultura słowa.

Może jednak któryś z polityków sprawdziłby się w kabarecie?

Żaden. Chyba że mówimy o tym, co możemy obserwować w obecnej

eprasa.pl d07dcb0daa

telewizji, gdzie wystarczy się przebrać i trochę poprzeklinać. Kiedyś kabaret zajmował się recenzowaniem rządzących, czasem w sposób ostry, czasem komiczny. W III Rzeczypospolitej, szczególnie ostatnimi laty, kabarety stały się orężem rządzących. Przekazują to, z czym władza w ramach propagandy chce dotrzeć do społeczeństwa. Kabaret powinien być krytyczny wobec władzy. U nas przez długie lata zajmował się opozycją, przede wszystkim PiS. Potem, gdy PiS doszło do władzy – dalej się nim zajmował. A dzisiaj część środowiska ewidentnie i konsekwentnie wspiera obecną władzę.

Trudno sobie wyobrazić, aby kabaret przestał zajmować się polityką.

Zaczynaliśmy w latach 80. od satyry politycznej. Wtedy w klubach studenckich panowała zupełnie inna atmosfera. Był jeden kod kulturowy, czytaliśmy te same książki, doskonale rozumieliśmy się z naszymi rówieśnikami na widowni. W latach 90. polityki było u nas bardzo mało. Teraz są inne czasy. Poza telewizją wPolsce24 trudno nas zobaczyć w innych stacjach. Pokazujemy się w internecie dzięki wymyślanym przyśpiewkom na tematy społeczno-polityczne, np. na temat Mercosuru, cen benzyny, SAFE. Okrzyknięto, że jesteśmy zaangażowani partyjnie, co jest absurdem. Jak zatem określić koleżanki i kolegów z branży, którzy jak ognia unikają tematów niewygodnych dla władzy, a zajmują się opozycją?

Rzeczywiście, w głównym nurcie kabaretowym trudno znaleźć żarty z premiera Donalda Tuska.

Zdarzają się, ale są bardzo delikatne. Natomiast kiedy dochodzi do żartów z prezesa Kaczyńskiego, nie ma ograniczeń. Oczywiście żartować można z każdego, ale czym innym jest satyra, a czym innym prostackie wyszydzenie, mające na celu zdyskredytowanie nielubianego polityka.

Tworzycie według klasycznych reguł kabaretu: oprócz słowa, piosenki, skeczu – elegancki schludny strój i szacunek nawet dla tych, którzy są bohaterami satyry.

Zawsze uważaliśmy, iż żart jest dobry wtedy, kiedy nawet ten, z którego się żartuje, może się z tego pośmiać, bez obrażania. Ale teraz mamy takie czasy, w których Rysiek Makowski stracił pracę dyrektora Domu Kultury za piosenkę „Platforma cię kocha". To piosenka żartobliwa, tylko niestety uśmiechnięci nie znają się na żartach. Pozwalają się śmiać tylko na ich sygnał. Taka parodia demokracji. W Warszawie kabaret OT.TO jest właściwie zakazany. Nie możemy wystąpić nawet w osiedlowym domu kultury. Fatalnie, że za tej władzy polityka tak głęboko wkroczyła w kulturę, oczywiście pod hasłami otwartości, tolerancji i wolności. Zaczęliśmy organizować koncerty biletowane. Wtedy w wielu miejscach przychodziły e-maile do dyrektorów ośrodków, w których mieliśmy wystąpić: jak można dopuścić do tych pisowskich występów? A co najśmieszniejsze, nasz program estradowy jest kompletnie apolityczny. Do tego nie klniemy.

Czyli ORMO wiecznie żywe!

Trafił pan w sedno! To, co obserwujemy w Polsce, świadczy, że niewiele się zmieniło. Wtedy nazywało się to komuną, ale ona cały czas istnieje i funkcjonuje, obowiązują te same metody. Zresztą widzimy, kto wrócił do władzy.

Mimo wszystko są panowie pełni pozytywnej energii!

Tak, bo w naszej pracy doskonale się bawimy: na scenie, a także wtedy, gdy tworzymy repertuar. Od 2022 r. wydaliśmy trzy płyty, więc nie ma mowy o znużeniu czy wypaleniu. Mamy wrażenie, że publiczność też tak nas postrzega – jako artystów znakomicie się rozumiejących, a także łatwo znajdujących porozumienie z publicznością.

Każdy, kto występuje na scenie, miewa wpadki.

Na kabaretowej scenie łatwo przykryć nawet ewidentną wpadkę, zamieniając ją w żart. Ale np. przy naszej „Zasmażce (Pizza i Pyzy)", którą wykonywaliśmy tysiące razy, nagle wszyscy w tym samym momencie zapominamy tekstu i... dziura. Ale kiedy coś się dzieje, to ogrywamy sprawę, a czasem zaczynamy piosenkę jeszcze raz. Publiczność wcale się nie gorszy, wręcz przeciwnie. Zdarzało nam się zapomnieć sprzętu grającego, bywały też sytuacje, gdy w czasie koncertu na sali zgasło światło, ale mikrofony działały, więc również to musieliśmy opanować. Kiedyś, gdy graliśmy w amfiteatrze, spadła straszliwa ulewa i wtedy zaprosiliśmy publiczność na scenę. Bywało też tak, że zabrakło prądu – wtedy pożyczaliśmy megafon i graliśmy dalej. Takie sytuacje dodają kabaretowi kolorów.

Czy uważacie, że szacowna uczelnia techniczna, jaką jest Politechnika Warszawska i której wszyscy jesteście absolwentami, to dobra kuźnia kadr kabaretowych?

To ciekawe, iż rzeczywiście wielu kabareciarzy, choćby z kabaretu Elita, kończyło uczelnie techniczne. W czasach słusznie minionych niezależna kultura była związana z klubami studenckimi. Parnasem pozostawał wtedy Studencki Festiwal Piosenki w Krakowie. Jego laureatami byli artyści, których potem doceniła cała Polska. Zdobywaliśmy tam nagrody indywidualne, co w latach 80. znaczyło bardzo dużo. Może jako inżynierowie mamy rozwinięte logiczne myślenie, a to bardzo się przydaje, gdy trzeba ułożyć sensowny utwór.

A co decyduje o sukcesie?

Do bycia komikiem trzeba mieć predyspozycje. Ważna jest osobowość, ale przede wszystkim trzeba mieć pomysł na siebie. Proszę spojrzeć na największych komików: Chaplin, Flip i Flap, Louis de Funès, Jaś Fasola. Każdy jest niepowtarzalny i musiał wymyślić swoje emploi. Kabaret OT.TO, którego pomysłodawcą był Wiesiek Tupaczewski, też odróżniał się wtedy od innych kabaretów. To niby niewielki zabieg wizualny, ale jednak czterech facetów w takich samych garniturach i koszulach w paski wyróżniało się na estradzie. Do piosenek dodaliśmy choreografię i wiedzieliśmy, że jeden z nas musi się odróżniać. Być lekkim fajtłapą. Rysiek Makowski zgłosił się na ochotnika.

eprasa.pl d07dcb0daa

Pomysł rządu na dopłaty do składek ZUS dla artystów podzielił środowisko.

Zawód artysty jest zawodem wysokiego ryzyka. Zanim przeszliśmy na artystyczne zawodowstwo, pracowaliśmy w swoich wyuczonych profesjach, ale chwytaliśmy się też różnych zajęć (z malowaniem mieszkań włącznie). Podejmując się tej pracy, wiedzieliśmy, że są wzloty i upadki i nie zawsze można się podobać publiczności. Ale chcemy występować jak najdłużej. Emerytury mamy, jakie mamy, ale nie robimy z tego tragedii. Ten ruch rządu traktujemy jako kolejną próbę wzniecania podziałów i pompowanie tematu zastępczego. Wszyscy wiemy, że tak jak kierowca, sprzedawca, lekarz, rzemieślnik – jeśli jest dobry w tym, co robi – to zarobi. Podobnie jest z artystą, choć powtarzamy, że artysta to zawód wysokiego ryzyka. Moglibyśmy występować w największych telewizjach czy na festiwalu w Opolu, ale nie mamy zaproszeń z powodów politycznych. Zresztą bez dodatkowych emerytur obecna władza i tak dzieli środowisko artystów.

Jak to się dzieje?

Poprzez system stypendiów, grantów, dotacji, nagród, które trafiają wyłącznie to tych, którzy dobrze się władzy kojarzą. Są jeszcze wysoko płatne role w serialach, programach rozrywkowych, reklamach. Te zależności oraz ich konsekwencje są oczywiste i dla wszystkich czytelne. To nie tylko moralnie dewastuje, lecz także skłóca i pogłębia podziały.

Ale o przyznaniu dodatkowych składek dla artystów mają decydować specjalne gremia.

Tak, wyznaczeni przez władze ludzie za dobre pieniądze będą decydować o tym, kto jest, a kto nie jest artystą. Dla nas to nie do przyjęcia.

Kabaret OT.TO wydał nową płytę, opowiedzcie o niej.

Oceniamy, że jest to nasz ogromny sukces. Również dlatego, że nasz wkład jest znacznie większy niż zwykle. Jeszcze do niedawna współpracowaliśmy z agencją muzyczną Polskiego Radia i udało nam się wydać dwie płyty nagrane ze znakomitymi muzykami o europejskiej renomie z Uniwersytetu Muzycznego w Warszawie. Natomiast gdy Polskie Radio przeszło w stan likwidacji, to niestety okazało się, że nasze piosenki nie bardzo do niego pasują. Spotykaliśmy się z nowym dyrektorem i wydawało się, że współpraca będzie możliwa, co bardzo nas ucieszyło. Wiesiek Tupaczewski napisał piosenkę „Śpiewam po polsku, bo jestem Polakiem", ale nie było zainteresowania nią. No to przynieśliśmy nową, trochę prześmiewczą: „Jadę na Eurowizję". Też nie przypadła do gustu. Wreszcie przynieśliśmy piosenkę „Mural Klenczon" (jestem ogromnym fanem twórczości Krzysztofa Klenczona i Czerwonych Gitar). Wtedy dostaliśmy informację na piśmie, że ten utwór wychwala PRL i dzieli pokolenia oraz że chyba jesteśmy w serdeczności finansowej z Czerwonymi Gitarami. No i jeszcze że nie umiemy śpiewać.

> Żartować można z każdego, ale czym innym jest satyra, a czym innym prostackie wyszydzenie, mające na celu zdyskredytowanie nielubianego polityka

Czyli współpracy z Polskim Radiem nie będzie...

Doszliśmy do wniosku, że skoro mamy już trzy dobre piosenki, płytę trzeba wydać. Nagraliśmy ją własnym sumptem, w domowym studiu Wieśka Tupaczewskiego. Wspomógł nas Bartosz Miecznikowski, wybitny gitarzysta, który zagrał po koleżeńsku. Później bardzo pomógł nam Piotr „Quentin" Wojtanowski, który wspaniale to zmiksował. Po raz pierwszy pojawiły się dwa głosy kobiece. Ważna była nasza współpraca z Radiem Wnet. Mamy tam audycję raz w tygodniu i mogliśmy zaprezentować te piosenki. Radio Wnet zostało patronem medialnym płyty. Byliśmy w telewizji wPolsce24, pisał o nas portal wPolityce. Bardzo cenimy współpracę z tymi redakcjami, bo ludzie chcą tam pracować dla prawdy. Pierwsze reakcje publiczności też są bardzo dobre. Dla nas to duża satysfakcja, ale niech będzie również dla tych, którzy nam pomagają.

Tytuł płyty to „Prawdziwa inteligencja" – czy to aluzja, że prawdziwą twórczość może tworzyć tylko żywy człowiek?

Zastanawialiśmy się nad tytułem płyty. Zwykle jest to tytuł jednej z piosenek, ale takiej na płycie nie ma. Niedawno zaczęliśmy grać na scenie skecz o zagrożeniach wynikających ze stosowania sztucznej inteligencji, który nosił tytuł „Prawdziwa inteligencja". Wiesiek Tupaczewski wymyślił eksperyment. Polecił sztucznej inteligencji, by napisała piosenkę „Śpiewam po polsku, bo jestem Polakiem". Po 40 sekundach piosenka była gotowa i całkiem niezła. Rysiek Makowski, nie znając tej wersji, napisał swoją, a Wiesiek Tupaczewski swoją. Ta ostatnia była najlepsza i trafiła na płytę. Nawet przy okazji tej historii widzimy, że sztuczna inteligencja może być zagrożeniem dla wielu zawodów, ale nie zatrzymamy jej i będzie wykorzystywana coraz częściej. Podczas nagrywania płyty nie korzystaliśmy ze sztucznej inteligencji, ale nagrywając teledyski już tak. Dzięki temu w jednym z nich – czym Wiesiek, autor teledysku, mocno nas rozbawił – pojawił się nowy członek zespołu: perkusista, który świetnie wkomponował się w nasz skład. Uznaliśmy, że tytuł „Prawdziwa inteligencja" jest dobry na płytę, bo już się z nami kojarzy. Oczywiście tym tytułem chcemy też zwrócić uwagę na to, że sztuczna inteligencja może być dobrze wykorzystana tylko wtedy, gdy kieruje nią prawdziwy człowiek o dobrych intencjach. Również w kabarecie.

eprasa.pl d07dcb0daa



MAREK BUDZISZ

Operacja „silni, zwarci i gotowi”

Ekspresowe zawieranie przez Europejczyków umów i traktatów w kwestiach obronnych i strategicznych ma pokazać Rosjanom, że mimo redukcji amerykańskiego zaangażowania państwom Starego Kontynentu nie zabraknie determinacji zarówno na drodze do budowy własnego potencjału militarnego, jak i gotowości do jego użycia

Powołując się na źródła w Pentagonie, dziennik „The Financial Times” poinformował, że Amerykanie sondują rozszerzenie swego programu Nuclear Sharing o państwa wschodniej flanki NATO. Nie chodzi w tym przypadku o przeniesienie magazynów atomowych bomb grawitacyjnych B-61 do Polski czy innych krajów Europy Środkowej, ale o loty samolotów zdolnych do przenoszenia broni jądrowej i współpracę w tym obszarze z państwami nieuczestniczącymi do tej pory w tym programie.

Te zapowiedzi są niewątpliwą reakcją Waszyngtonu na niedawne deklaracje prezydenta Emmanuela Macrona, który zapowiedział rozszerzenie „francuskiego parasola nuklearnego” na wschód. W praktyce sformułowanie francuskiego prezydenta oznacza też wspólne ćwiczenia lotnictwa z wyraźnym podziałem ról, bo samoloty państw trzecich będą pełnić funkcję pomocniczą, ale i to jest zmianą mającą na celu wzmocnienie odstraszania Federacji Rosyjskiej.

DWUSTRONNE POROZUMIENIA

Na początku czerwca Norwegia stała się dziewiątym krajem europejskim, który podpisał z Paryżem specjalną umowę o ochronie jądrowej, co oznacza, że mamy do czynienia z realizacją przez Paryż precyzyjnego planu. Co prawda premier Jonas Gahr Støre zadeklarował, że do jego kraju nie będą przeniesione w czasie pokoju francuskie ładunki, ale sama umowa jest krokiem we właściwym kierunku. Również w tym przypadku chodzi o odstraszanie Rosji. O czymś



27 maja br. w bazie Królewskich Sił Powietrznych w Northolt premierzy Polski Donald Tusk i Wielkiej Brytanii Keir Starmer podpisali traktat o partnerstwie w dziedzinie bezpieczeństwa i obronności. Wybór miejsca nie był przypadkowy. To właśnie w tej jednostce podczas II wojny światowej stacjonował słynny Dywizjon 303

Fot. KPRM

eprasa.pl d07dcb0daa

podobnym myślą też władze Finlandii. Minister obrony Antti Häkkänen powiedział w marcu, że „środowisko bezpieczeństwa Finlandii i Europy zmieniło się zasadniczo i znacząco", w związku z czym rząd w Helsinkach ma zamiar zmienić obowiązujące prawo zakazujące transportu i przechowywania broni jądrowej na terenie kraju. Zgodnie z fińską ustawą o energetyce jądrowej z 1987 r. import, produkcja, posiadanie i detonacja materiałów wybuchowych o charakterze jądrowym są zakazane na fińskim terytorium nawet w czasie wojny. Ale ma się to zmienić i rządowa propozycja umożliwi „wwiezienie broni jądrowej do Finlandii, jej transport, dostarczenie lub posiadanie na jej terenie, jeśli ma to związek z obroną militarną Finlandii" – powiedział Häkkänen.

Te zmiany – zarówno porozumienie polsko-francuskie, jak i nowelizację ustawodawstwa w Finlandii – dostrzegli już Rosjanie i w wywiadzie dla Agencji TASS wiceszef MSZ Siergiej Riabkow wymienił je jako przykład agresywnych posunięć krajów europejskich, dążących – jego zdaniem – do wojny z Federacją.

To jednak nie zablokowało planów państw europejskich i Polska podpisała – już po pogróżkach rosyjskiego wiceministra – porozumienie o współpracy strategicznej z Wielką Brytanią. Traktat ten jest raczej wspólną deklaracją polityczną niż zobowiązaniem do wojskowego zaangażowania w razie ataku na jedną ze stron umowy, ale waga tego dokumentu sprowadza się do wskazania głównego wroga (Rosja), obszaru wspólnej troski (Ukraina i wschodnia flanka) oraz mechanizmów współpracy.

Umowa Warszawy z Wielką Brytanią ma znaczenie także z innego powodu. Alexander Velez-Green, wysoki rangą przedstawiciel amerykańskiego Ministerstwa Wojny, który był niedawno w kwaterze głównej NATO w Brukseli, przekazał zaskoczonym tymi wiadomościami przedstawicielom państw naszego kontynentu, iż Amerykanie planują zmniejszenie zaangażowania w tzw. NATO Force Model. Plany te potwierdził Marco Rubio, który, co warto pamiętać, łączy funkcję sekretarza stanu i doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego. Uczynił to przed wylotem na spotkanie ministrów spraw zagranicznych państw NATO, które odbywało się w Szwecji. Z kolei dziennik „The Wall Street Journal" ujawnił, że zapowiedziane cięcia mają dotyczyć „od jednej trzeciej do połowy" sił amerykańskich, które były przypisane do NATO Force Model. Tego rodzaju zapowiedzi – a towarzyszą im też spekulacje, że na najbliższym szczycie Paktu Północnoatlantyckiego w Ankarze Amerykanie mogą zrezygnować ze stanowiska SACEUR, czyli głównego dowódcy sił NATO w Europie – nie tylko osłabiają odstraszanie, lecz także uruchamiają polityczne mechanizmy szukania asekuracji.

Jeden z nich opisał niedawno tygodnik „The Economist", zwracając uwagę na to, że kośćcem każdej armii jest system dowodzenia. Zdolności NATO w Europie od początku były budowane w oparciu o amerykańskie mechanizmy zbierania, analizowania i dystrybucji informacji, na podstawie których uzyskuje się obraz sytuacji oraz podejmuje decyzje. Jeśli Amerykanie mieliby zacząć wycofywać się z naszego kontynentu, jak miał zapowiedzieć Valez-Green w Brukseli, to rośnie niepewność, czy Europejczycy będą w stanie bez zakłóceń przejąć z rąk sojuszników zbudowany przez nich system dowodzenia. To zaś powoduje wzrost znaczenia Wielkiej Brytanii, bo dysponuje ona – obok Francji – jedyną alternatywą w postaci niezależnego systemu dowodzenia, która została zbudowana na potrzeby formatu Joint Expeditionary Forces.

Ten alians między Wielką Brytanią a Skandynawami (oraz Holandią) zawiązano celem ochrony północnego Atlantyku, kiedy Szwecja i Finlandia nie były jeszcze członkami NATO. Po tym, jak oba kraje wstąpiły do Paktu, automatycznie przekształciło się ono w „koalicję chętnych", porozumienie państw odpowiadających za bezpieczeństwo ważnego kierunku strategicznego. Jego dodatkowym atutem jest to, że przy okazji zbudowano niezależny system dowodzenia.

PO CO TE ALIANSE?

Europa weszła w fazę zawierania dwustronnych porozumień sojuszniczych. Nie po to, aby zastąpić NATO, ale by uzupełnić brakujące zdolności i zapewnić polityczną „polisę ubezpieczeniową" dla intensywnie zbrojących się państw.

Tego rodzaju motywy dobrze widać w polityce Berlina. „Kto się boi Niemiec?" – pytał w minionym tygodniu w tytule swego artykułu „Frankfurter Allgemeine Zeitung", którego dziennikarze pokusili się o analizę tego, jak na zbrojenia Berlina reagują europejscy sojusznicy. Aby neutralizować niekorzystne tendencje, kanclerz Friedrich Merz z niemal całym swoim rządem pojechał w lutym do Włoch i rozpoczął „konsultacje strategiczne" z premier Giorgią Meloni. I chociaż Niemcy nie zawarły z Rzymem formalnego porozumienia o współpracy wojskowej i strategicznej, to zainicjowano „Plan działań na rzecz współpracy strategicznej" – mechanizm stałych konsultacji zastępujących w gruncie rzeczy formalny traktat. Jak oznajmiła mediom pani premier, w efekcie tych zabiegów Berlina „Włochy i Niemcy nigdy nie były sobie tak bliskie jak dzisiaj".

Podobne rozmowy na szczeblu doradców ds. bezpieczeństwa narodowego Merz zainicjował w przypadku Francji, z którą Berlin planuje nawet utworzenie stałej rady konsultacyjnej zajmującej się bezpieczeństwem. Brytyjczycy podpisali z Francuzami tzw. traktat z Northolt, zakładający również pogłębienie kooperacji w zakresie odstraszania jądrowego, a latem ub.r., w ramach polityki zbliżania się do Unii Europejskiej, brytyjski premier Keir Starmer zawarł strategiczne porozumienie międzypaństwowe z Berlinem.

Skandynawowie zacieśniają współpracę z Bałtami w ramach porozumienia państw mających interesy w regionie Bałtyku i Północnego Atlantyku oraz kooperują z Ukrainą.

Tego rodzaju porozumień, aliansów strategicznych, umów o rozszerzonej współpracy można wymienić znacznie więcej. W Europie wszyscy rozmawiają ze wszystkimi, zacieśniają więzy, planują wspólne działania. Można zapytać: po co?

Odpowiedzi na to pytanie jest co najmniej kilka, ale warto podążyć tropem, który wskazała na łamach „Foreign

eprasa.pl d07dcb0daa

Affairs" Celeste Wallander, amerykańska ekspert pracująca m.in. w Atlantic Council. Zwróciła ona uwagę na to, iż amerykańskie odstraszanie Federacji Rosyjskiej nie może sprowadzać się wyłącznie do komponentu nuklearnego i takie zawężenie odpowiedzialności Stanów Zjednoczonych daje w gruncie rzeczy Kremlowi kontrolę eskalacyjną na niższych szczeblach drabiny, tam, gdzie znaczenie ma potencjał konwencjonalny. Aby zapobiec scenariuszowi, w którym Rosja, ośmielona decyzjami Stanów Zjednoczonych redukujących swe zaangażowanie w Europie, zdecyduje się na eskalację. „Waszyngton – apeluje Wallander – musi utrzymać w Europie siły, które tylko Stany Zjednoczone mogą zapewnić i których Moskwa obawia się najbardziej: zdolne do precyzyjnego rażenia dalekiego zasięgu z powietrza, lądu i morza".

Jeśli jest to jednak niemożliwe – bo niewiele wskazuje, aby administracja Trumpa zawróciła z obranej drogi – to jakie pole manewru (oprócz wzmacniania własnych zdolności) mają Europejczycy? W grę wchodzą dwie, a docelowo być może trzy możliwości.

Zacznijmy od podstawowej, czyli zwiększania własnych zdolności, aby wzmocnić odstraszanie. Dotychczasowe zaangażowanie Amerykanów w tzw. NATO Force Model było kluczowe, jeśli myśleć o szybkiej demonstracji siły i determinacji w sytuacji kryzysowej. Rozwiązania przyjęte na szczycie Paktu w Madrycie, a potwierdzone w Wilnie, przewidują, że w czasie pierwszych 10 dni NATO powinno być w stanie skierować w rejon zagrożenia 100 tys. żołnierzy, a w ciągu kolejnych 20 dni – 200 tys. W tym drugim rzucie zaangażowanie Amerykanów do niedawna było szacowane na niemal 50 proc. „zdolności do generowania siły", jak w żargonie wojskowym określa się posiadanie jednostek o dużej gotowości do działania.

NIE MA CZYM STRASZYĆ

Jeśli zatem Amerykanie zredukują swój wkład, to czym i jak szybko mogą go zastąpić Europejczycy? Niczym.

Niemcy, którzy nie są w stanie zbudować brygady stacjonującej na Litwie i obecnie – jak niedawno informował „Die Welt" – zwerbowali do niej jedynie 10 proc. stanu osobowego, zobowiązali się dostarczyć do NATO-wskich „sił szybkiego reagowania" 35 tys. żołnierzy. Tylko że – jak w ubiegłym roku informowała Agencja Reutera – stopień gotowości 8 brygad (to te 35 tys. żołnierzy) dziś pozostaje na poziomie 50 proc., jest więc mniejszy niż przed wojną rosyjsko-ukraińską, kiedy wynosił 65 proc.

> Kto oprócz żołnierzy wywodzących się z państw graniczących z Rosją miałby bronić wschodniej flanki NATO? Gdyby dziś lub w nieodległej przyszłości sytuacja zaczęła się zaostrzać, Europejczycy mieliby z tym duży problem, zwłaszcza jeśli Amerykanie rzeczywiście zaczną się wycofywać

Francja chce mieć w 2027 r. dywizję gotową do wojny, a w 2030 r. ma to być docelowo korpus, czyli co najmniej trzy dywizje. Doceniając i nie lekceważąc zaangażowania Paryża w europejskie bezpieczeństwo, warto zauważyć, że mówimy o planach, których realizacja ma się zakończyć w 2027 r., co oznacza, że obecnie nasz sojusznik dysponuje mniejszym potencjałem sił mogących szybko wejść do akcji.

O Wielkiej Brytanii lepiej nie wspominać, bo obecnie Londyn ma „na stanie" tylko 19 tys. żołnierzy kwalifikowanych ze względów zdrowotnych w kategorii „zdolnych do dyslokacji", co oczywiście nie oznacza, że tylu zostanie niezwłocznie wysłanych na misję obrony wschodniej flanki NATO. W brytyjskich mediach od lat trwają dyskusje, czy chronicznie niedofinansowane siły zbrojne byłyby w stanie obronić kraj przed ewentualnym napastnikiem, a siły szybkiego reagowania szacuje się na poziomie co najwyżej jednej dywizji.

Kto zatem – oprócz żołnierzy wywodzących się z państw graniczących z Rosją – miałby bronić wschodniej flanki NATO? Gdyby dziś lub w nieodległej przyszłości sytuacja zaczęła się zaostrzać, Europejczycy mieliby z tym duży problem, zwłaszcza jeśli Amerykanie rzeczywiście zaczną się wycofywać. To z tego powodu odstraszanie Rosji słabnie i jednocześnie rośnie znaczenie Ukrainy (to jest ta druga droga, którą mogą próbować wykorzystać Europejczycy), która jako jedno z niewielu państw naszego kontynentu ma duże i sprawdzone w boju siły.

Kijów doskonale to rozumie i dlatego prezydent Wołodymyr Zełenski w ramach pokazu siły nie miał żadnych skrupułów, aby pokazać Polakom, „gdzie ich miejsce", ostentacyjnie lekceważąc naszą wrażliwość w kwestiach upamiętniania przez Ukrainę UPA. To również jeden z efektów słabnącego odstraszania. Innym jest wzrost rosyjskiej asertywności, a dron w rumuńskim Gałaczu i destabilizacja sytuacji w państwach bałtyckich wydają się dopiero początkiem poważniejszego trendu.

Liczba podpisywanych przez Europejczyków porozumień w kwestiach obronnych i strategicznych jest również związana ze słabnięciem odstraszania i w tym przypadku mamy do czynienia z trzecią możliwością. Ekspresowe zawieranie układów ma pokazać Rosjanom, że mimo redukcji amerykańskiego zaangażowania państwom Starego Kontynentu nie zabraknie determinacji zarówno na drodze do budowy własnego potencjału, jak i gotowości do jego użycia. Te umowy, konsultacje, porozumienia i traktaty mają przekonać Kreml, że – nieco upraszczając – „jesteśmy silni, zwarci i gotowi". Od skuteczności tej misji perswazyjnej zależy w dłuższej perspektywie pokój w Europie.

Reklama | 061125/F/ZAL

eprasa.pl d07dcb0daa

FUNDACJA STEFCZYKA

Współczesna spółdzielczość w praktyce



Spółdzielczość to przyszłość budowana wspólnie, każdego dnia.

Wspieramy polski sport, kulturę, edukację i lokalne działania społeczne, bo siła wspólnoty tkwi w tym, jak potrafimy dzielić się dobrem.








www.fundacjastefczyka.pl

eprasa.pl d07dcb0daa



Ostrzeżenie przed nową wieżą Babel

Leon XIV jako pierwszy światowy przywódca zaproponował intelektualną refleksję nad sztuczną inteligencją jako globalnym wyzwaniem



GRZEGORZ GÓRNY

Pierwsza encyklika Leona XIV „Magnifica humanitas” („Wspaniałe człowieczeństwo”) znów postawiła Kościół katolicki w centrum globalnej debaty intelektualnej. Wspomnianym dokumentem papież pokazał, że Stolica Apostolska znajduje się nie na peryferiach, lecz na czele współczesnej refleksji antropologicznej związanej z pojawieniem się nowej rzeczywistości, czyli sztucznej inteligencji.

DEFINICJA MOMENTU HISTORYCZNEGO

W dzisiejszych czasach zmiany technologiczne postępują tak szybko, że nie nadąża za nimi ani refleksja intelektualna, ani świadomość prawna. W tym kontekście Leon XIV zademonstrował intelektualne przywództwo w skali światowej – jako pierwszy przywódca zdefiniował doniosłość momentu historycznego, w którym dziś się znajdujemy. Ostatni raz mieliśmy do czynienia z taką sytuacją w 1991 r., gdy Jan Paweł II ogłosił encyklikę „Centesimus annus”, kreślącą perspektywy rozwoju świata po upadku systemu komunistycznego.

Co znamienne, w prezentacji „Magnifica humanitas” w Watykanie uczestniczył jeden z największych potentatów z Doliny Krzemowej w dziedzinie AI, twórca chatbota Claude, szef koncernu Anthropic – Christopher Olah. Zapraszając go do uczestnictwa w debacie nad sztuczną inteligencją, papież pokazał, że nie zamyka się w kręgu własnych wyznawców, lecz prowadzi dialog z najbardziej wpływowymi i kompetentnymi partnerami na rynku nowych technologii.

Jednocześnie wybór wspomnianego przedsiębiorcy do przedstawienia światu papieskiego dokumentu może wydawać się nieco ryzykowny, ponieważ jest on nie tylko zdeklarowanym ateistą, protestującym niegdyś przeciw Benedyktowi XVI, lecz także interesariuszem branży AI, mogącym wykorzystać swą obecność w Rzymie do promowania i pozycjonowania własnej marki.

Wydaje się jednak, że o udziale amerykańskiego miliardera w watykańskiej prezentacji zadecydował jego sprzeciw wobec administracji Donalda Trumpa, gdy nie zgodził się na wykorzystywanie swoich technologii w autonomicznych systemach uzbrojenia oraz do inwigilacji i kontroli społeczeństwa. Widocznie papież uznał tę decyzję za motywowaną pobudkami etycznymi. Mimo to niektórzy publicyści zwracali uwagę na niestosowność całej sytuacji, pisząc, że równie dobrze Paweł VI mógłby zaprosić do promowania encykliki „Humanae vitae” szefa któregoś z koncernów farmaceutycznych, wypuszczających na rynek pigułki antykoncepcyjne, by zastanawiał się nad przyszłością swojego produktu. Leon XIV uznał jednak, że warto podjąć takie ryzyko.

PRZECIW POKUSIE SAMOZBAWIENIA

Zasługą Roberta Prevosta jest to, że jako pierwszy przywódca na świecie zidentyfikował największy problem nadchodzących czasów, czyli wyzwanie sztucznej

Fot. Riccardo De Luca - Update/Shutterstock.com

eprasa.pl d07dcb0daa

inteligencji. Nieprzypadkowo ogłosił swój dokument dokładnie w 135. rocznicę opublikowania pierwszej encykliki społecznej w historii Kościoła, czyli „Rerum novarum". Jak Leon XIII w 1891 r. zrozumiał, że rewolucja przemysłowa nie jest zwykłą innowacją gospodarczą, lecz pociąga za sobą transformację całego porządku społecznego, tak Leon XIV zauważa dziś, że rewolucja cyfrowa grozi czymś znacznie poważniejszym, a mianowicie zmianą pojmowania natury ludzkiej. W jego ujęciu AI jest problemem nie tylko społecznym i ekonomicznym, lecz także antropologicznym i moralnym, a nawet duchowym. Dotyczy bowiem zagadnień bezpośrednio związanych z naszym człowieczeństwem, takich jak język, świadomość, pamięć czy rozumowanie.

Zdaniem Leona XIV sztuczna inteligencja sama w sobie nie jest ani dobra, ani zła. Nie znaczy to jednak, że jest neutralna moralnie – wręcz przeciwnie: przyjmuje system wartości tych, którzy ją projektują, finansują, regulują i wykorzystują. Może być więc wykorzystywana na różne sposoby. W tym kontekście papież przywołuje dwa biblijne obrazy. Pierwszy to budowa wieży Babel, czyli napędzany ludzką pychą projekt dorównania Bogu. Drugi to odbudowa murów Jerozolimy za czasów Nehemiasza, czyli działalność, która jest świadoma własnych ograniczeń i zgodna z wolą Bożą.

Leon XIV przestrzega przed konstruowaniem współczesnej wieży Babel, czyli kolejną prometejską próbą samozbawienia człowieka, tym razem za pomocą sztucznej inteligencji. Jest to prastara, lecz wciąż odnawiająca się pokusa, którą kusiciel zawarł w fałszywej obietnicy złożonej już prarodzicom w raju: „Będziecie jak Bóg". Innymi słowy jest to rewolucja, której cel stanowi zastąpienie Boga przez człowieka. Ta gnostycka pokusa nabiera dziś charakteru technologicznego w postaci dwóch projektów: transhumanizmu i posthumanizmu. U źródeł obu tych zjawisk leży niezgoda na ludzkie ograniczenia, czyli na naszą naturę z jej kruchością, ułomnością, niedoskonałością. W paradygmacie technokratycznym są to defekty, które należy wyeliminować.

Leon XIV prezentuje odwrotną perspektywę: chwali ludzką ograniczoność, przywołując słowa św. Pawła: „Moc w słabości się doskonali". Dopiero bowiem w swojej słabości człowiek może pozwolić Bogu na działanie. Papież zauważa, że tylko łaska czyni człowieka czymś więcej niż człowiekiem. W tym kontekście wskazuje on na Wcielenie jako tajemnicę, w której ujawnia się prawda o Bogu i człowieku. W inkarnacji – jak mówi starochrześcijańska formuła – „Bóg stał się człowiekiem, aby człowiek stał się Bogiem", czyli został przebóstwiony, przemieniony mocą Bożą. Tylko w ten sposób istota ludzka może wyjść poza swoje słabości i ograniczenia.

Paradygmat technokratyczny proponuje natomiast drogę na skróty, bez łaski z wysoka, o własnych siłach. W tej optyce transhumanizm to jakby fałszywe wcielenie, ponieważ przewiduje udoskonalenie człowieka poprzez połączenie jego ciała, a zwłaszcza mózgu ze sztuczną inteligencją. W myśl tej koncepcji transczłowiek byłby ludzko-komputerową hybrydą, a więc perwersyjną imitacją Zbawiciela łączącego w jednej osobie dwie natury: boską i ludzką. Posthumanizm to z kolei skok w bezcielesność. To wizja przetransportowania ludzkiej świadomości do maszyn, a więc swoiste antywcielenie.

SZUKANIE ZŁOTEGO ŚRODKA

W encyklice Leona XIV są lepsze i słabsze fragmenty. Jej niewątpliwym atutem jest wieloaspektowe podjęcie zagadnienia sztucznej inteligencji oraz syntetyczna rekapitulacja katolickiej nauki społecznej, która została potraktowana jako narzędzie oceny sfery publicznej. Najsłabszy element to błąd perspektywy poznawczej, związany z jednostronnym potraktowaniem kwestii niewolnictwa, zupełnie ignorującym wpływ religii chrześcijańskiej na zniesienie tej praktyki.



Co ciekawe, sama encyklika spotkała się z mieszanymi reakcjami. Jedni chwalą ją za powrót do metafizyki, drudzy krytykują za brak myślenia metafizycznego. Jedni widzą w niej skrajny humanizm, drudzy – chrystocentryzm. Jedni zauważają, że odradza ona filozofię tomistyczną, drudzy z kolei, że prezentuje fenomenologię i egzystencjalizm.

Tak sprzeczne oceny wynikają po części z przyjętej przez Leona XIV metody zachowania jedności w Kościele, tak głęboko podzielonym i skonfliktowanym wewnętrznie za pontyfikatu Franciszka. Najwyraźniej widać to w tym fragmencie encykliki, w którym papież pisze o koncepcji wojny sprawiedliwej. Jedni uważają, że zrywa on z tradycyjnym nauczaniem Kościoła, drudzy wręcz przeciwnie – że potwierdza je w pełni. Zacytujmy więc kluczowy fragment papieskiego dokumentu: „Dziś bardziej niż kiedykolwiek trzeba potwierdzić przezwyciężenie teorii »wojny sprawiedliwej«, zbyt często przywoływanej w celu usprawiedliwiania wszelkiej wojny, przy równoczesnym zachowaniu prawa do uprawnionej obrony, rozumianej w sensie najściślejszym". Z jednej strony Leon XIV pisze więc o odrzuceniu koncepcji wojny sprawiedliwej, z drugiej jednak dopuszcza możliwość wojny obronnej, która w katolickiej nauce społecznej jest przecież niczym innym jak... wojną sprawiedliwą.

Ten fragment dobrze charakteryzuje podejście obecnego papieża do najbardziej kontrowersyjnych elementów dziedzictwa swego poprzednika. To Franciszek w swej encyklice „Fratelli tutti" z 2020 r. jako pierwszy stwierdził, że teoria wojny sprawiedliwej jest dziś nie do utrzymania. Leon XIV powtórzył to samo, ale zaraz potem dodał coś, co przywraca tę koncepcję, tylko pod inną nazwą. W podobny sposób postąpił w kwestii błogosławienia związków jednopłciowych przez księży czy odprawiania mszy w rycie trydenckim – z jednej strony nie anulował żadnych dokumentów Franciszka dotyczących tych spraw, z drugiej – zaproponował odmienną interpretację. Ten sposób dochodzenia do jedności w Kościele powoli staje się znakiem rozpoznawczym obecnego pontyfikatu. Czas jednak pokaże, czy polityka nieustannego balansowania i szukania złotego środka okaże się skuteczna na dłuższą metę.

eprasa.pl d07dcb0daa



Upadek wierzgającego konia

Mydelniczka, chodaki crocks, przenośna toaleta toi-toi, odkurzacz – do takich i wielu innych niepięknych rzeczy automaniacy, a za nimi zwykli kierowcy z całego świata, porównali nowy elektryczny model Ferrari – Luce, który objawiono ludzkości pod koniec maja. Czy ta premiera nowego pojazdu skończy się taką katastrofą wizerunkową i sprzedażową jak w przypadku Jaguara w 2024 r.? Oby, bo może uda się coś jeszcze ocalić i pozostaną resztki wiary w to, że może chodzić o coś więcej niż pieniądze



DARIUSZ MATUSZAK

Nowy model ma oznaczać dla kultowej marki nową epokę – elektryczną, niby ekologiczną. Za wypasioną, pełną wersję Luce trzeba zapłacić 640 tys. dol., a w zamian dostaje się maszynę wyposażoną w cztery silniki – po jednym przy każdym kole, o łącznej mocy 1050 KM. Maszyna ma się rozpędzać do 100 km/h w 2,5 sekundy. To technologiczne cudo może jechać z szybkością 310 km/h, w teorii jego zasięg wynosi 500 km na jednym ładowaniu. Luce to też pierwsze rodzinne Ferrari – na pokład można zabrać pięć osób. By stworzyć pozory nawiązania do wspaniałych tradycji, samochód wyposażono w sztuczną ścieżkę dźwiękową. To coś jak piwo bezalkoholowe albo wegański kotlet. Po naciśnięciu pedału gazu odtwarzany jest ryk silnika.

ESTETYCZNA I TECHNILOGICZNA OBRAZA

W nową epokę Ferrari wprowadza 59-letni Anglik Jonathan Paul Ive, jeden z najbardziej wpływowych projektantów przemysłowych na świecie, znany przede wszystkim jako główny twórca oblicza Apple w erze Steve'a Jobsa. To on projektował ikoniczne produkty: iMac, iPod, iPhone, iPad, MacBook, Apple Watch i wiele innych. Niewątpliwie produkty Apple'a cieszyły oko, były i są wyjątkowe

Przez pięć lat Ive i jego studio projektowe LoveFrom pracowało nad Ferrari Elettrica. Wyszło coś, co można nawet skojarzyć z komputerową myszką. Szefostwo przedsiębiorstwa musi sobie odpowiedzi na pytanie, czy ktoś, kto projektował produkty dla setek milionów ludzi, może też zaproponować coś garstce wybrańców. W 2025 r. Ferrari wyprodukowało 13 640 samochodów. Ponad 80 proc. trafiło do ludzi, którzy posiadają chociaż jeden samochód tej marki.

Reakcje na dzieło Ive'a nie pozostawiają wątpliwości. „Gdybym powiedział, co naprawdę myślę, zaszkodziłbym Ferrari. Bardzo mi przykro, ale ryzykujemy zniszczeniem legendy, mitu" – oznajmił były prezes firmy Luca Cordero di Montezemolo. „Niech chociaż zdejmą z niego wierzgającego konia [Cavallino

Fot. fot Ferrari

eprasa.pl d07dcb0daa

Rampante – logo marki]" – dodaje. Według byłego prezesa Ferrari jego jedyną zaletą jest to, że nawet Chińczycy nie będą chcieli go skopiować.

Włoski senator i były minister gospodarki Carlo Calenda nazwał Luce „estetyczną i technologiczną obrazą". Podobnie wyraził się wicepremier Matteo Salvini. Lauren Fix, amerykańska ekspertka motoryzacyjna, stwierdziła: „To jest obraza dla nas, właścicieli Ferrari. Wygląda jak Nissan Leaf [japoński elektryk dziesięć razy tańszy niż włoskie cudo]". Japoński producent szydził z Ferrari, podając w mediach społecznościowych, że skopiowało jego samochód. Paul Snyder, weteran designu samochodowego, profesor na College for Creative Studies, wypalił, że model Luce mógłby ulepić z gliny jakiś student na pierwszym roku zajęć z wzornictwa i ocenił na 2 na 5 pod względem oryginalności, proporcji i atrakcyjności. „To auto w ogóle nie wygląda jak Ferrari" – podsumował. Na portalach pojawiły się nawet porównania do Multipli, uznawanej za jeden z najbrzydszych samochodów wszech czasów.

LAMBORGHINI ZACIERA RĘCE

Na nowy model zareagował też bezpośredni konkurent – Lamborghini, które pod opiniami na temat Luce zaczęło eksponować własne samochody: swoje mocne hybrydy V12 (np. Revuelto) z hasłami w stylu „Z dumą podtrzymujemy twoje marzenia"). Prezes Stephan Winkelmann w wywiadzie dla CNBC tuż po premierze Luce mówił, że decyzja firmy o anulowaniu projektu pełnego elektryka okazała się słuszna. Pewnie rozpoczął się kolejny etap najbardziej pasjonującej rywalizacji w dziejach przemysłu samochodowego.

Wszystko zaczęło się w 1963 r., kiedy Ferruccio Lamborghini, bogaty producent traktorów, który sam posiadał kilka Ferrari, poszedł do założyciela i właściciela kultowej marki Enza Ferrariego w Maranello ze skargą i sugestiami dotyczącymi komfortu i działania sprzęgła. Pyszny Enzo zbył go, mówiąc lekceważąco: „Ty zajmij się traktorami, a samochody zostaw mnie". To upokorzenie było iskrą. Ferruccio postanowił udowodnić Enzowi, że potrafi zbudować lepsze samochody: szybsze, bardziej luk-







susowe i niezawodne. W 1963 r., kilka kilometrów od siedziby Ferrari, założył Lamborghini Automobili, a trzy lata później z jego fabryki wyjechał pierwszy model – Miura.

Wielkie projekty napędza zatem nie tylko chęć zysku, lecz także duma, ambicja i pasja. Z tego narodziło się przecież samo Ferrari. Enzo pracował jako kierowca testowy i wyścigowy dla Alfa Romeo, aż po II wojnie postanowił sam budować jeszcze szybsze samochody niż te, na których szalał. Tak w 1947 r. powstało pierwsze Ferrari – 125 S z silnikiem V12 o pojemności 1,5 l. Samochód od razu odniósł sukcesy w wyścigach, m.in. wygrał Grand Prix Rzymu. To był początek legendy.

Później powstawały kolejne kultowe modele, jak choćby 250 GTO, przez wielu uznawany za najpiękniejszy samochód wszech czasów. Na świecie jest podobno tylko 40 egzemplarzy, a cena liczącego ponad 60 lat modelu dochodzi do 70 mln dol. Testarossą szaleli policjanci z serialu Miami Vice. Czy ktoś wyobraża sobie Dona Johnsona w Luce?

TAK BRZYDKI, ŻE KURS AKCJI SPADA

Ja nie mam żadnych wątpliwości. To jest brzydki samochód. I to do potęgi. Nie tylko dlatego, że brzydki sam w sobie – estetycznie lichy, niewywołujący żadnych pozytywnych emocji – lecz także z tego powodu, że to Ferrari. Brzydki może być Fiat, Nissan, Opel – wszystkie te maszyny, którymi pomykają kurierzy i akwizytorzy, brzydki może być byle dostawczak, ale nie Ferrari. Coś, co jest ikoną nie tylko motoryzacji, lecz także piękna technologii, inżynierii, estetyki użytkowej. Dzieło sztuki, które jest zarówno do podziwiania, jak i praktycznego używania.

Każdy z kochanych czytelników może sam ocenić i mieć inne zdanie niż choćby ja – uważam, że to brzydactwo jest mdłe, nijakie, obłe, opuchnięte, jakby miało nadwagę. Wygląda jak całkowite zaprzeczenie swego dotychczasowego jestestwa, które było siłą, energią, dynamiką, ryzykiem, szybkością, drapieżnością. Niby o gustach się nie dyskutuje. Nie oszukujmy się – dyskutuje się, i to na całe szczęście, bo inaczej ludzkość od zawsze – nie tylko dziś, w epoce postępu, równości i czego tam jeszcze – powielałaby estetyczną byle jakość.

Obrona nic nie da. Nic nie da przekonywanie, że może wcale nie taki brzydki, że może to tylko pewne niedociągnięcia. Także liczby nie kłamią. Po premierze Luce kurs Ferrari spadł o 8 proc. w ciągu jednej sesji.

Po co więc szefostwo firmy zafundowało sobie takie coś? Ano dla pieniędzy. Nie z pasji, dumy, potrzeby rywalizacji i odkryć, czyli z tego, co napędzało Enza Ferrariego czy Ferruccia Lamborghiniego. Krytycy nowego modelu mówią, że Ferrari sprzedało duszę. Dla zysku od Chińczyków. Ten model miał powstać właśnie na tamten specyficzny,

eprasa.pl d07dcb0daa



ale największy na świecie rynek dóbr luksusowych. „Za nowym modelem ma stać przemyślana strategia" – twierdzi Jiri Opletal, redaktor naczelny branżowego serwisu motoryzacyjnego CarNewsChina.

Nie wiem, na czym opiera się przekonanie, że akurat Chińczykom spodoba się brzydki samochód za 640 tys. dol. Znawcy twierdzą, że oni są już przyzwyczajeni do samochodów elektrycznych i brakuje im luksusowej marki w tym segmencie. Klientami mają być bogacze od nowych technologii. Samo „klasyczne" Ferrari ma kłopoty na chińskim rynku– jego sprzedaż spadła w ostatnich latach nawet o 40 proc. Samochody z silnikami spalinowymi są obłożone ogromnymi cłami i podatkami, a elektryki mają wielkie ulgi. Nie znam się na sprzedażny samochodów, ale nie wydaje mi się, że niskie cła i podatki miałyby przekonać kogoś, kto jest gotowy wydać 640 tys. dol. na samochód.

ZASADA „GO WOKE, GET BROKE"

Kryzys Ferrari – a niewątpliwie z tym mamy do czynienia – jest częścią większego problemu, który określa się zgrabnym amerykańskim powiedzeniem „go woke, get broke" – kieruj się ideologią, a splajtujesz.

Jaguar od dwóch lat nie potrafi wygrzebać się z problemów po tym, jak porzucił konserwatywny, brytyjski wizerunek luksusowych samochodów z silnikami spalinowymi i stał się marką wyłącznie elektryczną dla nowego typu klientów. Futurystyczny konceptowy Type 00 reklamowało jakieś androgeniczne towarzystwo w lateksowych czy gumowych kostiumach, które wyglądało jak kosmici LGBTCOŚTAM. To ostentacyjny modernizm – zachwalali twórcy nowych modeli. To bezwstydna homomanifestacja – orzekli klienci i sprzedaż elektryków Jaguara spadła o ponad 90 proc. W 2018 r. na kupiono na świecie ok. 180 tys. Jaguarów, w 2025 r. – ledwie ok 20 tys. Ostentacja, a właściwie bezwstyd, przegrała z klasycznym pięknem.

Nie wiadomo, jak się skończy historia Ferrari i Jaguara, ale upadek wspaniałych marek nie jest w motoryzacji czymś niezwykłym. Maybach prawie zniknął. Bardzo prestiżowych Packardów, rywalizujących w USA z Cadillakiem i Rolls-Roycem, już dawno nie ma. Hispano-Suizy to właściwie rękodzieła, liczone w pojedynczych egzemplarzach.

> Po co szefostwo firmy zafundowało sobie takie coś? Dla zysku od Chińczyków. Ten model miał powstać właśnie na tamten specyficzny, ale największy na świecie rynek dóbr luksusowych. Ferrari sprzedało duszę – mówią krytycy

Zasada „go woke, get broke" dotyczy wszystkich biznesów. Bud Light stracił pozycję piwa numer jeden w USA i spadł na trzecie miejsce po tym, jak do jego reklamy zatrudniono udającego kobietę faceta-zmiennopłciowca. Sprzedaż spadła o 30 proc. i nigdy nie wróciła do wcześniejszego poziomu. Straty w kapitalizacji browaru Anheuser-Busch sięgnęły 27 mld dol. Po kampanii reklamowej pouczającej mężczyzn na temat ich toksycznej męskości Procter & Gamble, producent m.in. golarek Gilette, musiał odpisać 8 mld straty na wartości marki. Firma Target straciła miliardy po tym, jak wypuściła tęczową kolekcję ciuchów Pride, skierowaną także do dzieci. Miliardy stracił Disney przez swe produkcje wciskające całą tę ideologię DEI – Diversity, Equity, Inclusion (Różnorodność, Równość, Inkluzywność), która jest w odwrocie w całych Stanach Zjednoczonych.

Oczywiście nibyfirmy mogą robić, co chcą, dowolną krzywdę sobie i swoim produktom, ale tak naprawdę ostatecznie tracimy wszyscy. I to nie jako konsumenci, klienci, ale ludzie, szukający wokół siebie piękna i harmonii. Żyjemy w brzydkim świecie. Jakie to szczęście, że dawno temu istnieli zacofani, mało nowocześni artyści i projektanci. Dzięki temu na Placu Kapitolińskim stoi teraz pomnik cesarza Marka Aureliusza, a nie rzeźba monstrualnego jaja jak na Placu Pięciu Rogów w Warszawie. Aż boję się pomyśleć, co się stało z „Odyseją" Homera po tym, jak reżyser Christopher Nolan ubzdurał sobie, że Achillesa zagra chuchrowata, mająca 155 cm wzrostu panienka, która obcięła sobie piersi i myśli, że jest facetem. Piękna Helena Trojańska jest zaś Murzynką.

Po tym, jak Ferrari zaprezentował swe najnowsze dzieło, poczucie straty mają pewnie miliony ludzi, których i tak nie byłoby stać na jego kupno. Zwłaszcza Włosi. Legendarny samochód to części ich narodowego dziedzictwa. Niech więc przeklinają i pytają: gdzie w tym badziewiu jest nasza dusza? Gdzie jest duma z tego, że jesteśmy nacją potrafiącą robić najpiękniejsze rzeczy na świecie?

eprasa.pl d07dcb0daa



Czy będzie wyzwolenie Kuby?



JAN ROKITA

„Coś musi się stać, bo ludzie nie mogą już tego znieść” – mówią zachodnim korespondentom przypadkowo napotkani mieszkańcy Hawany. Istotnie, Kuba jest tym punktem na mapie świata, w którym bardzo szybko, być może nawet w najbliższych dniach albo tygodniach, można się spodziewać jakiejś kulminacji i przełomu politycznego

Po blisko 70 latach rządów komunistyczny reżim, zainstalowany jeszcze przez Fidela Castro i Che Guevarę, słania się na nogach i w zasadzie nie ma już poważnych sojuszników. To znaczy – aby być precyzyjnym – w pokoleniu starszych Hiszpanów, Francuzów czy Włochów, a nawet Anglików nadal istnieje emocjonalny sentyment do komunistycznej dyktatury, o czym najlepiej świadczą komentarze publikowane ostatnio przez wielkie lewicowe media.

Np. w londyńskim „The Guardian” czytam wyznanie redaktora tej gazety: „Dla Europejczyków mojego pokolenia Kuba nie była po prostu państwem, ale samym sednem idei postępu. Dzielny mały kraj, który obalił skorumpowany reżim, działający w zmowie z amerykańską mafią”. I czytając te zdania, myślę o głębokiej przepaści dzielącej mnie i moje pokolenie Polaków od mniej więcej równolatka, jakim jest angielski autor komentarza. Bo dla mnie od dzieciństwa Kuba też nie była po prostu zwykłym krajem, lecz niejako symbolem rozprzestrzeniania się po globie złowrogiego komunizmu i bezsilności wolnego świata wobec ideologicznej ekspansji Sowietów. W moim domu nazwiska Che Guevary i Fidela Castro padały tylko w kontekście zbrodniczych wasali Chruszczowa i Breżniewa. Udana amerykańska inwazja na wyspę była zaś marzeniem, które wydawało się niespełnialne.

„BĘDĘ MIAŁ ZASZCZYT ZAJĄĆ KUBĘ”

Komunizm kubański potrafił przetrwać nawet rozpad bloku sowieckiego. To zdumiewające, jak impotentni byli przywódcy USA tamtych czasów, niepotrafiący wypędzić z wyspy komunistów, gdy Gorbaczow rozwiązywał ZSRS albo przynajmniej ucywilizować ich i włączyć w system demokratycznego Zachodu tak jak w Europie Środkowo-Wschodniej.

Na tę oczywistość nie tak dawno zwrócił uwagę Donald Trump, mówiąc: „Inni prezydenci przez 60 lat przyglądali się temu, co się tam dzieje, a ja wierzę, że będę miał zaszczyt zająć Kubę”. I w swoim stylu dodawał: „Myślę, że mógłbym zrobić z nią, co zechcę”. W tej ostatniej kwestii Trump nie jest zresztą odległy od prawdy. Los komunizmu na Kubie, tak jak los kubańskich towarzyszy i aparatczyków, jest dziś całkowicie w rękach Trumpa. A to, czy w ogóle przetrwają, czy też będą musieli gdzieś

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d07dcb0daa



Fot. Shutterstock

uciekać z wyspy, zależy od woli i odwagi prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Oczywiście w przeprowadzeniu tej misji Trumpowi próbują przeszkodzić jego wrogowie z Partii Demokratycznej razem z obsesyjnie izolacjonistyczną frakcją ruchu MAGA, a przede wszystkim wielkie media. Tak samo jak w Iranie czy w Wenezueli.

Ale realia polityczne wydają się sprzyjać odwadze Trumpa. Rzecz pierwsza to właśnie ta, że system komunistyczny na Kubie załamał się od wewnątrz. Tym, co na wyspie nadal działa, jest aparat represji i więzienia, w których reżim przetrzymuje co najmniej 1,2 tys. osób za ich antykomunistyczne przekonania. Przebywają oni w ciężkich warunkach, a ostatnio pojawiły się doniesienia kubańskich organizacji humanitarnych, wedle których sześciu więźniów miało umrzeć z głodu.

UPADŁA WYSPA

Odkąd na początku 2026 r. Trump założył blokadę dostaw surowców energetycznych na Kubę, państwo *de facto* przestało działać. Na przełomie marca i kwietnia Amerykanie przepuścili przez blokadę jeden rosyjski tankowiec z paliwem – Anatolij Kołodkin, motywując to względami humanitarnymi. Dzień później reżim zaczął zwalniać część więźniów, tyle że starym i dobrze znanym kubańskim zwyczajem są to ponoć kryminaliści, a nie więźniowie polityczni.

Tymczasem przemysł w większości stoi, szpitale tracą możliwości leczenia, śmieci nie są usuwane z ulic Hawany, samochody przestały jeździć, a nocą kubańskie miasta są pogrążone w ciemnościach. Cena benzyny wzrosła z 1,2 do 8 dol. przy średnich zarobkach wynoszących ok. 16 dol. za miesiąc, co i tak ma niewielkie znaczenie, bo benzyna jest faktycznie niedostępna. W połowie maja reżim oficjalnie oświadczył, iż „ostatecznie wyczerpały się państwowe magazyny diesla i oleju opałowego", co w tym drugim przypadku oznacza radykalne zmniejszenie produkcji prądu i ciepła. Po tej deklaracji reżimu w Hawanie ludzie wyszli na ulice, bijąc w garnki – nocą, w miejskich ciemnościach, tu i ówdzie oświetlonych telefonami komórkowymi. Duże wrażenie robią filmy z rozruchów, które wtedy wybuchły, które można obejrzeć w sieci.

Prawdę mówiąc, blokada Trumpa tylko dobiła i tak walący się od środka komunizm kubański. Dzisiaj, po blisko czterech dekadach wolności i kapitalizmu, Polakowi pewnie trudno już pojąć, jak to w ogóle możliwe, że tropikalna wyspa o żyznych ziemiach od lat musi importować aż 80 proc. żywności, w tym zboża i rośliny strączkowe, ryż, kukurydzę, soję, fasolę, mleko w proszku i kurczaki, chociaż kilka lat temu rządzący jeszcze wtedy brat Fidela – Raul Castro „zliberalizował" system rolny, pozwalając prywatnym rolnikom na dzierżawę gruntów skolektywizowanych przez rewolucję.

Już wcześniej podobnie rzecz się miała z wieloma branżami przemysłu, zjednoczonymi w zarządzanym przez „rewolucjonistów" komunistycznym holdingu GAESA. Jak ponury dowcip brzmi powtarzana na Zachodzie anegdota, iż nawet luksusowy kubański rum Hawana Club 7 Años można sprzedawać tylko wówczas, jeśli za granicą uda się kupić szklane butelki, gdyż cały przemysł szklarski na Kubie już dawno zbankrutował.

SOJUSZNIKÓW JUŻ BRAK

Drugim powodem bezsilności reżimu kubańskiego jest jego międzynarodowe osamotnienie. Dziś wiadomo już na pewno, że nikt nie będzie bronić kubańskich komunistów, jeśli Ameryka zechce przeprowadzić na wyspie wojskową operację pacyfikacyjną na większą (jak niegdyś na pobliskiej Grenadzie) albo na mniejszą skalę (jak niedawno w Wenezueli).

Ani Moskwa, ani Pekin nie podjęły żadnych realnych prób przełamania lub jakiegoś obejścia (jeśli to w ogóle możliwe) blokady Kuby, by ratować tamtejszy reżim, a wspomniany już rosyjski tankowiec dopłynął do jej brzegów tylko dlatego, że dostał amerykańskie pozwolenie.

Moskwa wydaje się ostatnio skoncentrowana na znacznie większej grze: przygotowaniach do zbrojnego zajęcia państw bałtyckich, gdzie organizuje prowokacje, koncentruje wojska, dozbraja enklawę królewiecką i czyni widoczne przygotowania szpiegowsko-rozpoznawcze.

A komentatorzy zauważyli, że podczas niedawnej wizyty Trumpa w Pekinie kwestia Kuby w ogóle nie

eprasa.pl d07dcb0daa

została poruszona przez Xi Jinpinga. To oczywiste, że chińscy komuniści mają z Trumpem poważniejsze sprawy do omówienia, jak choćby kwestie ceł czy nowoczesnych technologii. Ale wygląda też na to, iż w Pekinie uznano, że Kuba, leżąca od Florydy mniej więcej w tak samo małej odległości jak Tajwan od Chin (trochę ponad 100 km), jest naturalną strefą wpływów amerykańskich i nie ma co zawracać sobie głowy tym, co Trump zamierza zrobić z tą wyspą. I tak dobrze, że ostatnio Pekin zaczął w końcu wysyłać na Kubę ryż. I to wszystko.

W obronie kubańskiego reżimu, ze strachu nie wymieniając jednak Ameryki po imieniu, bąknęły coś tylko trzy rządy na świecie: hiszpański, brazylijski i meksykański. Żaden z nich nie zrobi już pewnie niczego więcej. Kiepscy i słabi to sojusznicy dla kubańskich komunistów.

PRZYGOTOWANIA DO INWAZJI

A wiele znaków – w tym przede wszystkim słowa samego prezydenta i jego sekretarza stanu Marco Rubio – świadczy coraz wyraźniej, że armia amerykańska kończy (albo nawet już ukończyła) operacyjne przygotowania do militarnego ataku na Kubę.

Na Morzu Karaibskim znajduje się amerykańska IV Flota z najstarszym lotniskowcem USS Nimitz na czele, który wedle oficjalnej wersji ma odwiedzić Jamajkę podczas rejsu pożegnalnego. Ale przy okazji takiej kurtuazyjnej wizyty może przecież świetnie posłużyć samolotom i komandosom do ataku na Kubę.

O finalnych przygotowaniach do inwazji wydaje się również świadczyć brak jakiejkolwiek reakcji władz Stanów Zjednoczonych na wyciek (pewnie celowy) do serwisu Axios informacji, wedle której reżim kubański wyposażył się w 300 dronów przygotowanych do ataku na wojskową bazę USA w Guantanamo, położoną tuż za granicą komunistycznej Kuby. A brak reakcji politycznej w takich sytuacjach najczęściej świadczy o tym, że decyzja o reakcji militarnej już zapadła.

Do wyzwolenia Kuby spod reżimu komunistycznego i uczynienia z wyspy sojusznika Ameryki uparcie dąży Marco Rubio – urodzony w USA Kubańczyk i znany od wielu lat antykomunista. Początkowo sugerował możliwość zawarcia jakiejś ugody z bardzo osłabionym reżimem, a w połowie maja 2026 r. Hawanę odwiedził nawet szef CIA John Ratcliffe. Rzecz jasna nie wiadomo, z którymi przedstawicielami reżimu tam rozmawiał, można jednak zakładać, że szukał wśród nich osoby czy osób, które byłyby gotowe zmienić front i przejść na stronę USA.

> Dziś wiadomo już na pewno, że nikt nie będzie bronić kubańskich komunistów, jeśli Ameryka zechce przeprowadzić na wyspie wojskową operację pacyfikacyjną na większą skalę, jak niegdyś na pobliskiej Grenadzie, albo na mniejszą, jak niedawno w Wenezueli

Rozmowy chyba nie były owocne, skoro zaraz po powrocie Ratcliffe'a 20 maja Pentagon wysłał lotniskowiec na Morze Karaibskie. Tego samego dnia prokurator federalny na Florydzie wniósł do sądu oskarżenie przeciwko emerytowanemu prezydentowi Raulowi Castro, zarzucając mu czterokrotne morderstwo obywateli amerykańskich i terroryzm. Chodzi o znaną historię z 1996 r., kiedy kubańska armia zestrzeliła dwa małe samoloty cywilne z kubańskimi emigrantami na pokładzie. Tego rodzaju skoordynowana akcja wyraźnie pokazuje, że Waszyngton będzie dążyć do aresztowania brata Fidela, ostatniego bodaj żyjącego przywódcy komunistycznej rewolucji 1959 r.

Tego dnia Rubio zmienił także język swoich oświadczeń. Rzecz w tym, że 20 maja to zakazane na Kubie święto narodowe, upamiętniające utworzenie Republiki Kubańskiej w 1902 r. W tym nieprzypadkowo wybranym dniu Marco Rubio wygłosił po hiszpańsku orędzie do Kubańczyków, będące ni mniej, ni więcej jak proklamacją rychłego przywrócenia im wolności przez Amerykę. Mówił wtedy: „To nie jest niemożliwe! Wszystko to istnieje na Bahamach, na Dominikanie i na Jamajce, a nawet 90 mil stąd – na Florydzie. Jeśli więc prawo do głosowania i własności biznesu jest możliwe wszędzie wokół Kuby, to dlaczego nie miałoby być możliwe u was, na Kubie?". Wszystko to sprawia takie wrażenie, jakby najpóźniej 20 maja decyzja o jakiejś formie inwazji *de facto* była już w Białym Domu podjęta.

Upadek reżimu albo nawet jego proamerykańska transformacja – wzorem Wenezueli – byłby (jak można domniemywać) dziełem życia Marco Rubio. Tym bardziej że choć z woli Trumpa sprawuje on jednocześnie dwie najważniejsze funkcje w amerykańskiej polityce zagranicznej (sekretarza stanu i doradcy ds. bezpieczeństwa), to jednak nie prowadzi osobiście ani polityki bliskowschodniej, ani rosyjskiej. Tymczasem Wenezuela i Iran stanowiły przełom w myśleniu samego Trumpa o tym, czy i jak można używać armii amerykańskiej. Prezydent USA przestał się bać inwazji tam, gdzie jednocześnie wchodzą w grę życiowe interesy amerykańskie i pojawia się możliwość obalenia okrutnej tyranii. Właśnie dlatego Rubio ma realną szansę na doprowadzenie do wyzwolenia Kuby.

W ostatnich dniach sekretarz stanu mówił, że „Kuba ma poważne kłopoty, bo rządzi nią banda niekompetentnych komunistów". Po czym dodawał: „Samo bycie komunistą to rzecz zła. Ale bycie komunistą niekompetentnym to już rzecz najgorsza". Trudno nie żywić nie tylko politycznej, lecz także ludzkiej sympatii wobec intencji i marzeń Marco Rubio. W końcu przecież chodzi mu o wyzwolenie jego pierwszej ojczyzny.

eprasa.pl d07dcb0daa

„Dobry populista” zaostrza kurs

Nowy węgierski premier Péter Magyar chce zmusić prezydenta tego kraju do dymisji, bo widzi w nim przeszkodę na drodze do unijnych miliardów. Ten stawia jednak opór. Może to doprowadzić do kryzysu konstytucyjnego na Węgrzech



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

1 czerwca Péter Magyar udał się w towarzystwie minister sprawiedliwości Márty Görög do Pałacu Sándora w Budapeszie, który od 2003 r. stanowi siedzibę prezydenta Węgier. Lider TISZY, którego niemiecki „Der Spiegel” entuzjastycznie nazwał „dobrym populistą”, zapowiedział, że usunie Sulyoka ze stanowiska, jeśli ten nie poda się do dymisji do 31 maja. Prezydent jednak odmówił i podkreślił, że „nie da się zastraszyć”. Tak więc premier postanowił jeszcze raz – jak zaznaczył – przemówić mu do sumienia.

Nie była to przyjemna wizyta. Także dlatego, że przed pałacem – jak pisze dziennik „Magyar Nemzet” – pojawili się protestujący, którzy głośno krzycząc i bucząc, domagali się dymisji, ale nie Sulyoka, tylko Magyara. Zakłócili konferencję prasową premiera na tyle skutecznie, że jej transmisja została przerwana. Jednak zanim to się stało, Magyar po raz kolejny podkreślił, że usunie prezydenta z urzędu nie poprzez procedurę impeachmentu, ale zmianę konstytucji.



Premier Peter Magyar i prezydent Tomas Sulyok

Fot. PAP/EPA

„LOKAJE ORBÁNA”

Podobne ultimatum, czyli dymisję do 31 maja, Magyar postawił także innym wysokiej rangi urzędnikom państwowym, nominowanym za poprzednich rządów Viktora Orbána. Są wśród nich prezesi Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego, a także szef urzędu regulacji mediów. Jak przekonuje „Der Spiegel”, Magyar chce się pozbyć „lokajów Orbána”, którzy mogliby hamować jego systemową przebudowę państwa. Ma nastać nowa jakość, bez nepotyzmu i korupcji. A prezydent – jego zdaniem – jest częścią poprzedniego układu.

Żądanie rezygnacji Sulyoka wielokrotnie pojawiało się w wywiadach i wpisach w mediach społecznościowych premiera. Nowi członkowie rządu TISZY okazywali pogardę dla głowy państwa, także odwracając się do niego plecami podczas nominacji. Trudno zrozumieć narastającą agresję, choćby dlatego, że prezydent nie wygłosił w trakcie kampanii żadnych oświadczeń, które mogłyby zostać zinterpretowane jako wrogość, i demonstrował gotowość do współpracy. Ponadto w węgierskim systemie głowa państwa nie jest zwierzchnikiem władzy wykonawczej, nie kieruje polityką rządu i nie posiada narzędzi, aby skutecznie blokować dominującą większość parlamentarną. Weto, którym dysponuje, parlament może z łatwością przegłosować zwykłą większością głosów. Rola prezydenta ma przede wszystkim cha-

eprasa.pl d07dcb0daa

rakter konstytucyjny i reprezentacyjny: ucieleśnia ciągłość państwa, stabilność instytucjonalną i jedność narodową.

Zapowiedź użycia „całej siły" parlamentarnej większości budzi spore emocje obserwatorów węgierskiej sceny politycznej. Magyar powołuje się jednak na „największy w historii Węgier mandat społeczny", potwierdzony zarówno kwietniowym triumfem wyborczym, jak i aktualnymi sondażami, w których poparcie dla jego obozu sięga 70 proc. A Sulyok, skoro był „posłusznym notariuszem" Orbána i nie próbował blokować demontażu państwa prawa, nie może – jego zdaniem – dłużej reprezentować narodowej jedności.

MILIARDY Z BRUKSELI

Być może chodzi o to, że prezydent – podobnie jak w Polsce – może skierować ustawy do Trybunału Konstytucyjnego. A nowy rząd TISZY, by odblokować zamrożone fundusze unijne, będzie musiał przyjąć dziesiątki ustaw. I to szybko.

By Węgry otrzymały środki z Funduszu Odbudowy w wysokości 10 mld euro, Magyar musi do 31 sierpnia przeprowadzić wymagane przez Brukselę reformy w dziedzinie zwalczania korupcji i przywrócenia praworządności. 2 mld euro na wsparcie słabych strukturalnie regionów już przepadły pod koniec 2024 i 2025 r. Czas więc nagli. Magyar zresztą nie kryje, że widzi w Sulyoku jedną z głównych przeszkód na drodze do uzyskania w sumie 17 mld euro z UE. Ponadto mógłby on niechętnie patrzeć na planowaną przez premiera reformę samorządów.

Odwołanie prezydenta nie będzie jednak łatwe. Głowa państwa może zostać usunięta z urzędu tylko wtedy, gdy umyślnie naruszy konstytucję, jakikolwiek inny przepis związany z wykonywaniem swojego urzędu lub jeśli popełni umyślne przestępstwo. A ostatnie słowo ma Trybunał Konstytucyjny. Zapewne dlatego Magyar chce się pozbyć także prezesa Trybunału – wybranego przed rokiem Pétera Polta, byłego prokuratora generalnego, lojalnego wobec Orbána. Zamierza to zrobić w ciągu miesiąca jedną poprawką do konstytucji, ale szczegółów wciąż brak. Podczas konferencji prasowej przed Pałacem Sándora przekonywał, że po usunięciu prezydenta z urzędu jego funkcję będzie pełniła przewodnicząca parlamentu, która „będzie podpisywała ustawy".

JAWNY SZANTAŻ

Tym samym droga do spełnienia wymogów UE (w tym, jak twierdzą prawicowe węgierskie media, paktu migracyjnego) będzie wolna. Orbán zażądał zresztą od swojego następcy ujawnienia dokładnej treści „porozumienia politycznego", które podpisał z Komisją Europejską. Bo, jak to ujął, „nie ma darmowego sera oprócz tego w pułapce na myszy". Podczas zeszłotygodniowej wspólnej konferencji prasowej z Ursulą von der Leyen w Brukseli Magyar wił się jak piskorz, odpowiadając na pytania dziennikarzy, by w końcu wydukać, że „pakt migracyjny to nic takiego, a w ogóle został przyjęty za czasów Orbána". W skrócie: pakt migracyjny to nic złego, a jeśli jest zły, to z winy Orbána. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że von der Leyen, inaczej niż w przypadku zmiany władzy w Polsce na koalicję 13 grudnia, Węgrom nie zamierza tak łatwo odblokować zamrożonych funduszy. Magyar będzie musiał połknąć wiele żab, zanim zobaczy choćby grosz.

Należałoby zapytać, co siłowe – bo tak należy to nazwać – usunięcie prezydenta, którego kadencja trwa do 2029 r., ma wspólnego z przywróceniem praworządności. Ano nic. Podobnie jak pomysł Magyara, by jego przyjaciel i szwagier Marton Melléthei-Barna został szefem resortu sprawiedliwości. Na szczęście przyszły minister wycofał się tuż przed zaprzysiężeniem.

Opozycyjny Fidesz widzi w posunięciach nowego premiera wobec prezydenta Sulyoka „jawny szantaż". Partia opublikowała oficjalną deklarację, w której podkreśliła, że „w węgierskim porządku konstytucyjnym kadencje urzędników państwowych nie są ustalana arbitralnie przez premiera". Zdaniem partii stworzenie spersonalizowanych przepisów tylko po to, by pozbyć się jednej osoby, w tym przypadku prezydenta, może doprowadzić do kryzysu konstytucyjnego. „Ponadto oznaczałoby to, że nie wiadomo, czy regulacje prawne, które obowiązują obecnie, będą obowiązywać także jutro, czy też będą dowolnie inaczej interpretowane, inaczej stosowane lub nagle zmieniane" – dodał analityk z Węgierskiego Centrum Praw Człowieka László Dornfeld. Według niego działania Magyara zagrażają bezpieczeństwu prawnemu na Węgrzech.

NIEGODNE SCENY

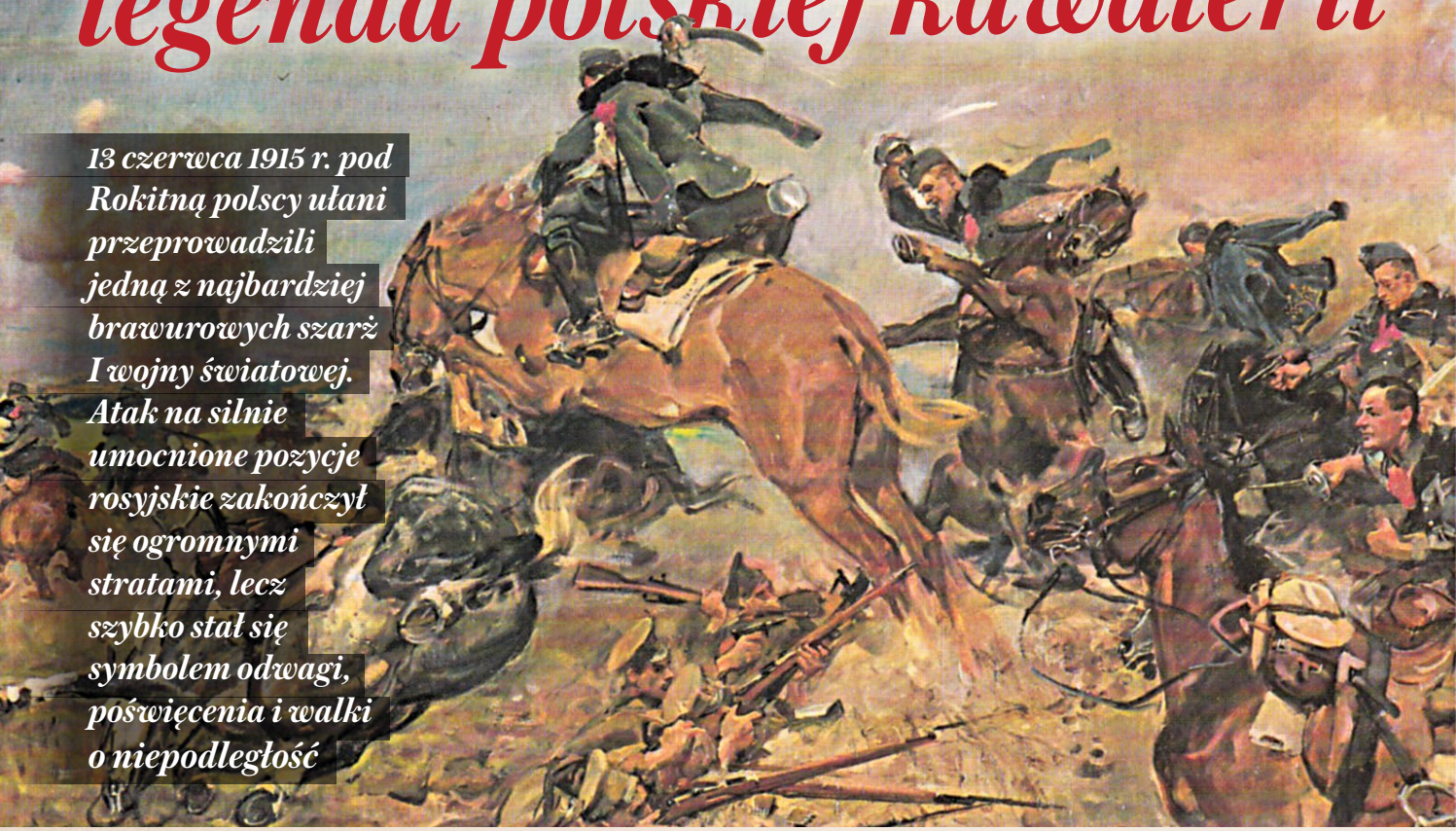
Poczynania nowego węgierskiego premiera skrytykował nawet liberalny portal Politico, pisząc o tym, że planowane zmiany oznaczałyby złamanie konstytucji. Ale to raczej nie powstrzyma Magyara. Obiecał Węgrom rewolucję oraz miliardy z Brukseli i teraz musi dotrzymać słowa. Ludzie mieli zresztą okazję zobaczyć go w akcji podczas pierwszego posiedzenia nowego parlamentu, gdy strofował posłów opozycji, przerywał im i nazywał ich przestępcami. Kiedy lider klubu parlamentarnego Fideszu Gulyás Gergely zaczął odpowiadać na jedno z jego oskarżeń, ten podskoczył, stanął przed mówcą, niemal nachylił się do niego i powiedział coś, czego nie wychwyciły mikrofony. Pod koniec przewodnicząca parlamentu Ágnes Forsthoffer, koleżanka partyjna Magyara, przeprosiła za „niegodne" sceny. Podczas pierwszych dwóch sesji parlamentarnych takich scen w wykonaniu premiera było mnóstwo.

Poza tym Magyar zajmuje się śledzeniem każdego komentarza na swój temat w mediach społecznościowych – jak pisze były korespondent „Die Welt" na Węgrzech Boris Kálnoky, dziś szef szkoły mediów w Mathias Corvinus Collegium. Do tego stopnia, że powstał cały profil na portalu Reddit, zbierający jego najbardziej błyskotliwe riposty. Kampania wyborcza to było one man show i podobnie jest teraz, gdy się zakończyła. Rządzenie jako netfliksowy serial. I to dosłownie. Zwycięstwo wyborcze Magyara i jego rządy są obecnie uwieczniane zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki filmowej. Dlatego często gdy premier pojawia się w parlamencie, nosi dwa mikrofony w klapie marynarki.

Rozliczenia, brukselskie miliardy i Magyar, wszędzie Magyar. Na nic innego nie ma obecnie miejsca w węgierskiej polityce. A spór polityczny wydaje się dopiero rozkręcać.

eprasa.pl d07dcb0daa

Szarża pod Rokitną: *legenda polskiej kawalerii*



13 czerwca 1915 r. pod Rokitną polscy ułani przeprowadzili jedną z najbardziej brawurowych szarż I wojny światowej. Atak na silnie umocnione pozycje rosyjskie zakończył się ogromnymi stratami, lecz szybko stał się symbolem odwagi, poświęcenia i walki o niepodległość

„Było to 13 czerwca 1915 r., gdy waleczny szwadron Polaków pojechał po śmierć w odległym, nieznanym zakątku Besarabii. Walka rozpoczęła się o godz. 13 i trwała dokładnie 13 minut" – pisał o szarży pod Rokitną – na prośbę ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce – oficer kawalerii, mjr dypl. Emil Gruszecki.

Choć w historii polskiego oręża nie brakuje wydarzeń, które mimo ograniczonego znaczenia militarnego trwale zapisały się w pamięci narodowej, szarża pod Rokitną zajmuje w niej miejsce szczególne. Atak zakończony ciężkimi stratami szybko urósł do rangi legendy i stał się symbolem odwagi oraz bezgranicznego oddania sprawie niepodległości. Dla polskich formacji wojskowych walczących podczas I wojny światowej był źródłem dumy i świadectwem ich wartości bojowej. Pamięć o Rokitnej przetrwała również po zakończeniu wojny, gdy wielu legionistów zasiliło szeregi odradzającego się Wojska Polskiego i uczestniczyło w dalszych zmaganiach o granice niepodległej Rzeczypospolitej.

U BOKU ZABORCÓW

W chwili wybuchu I wojny światowej ziemie polskie pozostawały pod zaborami, a miliony Polaków były zmuszone do walki w armiach austriackiej, niemieckiej i rosyjskiej. Dla wielu środowisk niepodległościowych wojna stwarzała szansę na odbudowę własnego państwa, dlatego niemal od pierwszych dni konfliktu rozpoczęto tworzenie polskich formacji wojskowych.



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Za symboliczny początek polskiego czynu zbrojnego uznaje się wymarsz Pierwszej Kompanii Kadrowej z Krakowa 6 sierpnia 1914 r. Oddział utworzony z inicjatywy Józefa Piłsudskiego, a dowodzony przez Tadeusza Kasprzyckiego wkroczył na teren zaboru rosyjskiego z nadzieją wywołania antyrosyjskiego powstania. Choć plan ten nie powiódł się, wydarzenie zapoczątkowało tworzenie polskich od-

Fot. domena publiczna

eprasa.pl d07dcb0daa

działów wojskowych i stało się jednym z fundamentów późniejszej legendy legionowej.

Najważniejszą polską formacją pierwszych lat wojny były Legiony Polskie, utworzone pod auspicjami Austro-Węgier. Ich szeregi zasiliły tysiące ochotników ze wszystkich trzech zaborów, choć trzon stanowili członkowie organizacji paramilitarnych działających w Galicji, takich jak Związek Strzelecki, Polskie Drużyny Strzeleckie czy Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół". Legiony szybko stały się szkołą nowoczesnego żołnierza i kuźnią przyszłych kadr Wojska Polskiego.

Równolegle rozwijały się także polskie inicjatywy wojskowe związane z Rosją. Już jesienią 1914 r. utworzono walczący po stronie rosyjskiej Legion Puławski. W kolejnych latach powstały również I, II i III Korpus Polski w Rosji, skupiające dziesiątki tysięcy żołnierzy i oficerów. Największą polską formacją wojskową utworzoną podczas wojny była jednak Błękitna Armia gen. Józefa Hallera, zorganizowana we Francji w 1917 r. dzięki wsparciu państw ententy oraz polskiej emigracji. Wszystkie te jednostki odegrały ważną rolę w procesie odzyskiwania niepodległości. W latach wojny największy rozgłos zdobyły jednak Legiony Polskie, których szlak bojowy obfitował w wydarzenia szybko obrastające legendą. Jednym z nich była właśnie szarża pod Rokitną.

Z GALICJI DO BESARABII

I Brygada Legionów Polskich została sformowana w grudniu 1914 r. na bazie oddziałów walczących wcześniej w składzie Legionu Zachodniego. Dowodzona przez Józefa Piłsudskiego zasłynęła m.in. udziałem w bitwie pod Łowczówkiem oraz walkach nad Nidą i Pokrzywianką, pod Konarami i Jastkowem.

Równolegle we Lwowie z inicjatywy Józefa Hallera tworzono Legion Wschodni. Formacja ta rozpadła się jednak już jesienią 1914 r. wskutek sporów politycznych, odmowy części żołnierzy złożenia przysięgi na wierność cesarzowi Austrii oraz trudnej sytuacji militarnej po zajęciu znacznej części Galicji przez wojska rosyjskie. Haller stanął na czele tych legionistów, którzy zdecydowali się kontynuować walkę. Na bazie istniejących oddziałów utworzono 3. Pułk Piechoty Legionów, do którego wkrótce dołączyły kolejne jednostki: 2. pułk, 2. i 3. szwadron jazdy oraz artyleria.

Jesienią 1914 r. oddziały te zostały skierowane w Karpaty Wschodnie, gdzie miały za zadanie bronić pozycji przed nacierającymi Rosjanami. Przełom 1914 i 1915 r. przyniósł bardzo ciężkie walki na tym odcinku frontu. Żołnierze zmagali się nie tylko z przeciwnikiem, lecz także z mrozem, głodem i wyczerpującymi marszami przez górskie przełęcze. Krwawe starcia pod Mołotkowem, Rafajłową i Kirlibabą zostały okupione wysokimi stratami. Jednocześnie legioniści zyskali reputację wyjątkowo wytrwałych i zdyscyplinowanych żołnierzy.

W kwietniu 1915 r. z oddziałów walczących dotychczas w Karpatach utworzono II Brygadę Legionów Polskich, zwaną Karpacką lub Żelazną. Jej dowódcą został Austriak, płk Ferdynand Küttner, ponieważ Józef Haller przebywał wówczas w szpitalu. W tym samym czasie w rejonie Piotrkowa Trybunalskiego rozpoczęto również organizację III Brygady Legionów Polskich, która niedługo później została skierowana na Wołyń.

> Byli to młodzi ochotnicy, często mający za sobą kilka miesięcy ciężkich walk legionowych. Jeźdźcy galopem skierowali się ku rosyjskim okopom. Zaskoczeni Rosjanie nie zdążyli od razu zorganizować skutecznej obrony

„NA KOŃ!"

Wiosną 1915 r. sytuacja na froncie zaczęła się zmieniać. Po sukcesie w okolicach Gorlic wojska państw centralnych przeszły do generalnej ofensywy przeciw armii rosyjskiej. II Brygada została skierowana na Bukowinę, gdzie miała wspierać natarcie przeciwko silnie umocnionym pozycjom przeciwnika. Na początku czerwca legioniści znaleźli się w rejonie Rokitnej, niewielkiej miejscowości położonej na pograniczu Bukowiny i Besarabii. Rosjanie przygotowali tam rozbudowany system obronny składający się z czterech linii okopów osłoniętych zasiekami z drutu kolczastego oraz wspieranych przez karabiny maszynowe i ściągniętą z innych odcinków frontu artylerię. 12 czerwca pod Rokitną stanęły oddziały II Brygady razem z wojskami austro-węgierskimi. Tego samego dnia rozpoczęły się walki o zajęcie miejscowości. Pierwsze próby przełamania rosyjskich pozycji zakończyły się niepowodzeniem. Następnego dnia sytuacja na froncie stała się jeszcze bardziej napięta, kiedy oddziały rosyjskie przystąpiły do kontrataku.

Wobec trudnej sytuacji podjęto decyzję o przeprowadzeniu ataku kawalerii. Zadanie powierzono rotmistrzowi Zbigniewowi Dunin-Wąsowiczowi, dowódcy 2. dywizjonu kawalerii (utworzonego z połączenia 2. i 3. szwadronu) II Brygady, oficerowi cieszącemu się ogromnym autorytetem wśród podkomendnych. Plan zakładał wsparcie natarcia piechoty poprzez uderzenie na lewej flance rosyjskich pozycji. Było to przedsięwzięcie niezwykle ryzykowne. Z powodu coraz większej siły ognia broni palnej klasyczne szarże kawalerii coraz częściej kończyły się krwawymi stratami, szczególnie przeciwko umocnionym pozycjom przeciwnika. Mimo świadomości zagrożenia Dunin-Wąsowicz osobiście poprowadził swoich ludzi do walki. Po przekroczeniu Rokitnianki pozostawił 3. szwadron w odwodzie, natomiast na czele 2. szwadronu w sile 63 ułanów ruszył do ataku. Byli to młodzi ochotnicy, często mający za sobą kilka miesięcy ciężkich walk

eprasa.pl d07dcb0daa

legionowych. Jeźdźcy galopem skierowali się ku rosyjskim okopom.

Początkowo szarża szybko przyniosła zamierzony skutek. Zaskoczeni Rosjanie nie zdążyli od razu zorganizować skutecznej obrony, dzięki czemu ułani przebili się przez pierwszą linię umocnień i wtargnęli w głąb pozycji przeciwnika. Z każdymi kolejnymi okopami opór przeciwnika przybierał jednak na sile. Najbardziej śmiercionośne okazały się rosyjskie karabiny maszynowe rozstawione na czwartej linii umocnień. Konie i jeźdźcy padali pod gradem kul, lecz atak nie załamał się. Szarża trwała niespełna kwadrans. Polskim ułanom udało się przedrzeć przez wszystkie cztery linie rosyjskich okopów i zadać przeciwnikowi dotkliwe straty. Wobec przeważających sił nieprzyjaciela nie byli jednak w stanie utrzymać zdobytych pozycji.

Bilans ataku był tragiczny. Bezpośrednio w szarży poległo 14 żołnierzy, a 28 zostało poważnie rannych. Zginęło trzech oficerów, w tym dowódca 2. szwadronu por. Jerzy Topór-Kisielnicki oraz dowódca 2. dywizjonu rtm. Zbigniew Dunin-Wąsowicz. Koń rotmistrza padł tuż przed ostatnią linią rosyjskich okopów. Mimo obrażeń odniesionych podczas upadku Dunin-Wąsowicz poderwał się z ziemi i z pistoletem w dłoni ruszył ku stanowiskom nieprzyjaciela. Strzelając do broniących się Rosjan, dotarł niemal do krawędzi okopu. Wówczas dosięgła go śmiertelna kula. Spośród uczestników szarży jedynie sześciu wyszło z walki bez szwanku. Dziewięciu ułanów dostało się do rosyjskiej niewoli, z czego dwóch zostało odbitych.

NARODZINY LEGENDY

Ze względu na brak koordynacji i synchronizacji działań w ugrupowaniu bojowym II Brygady Legionów Polskich nie udało się wykorzystać bezpośrednich efektów szarży 2. szwadronu, który wywołał zaskoczenie i panikę w szeregach przeciwnika. Rosjanie, od wielu dni broniący umocnionych pozycji pod Rokitną, nie byli jednak w stanie utrzymać swoich stanowisk. W nocy z 13 na 14 czerwca 1915 r. wycofali się w kierunku Besarabii, opuszczając linię obrony.

Oddziały II Brygady Legionów Polskich oraz współdziałające z nimi jednostki austro-węgierskie rozpoczęły pościg za ustępującym nieprzyjacielem. Następnie brygada została przegrupowana i obsadziła nowe pozycje w rejonie Rarańczy. To właśnie tam 15 czerwca odbył się pogrzeb poległych uczestników szarży pod Rokitną z rtm. Zbigniewem Dunin-Wąsowiczem na czele. Nabożeństwo żałobne odprawił kapelan legionowy ks. Józef Panaś, który zwrócił się do zgromadzonych słowami: „Za dusze tych, co wiedząc, że idą na pewną śmierć – poszli, by pokazać, że każdy rozkaz wypełnić potrafią, za duszę poległych piętnastu towarzyszy broni, których krew przelaną została za honor oręża polskiego – oby z krwi tej Polska powstała! – zmówcie »Ojcze nasz« – »Zdrowaś Marjo« i »Wieczne odpocznienie«”.



W kolejnych dniach II Brygada nadal prowadziła ciężkie walki z wojskami rosyjskimi. Front ustabilizował się dopiero po serii zaciętych starć, podczas których legioniści wielokrotnie odpierali rosyjskie kontrataki. W październiku 1915 r. jednostka została przerzucona na Wołyń. Jak się jednak okazało, brygada jeszcze raz miała stoczyć bój pod Rarańczą.

W lutym 1918 r. żołnierze sprzeciwili się postanowieniom traktatu brzeskiego i pod dowództwem Józefa Hallera przebili się przez linie austro-węgierskie, aby połączyć się z polskimi oddziałami znajdującymi się po drugiej stronie frontu. Jednocześnie wieść o szarży szybko obiegła całość polskich ziem. Już w czasie wojny wydarzenie porównywano do słynnej szarży polskich szwoleżerów pod Somosierrą z 1808 r. W prasie galicyjskiej i legionowej podkreślano przede wszystkim niezwykłą odwagę ułanów, którzy mimo świadomości ogromnego ryzyka wykonali powierzony im rozkaz i zaatakowali silnie umocnione pozycje przeciwnika. Informacje o przebiegu walk szybko rozeszły się wśród społeczeństwa, czyniąc z Rokitnej jeden z najbardziej znanych epizodów wojennych związanych z Legionami.

PAMIĘĆ O SZARŻY

W dwudziestoleciu międzywojennym szarża pod Rokitną zajęła trwałe miejsce w polskiej pamięci historycznej. Weterani Legionów pielęgnowali wspomnienie wydarzeń z czerwca 1915 r., organizowali uroczystości rocznicowe oraz publikowali relacje z przebiegu walk. Bohaterowie spod Rokitnej nie spoczywali długo na cmentarzu w Rarańczy. W odrodzonej Polsce ich tradycje przejął 2. Pułk Szwoleżerów Rokitniańskich. Jednostka utrzymywała bliskie kontakty z rumuńskim 11. Pułkiem Huzarów stacjonującym w Czerniowcach, który sprawował opiekę nad znajdującymi się w Rumunii grobami polskich kawalerzystów. Na mocy porozumienia zawartego między Rzecząpospolitą a Rumunią w lutym 1923 r. przeprowadzono ekshumację poległych, których szczątki przewieziono do kraju.

26 lutego 1923 r. w Krakowie odbył się uroczysty pogrzeb uczestników szarży. W ceremonii wzięli udział m.in. Józef Piłsudski oraz bp Adam Stefan Sapieha. Piłsudski udekorował trumny poległych Krzyżami Srebrnymi Orderu Virtuti Militari. Po uroczystościach na Rynku Głównym kondukt żałobny udał się na Cmentarz Rakowicki. Polegli ułani spoczęli w specjalnie wydzielonej kwaterze wojskowej. Dwa lata później nad ich mogiłą odsłonięto okazały pomnik.

Pamięć o wydarzeniach spod Rokitnej utrwalono również na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie, gdzie nazwa pola bitwy znalazła się wśród najważniejszych miejsc chwały polskiego oręża.

Fot. Muzeum Narodowe w Krakowie

eprasa.pl d07dcb0daa



Kadr z filmu „Lalka”

Powrót do kostiumu

Okazuje się, że Marek Kondrat wrócił do aktorstwa nie dla kinowej „Lalki”, ale dla Teatru Telewizji. Jesienią będziemy mogli go zobaczyć zarówno w roli starego subiekta Rzeckiego, jak i Doktora w „Królu Maciusiu Pierwszym”

Fot. Materiały promocyjne Gigant Films

eprasa.pl d07dcb0daa



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Kadr ze spektaklu „Król Maciuś Pierwszy”

Sceniczna adaptacja książki Janusza Korczaka to trzeci wyłom w dawnej decyzji Marka Kondrata o porzuceniu aktorstwa, w tym Teatru Telewizji. Na największej scenie świata zagrał ponad 50 ról. Po raz ostatni wystąpił na niej 25 lat temu. 5 lat później ogłosił, że kończy karierę aktorską. Zdanie zmienił w ubiegłym roku – dla spektaklu „Warto żyć”, z którego ostatecznie zrezygnował.

FLIRT Z PRZESZŁOŚCIĄ

„Nie tęskniłem ani za Teatrem Telewizji, ani za filmem. Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedykolwiek wrócę na plan. Mój udział w »Królu Maciusiu Pierwszym« i »Lalce« to wypadki, które podsunął mi los i które są raczej flirtem z przeszłością, jakąś próbą zamknięcia i odnalezienia pewnej wspólnoty śladów” – deklaruje.

Aktor wspomina, że gdy po raz pierwszy stanął przed kamerą (na planie filmu „Historia żółtej ciżemki”, premiera w 1961 r.), w garderobach były jeszcze ślady po kręceniu pamiętnego „Króla Maciusia I” (1957). „Z Julkiem Wyrzykowskim [synem aktorskiej pary Elżbiety Barszczewskiej i Mariana Wyrzykowskiego – przyp. red.] w roli głównej. W tym filmie zagrał też mój stryj” – zaznacza syn aktora Tadeusza Kondrata i bratanek, również aktora, Józefa Kondrata. „Tak więc rolę w nowym spektaklu Teatru Telewizji traktuję bardziej jak sentymentalną przygodę aniżeli jakiekolwiek drgnienie czegoś, co na pewno siedzi w moim organizmie. Bo aktorem nie przestaje się być nigdy, skoro już się nim nieszczęśliwie zostało” – dodaje.

TEATRALNE PRZYCIĄGANIE

Okazuje się jednak, że Marek Kondrat zdecydował się wrócić do aktorstwa nie dla powieści Bolesława Prusa i postaci Rzeckiego. Najpierw, długo namawiany, zgodził się zagrać w scenicznej adaptacji książki Lejba Fogelmana.

„Opowieść o wesołym Żydzie i jego życiowych przygodach związanych z naszym krajem była dla mnie ciekawa z powodu mojej młodości i pamięci o 1968 r., kiedy nastąpił exodus Żydów z Polski. […] Jednak wypadki na świecie potoczyły się tak, że najpierw muzułmanie zaatakowali Izrael, a potem Izrael odpowiedział atakiem na Strefę Gazy. Polityka wzięła górę nad kulturą, zresztą nie pierwszy raz. Przeszła mi ochota na dotykanie dzieła z jakimkolwiek narodem w tle i jego peregrynację. Jednak w związku z tym, że dałem słowo dyrektorowi Teatru Telewizji […] zgodziłem się zagrać małą rolę w »Królu Maciusiu Pierwszym«. Dostrzegłem w tym spektaklu pewną łączność z moją przeszłością. Postać Janusza Korczaka, którego filozofia wychowawcza święci dziś triumfy, zawsze była mi bliska” – zapewnia aktor. Podkreśla również, jak bliski jest mu kostium oraz teatr.

TO BYŁ INNY CZAS

„Jestem urodzony w teatrze. Dosłownie i w przenośni” – mówi, także przy okazji roli w filmowej „Lalce”. „Urodziłem się na trzecim piętrze Teatru Starego w Krakowie. Kiedy patrzę dziś na to piętro, nie mogę się nadziwić. Nie czuję jakiejś szczególnej emocji, kiedy przechodzę pod tym teatrem, ale to, że nosi on nazwę Teatru Starego, robi na mnie wrażenie”.

Aktor przypomina, że karierę zaczynał w 1960 r. (miał wtedy 10 lat), kiedy na hali zdjęciowej tzw. światła łukowe rozpalały się przez pół godziny, zanim uzyskały siłę blasku i z tego powodu panowała temperatura jak w hucie, a wielkie i ciężkie kamery musiały jeździć po szynach. „To był inny czas” – konstatuje, dodając: „Jestem z epoki kostiumu, bo jako dziecko, kiedy przychodziłem do ojca do teatru, pachniało tam szminkami Leichnera, pachniało mastyksem do zarostów, aktorzy się przebierali, charakteryzowali”.

CIĄGŁOŚĆ ZDARZEŃ

„To było za mojego życia, które uważam za niesłychanie szczęśliwe, bo obserwuję w nim tyle zmian” – podkreśla. „Wśród nich była próba pozbawienia teatru i filmu jego poezji, czyli tego cudzysłowu, który zwykle tym sztukom towarzyszył”.

„I nagle te dziedziny zaczynają się przenosić do naszego życia, które siłą rzeczy jest mniej dramatyczne, bo człowiek siedzący na widowni – a czasem nim jestem – nie ma ochoty oglądać swojego życia” – dodaje. „Po prostu płaci za bilet po to, by przenieść się do innego świata, który jest urządzony przez artystę czy artystów. I na tę sztuczność, która tam jest, się zgadza. W związku z tym cofnięcie nas do epoki wcale nie musi oznaczać pozbawienia tego dzieła jego współczesnego znaczenia, ale daje człowiekowi pogląd, jaka jest ciągłość zdarzeń; że kostium, który nas przyobleka, jest tylko czymś powierzchownym, a namiętności, uczucia, charakter człowieka pozostają niezmienne”.

Premiera telewizyjnego spektaklu „Król Maciuś Pierwszy” w reżyserii Tadeusza Kabicza odbędzie się jesienią – podobnie jak „Lalki” w reżyserii Macieja Kawalskiego.

Fot. Karolina Jóźwiak/TVP

eprasa.pl d07dcb0daa



Maciej ***Walaszczyk***

Z polskiego serca

Pieśniarstwo Andrzeja Kołakowskiego z miejsca przywołuje atmosferę patriotycznego biwaku, klimat insurekcji i konspiracji. Odkąd pojawił się w latach 90. XX w., wciąż był żywym przejawem swego czasu, bardzo popularnego muzyczno-poetyckiego ruch oporu, sięgającego korzeniami do najlepszych tradycji lat 80., m.in. twórczości Kaczmarskiego. Pojawił się właściwie w momencie, gdy polska ziemia zdawała się niemal z nich wyjałowiona. Jak śpiewa w „Rozstrzelanej armii", opary naszej dusznej, liberalnej współczesności sprzyjały raczej leczeniu narodowej pamięci ze stresów i „przeliczaniu kości zmarłych" na euro w imię – jak to w polityce bywa – różnych mrocznych interesów. On tę niepokojącą pamięć – szczególnie o żołnierzach podziemia antykomunistycznego, takich jak „Łupaszka", „Zapora" czy „Ogień" – przywracał („Ballada o II konspiracji", „Epitafium dla majora Ognia"). Ponadto jego ballady zawsze były świadectwem jego katolickiej identyfikacji. Tego rodzaju piosenka zdawała się bowiem nie tylko mniej potrzebna, lecz po prostu źle widziana. Opowiadał kiedyś, jak w 1996 r. podczas znanego olsztyńskiego festiwalu piosenki poetyckiej reżyser koncertu po prostu zabronił mu zaśpiewać „Tryptyku rewolucyjnego", znanego z jego innej płyty „Kontrrewolucja" (2009). Jego liryczne, poetyckie pieśniarstwo, którego próbę możemy znaleźć w wydanej właśnie reedycji płyty „Oskarżeni o wierność", stanowi więc dowód, że jak każdy bard czuł się strażnikiem ważnych prawd. Czerpał inspiracje z poezji m.in. Herberta i Wierzyńskiego, a pieśniarskim prawzorem była dla niego oczywiście twórczość Wysockiego („Katharsis") i jej charakterystyczna dramaturgia.

Tu muzyka jest nośnikiem ważnego tekstu, a także ujmuje pięknem melodyki. Andrzej Kołakowski dysponował bowiem znakomitym głosem, a akompaniamentowi gitary towarzyszą dyskretne skrzypce, których trop prowadzi też do piosenek Dylana. Przedwcześnie zmarły artysta był więc rebeliantem z gitarą. W latach 80. aktywnie uczestniczył w organizowaniu społecznego oporu jako kolporter podziemnych druków, uczestnik pikiet i manifestacji oraz działacz LDPN i grupy Antyk. W ciągu ostatnich 30 lat grał niezliczone koncerty i nagrywał płyty. Zawsze z pewnością, że „po bitwie wieczność czeka lub rodziny dom i pójdziemy bić się znowu, gdy uderzy grom". Słuchając, czekamy więc także my.



Andrzej Kołakowski, „Oskarżeni o wierność", Olifant Records 2026

Tytani narodowej pracy

„Kronos" konsekwentnie przybliża i interpretuje dorobek polskiej filozofii politycznej XIX w. Po m.in. Libelcie, Trentowskim i Cieszkowskim wraca do postaci ks. Adama Jerzego Czartoryskiego. W epoce rozbiorowej kogoś w rodzaju polskiego króla na emigracji, a do tego – jak podpowiada Wawrzyniec Rymkiewicz – ucieleśniającego starożytny ideał dobrego władcy.

Książę to postać nietuzinkowa – polityk daleki zarówno od insurekcji, jak i taktyki ugody, pozostawiający nam lekcję realistycznej i wizjonerskiej gry, której stawką była niepodległa Rzeczpospolita. Posiadał niewidzialny autorytet, a politykę widział w perspektywie długiego trwania, o czym świadczą np. opublikowane właśnie fragmenty jego niedokończonej „Historii litewskiej". Michał Otorowski interpretuje ją jako poprzedzającą metodę Tolkiena próbę fabularyzacji pradziejów Litwy. Książę chciał jej bowiem użyć jako mitologicznej „nadbudowy" dla postulowanej już po upadku Rzeczypospolitej restytucji Wielkiego Księstwa Litewskiego pod berłem cara Aleksandra. W czasie porozbiorowej katastrofy Czartoryski odrzucał walkę o niepodległość u boku Napoleona, a widząc egzystencjalne zagrożenie ze strony Prus, szukał szans na przetrwanie w federacyjnym układzie z ponadnarodową i wrogą wobec nich Rosją. Tu spotkała go seria rozczarowań, jednak udało mu się wprowadzić sprawę polską na salony kongresu wiedeńskiego, na dekady ustalającego ład polityczny Europy i powołującego do istnienia tzw. Królestwo Kongresowe. To on wyprowadził przegrany naród do obozu pogromców Napoleona, co barwnie opisuje odkurzony esej „Przyjaźń rosyjska" Marcelego Handelsmana.



„Kronos", nr 4/2025, Fundacja Augusta hr. Cieszkowskiego 2025

Czartoryski to więc uosobienie odważnego wizjonera, ale nieprzekraczającego granic zdrady. I tą drogą kroczył pod szyldem Hotelu Lambert, zabiegając o narodową sprawę na europejskich dworach.

Inną pracę wykonał zaś Stanisław Wyspiański, o czym pisze prof. Piotr Nowak w swoim studium o „Weselu". Przypomina, że ten wielki artysta nie tylko na nowo ożywił romantycznego ducha, lecz także zorganizował narodową wyobraźnię, wyznaczył kierunek teatrowi, w którym świat nadprzyrodzony połączył z ziemskimi i polskimi – wtedy uśpionymi – sprawami. A zadanie było jedno – nie rezygnować z narodowej wolności i „nie zadowalać się chocholim transem".

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl d07dcb0daa

Jedenasty raz do tej samej rzeki



MACIEJ WALASZCZYK

Powstaje finałowa seria kultowego „Rancza", a wraz z nią rodzą się obawy widzów. Serial ma się całkowicie różnić od dotychczasowych odcinków i definitywnie domknąć opowieść. Wilkowyje zmieniły się tak, jak zmieniła Polska i my sami



„Ranczo" okazało się jednym z największych fenomenów telewizyjno-społecznych. Rodzą się jednak obawy, że TVP w likwidacji tak przepracuje kultowy serial, że pozbawi go jego pierwotnej autentyczności. Już kiedyś uczyniono to z nieszczęsną „Ławeczką w Unii", wprzęgniętą na usługi unijnej propagandy. Albo że lubianym bohaterom przytrafi się to, co postaciom z filmu „U Pana Boga w Królowym Moście", gdy pełne barw i życia zupełnie wyblakły, a ich temperament ulotnił się w nijakiej fabule. Tym bardziej że zakończenie 10. sezonu już dekadę temu spinało serialową historię wezwaniem „Kochajmy się", wybrzmiewającym w wigilijnym toaście wznoszonym przez ławeczkowiczów. Ale życie toczy się dalej i ktoś uznał, że przedstawienie należy przedłużyć. I po raz 11 wejść do tej samej rzeki.

WIELKI SUKCES KOMERCYJNY

Ostatnia seria kultowej produkcji pojawiła się na antenie w listopadzie 2016 r. i tak jak poprzedniczki notowała rekordy oglądalności, przynosząc publicznemu nadawcy spore zyski. Już jej pierwsze odcinki, wyemitowane w 2006 r., gromadziły średnio ponad 4,5-mln widownię, a emisje kolejnych sezonów miażdżyły konkurencję, zwiększając oglądalność do 7–8 mln widzów. Np. premierowy odcinek czwartej serii obejrzało prawie 10 mln osób.

Prace nad ostatnim, 11. sezonem kultowego serialu już ruszyły. Za kamerą ponownie stanie Wojciech Adamczyk, a scenariusz sześciu finałowych odcinków został napisany na podstawie pomysłów pozostawionych przez zmarłego w 2018 r. Andrzeja Grembowicza. Reżyser ujawnił, że film nie będzie prostą kontynuacją poprzednika, ale nostalgiczną codą, mającą definitywne domknąć wszystkie dotychczasowe wątki. Reżyser nie pozostawił też złudzeń – to już całkiem inny serial. „W poprzednich sezonach było tak, że każdy kolejny był kontynuacją wydarzeń z poprzedniego. W sezonie 11. wyraźnie zaznaczymy, że od poprzedniego minęło 10 lat. W życiu bohaterów wiele się w tym czasie zmieniło, dzieci podorastały. Córka Lucy i Kusego jest już po maturze, nie będzie już Marianka Solejuka" – wyjaśniał w rozmowie z portalem TVP. Brak choćby tej ostatniej postaci jest wymowny.

OBAWY WIDZÓW

Na ujawnionych fotografiach z pierwszego wspólnego czytania scenariusza obecna jest tylko część znanej obsady. Na ekranie na pewno pojawią się: Ilona Ostrowska, Cezary Żak, Artur Barciś, Piotr Pręgowski, Bartłomiej Kasprzykowski, Marta Lipińska, Arkadiusz Nader, Violeta Arlak czy Katarzyna Żak. Na zdjęciach z planu widać też nowych aktorów, m.in. Karolinę Ludwiniak, która wcieli się właśnie w rolę dorastającej córki oraz znany z serialu „Na Wspólnej" Maciej Marcin Tomaszewski.

Widzowie obawiają się rozczarowania, tym bardziej że już kontynuacje poprzednich sezonów odmieniały pierwotne oblicze filmu, skupiając się np. na

Fot. Cezary Żak/facebook

eprasa.pl d07dcb0daa

karierze politycznej wójta i jego otoczenia. Przede wszystkim w 2020 r. zmarł Paweł Królikowski, a dwa lata później Franciszek Pieczka. Pojawiają się przypuszczenia, że rola Kusego trafi w ręce innego aktora. Poza tym tamtego wiejskiego świata ukazanego w filmie już nie ma. Polska prowincja, owa „europejska wieś", do której miały prowadzić mityczne europejskie fundusze, zieje coraz większą pustką. Zamieszkujący ją ludzie przypominają tych, którzy egzystują w miastach lub się tam po prostu wyprowadzają za lepszym życiem. Trudniej też spotkać „ławeczki" (bo mandaty za spożywanie i monitoring), a satyrycznie zakrzywiona rzeczywistość sprzed 15–20 lat zdaje się wspomnieniem. Może poza kulturowym i politycznym konfliktem, który bez końca trawi demokratyczną politykę i niezmiennymi ludzkimi charakterami.

SATYRYCZNY PORTRET PROWINCJI

Serial mówił bowiem wiele o Polakach, a ci mogli się w nim przejrzeć, widząc w nim zniekształcone odbicie samych siebie. Głównie ci, którzy mieszkają poza wielkimi miastami. Paradoksalnie film ujawniał też, jak widzi ich wielkomiejski i anonimowy tłum, aspirujący do roli nowoczesnego mieszczaństwa. Twórcy umieścili więc akcję w optymistycznej (obietnica lepszego życia w UE), choć czasem komplikującej się, rzeczywistości politycznej i społecznej. Do tego na Mazowszu, głównie w pejzażu urodziwego Jeruzala i innych miejscowości regionu. A fabułę zapełniono mocno karykaturalnymi postaciami, od pierwszego odcinka odgrywającymi pełne groteski, z życia wzięte sceny, które wywoływały śmiech, politowanie lub wzruszenie.

Ktoś ciekawie zauważył, że jeśli w 2015 r. PiS dobrze zrozumiało film i odmalowany w nim portret zbiorowy polskiej prowincji, to nie znała, a już na pewno nie rozumiała go PO i oderwane od rzeczywistości snobistyczne elity. I o ile dzisiejszy Donald Tusk musiał nadrobić zaległości, o tyle na pewno nie zrobił tego np. Rafał Trzaskowski i jemu podobni. Ten ironiczny, ale realistyczny obraz wiejskiej społeczności został zbudowany na zderzeniu przeciwstawnych charakterów, np. braci proboszcza i wójta, oraz odległych od siebie wzorców kulturowych – miejskiej nowoczesności z tradycyjną polską wsią. Ukazywał przemiany obyczajowe, forsując też feminizujące wzorce dla kobiet, alkoholizm czy zmiany w Kościele. Zachęcał też do refleksji na temat moralnych wyborów czy politycznych przekonań.

OD WÓJTA DO PLEBANA

Przez większość odcinków centralną postacią serialu była Lucy Wilska (Ilona Ostrowska) – nowoczesna Amerykanka polskiego pochodzenia, która dziedziczy stary dworek. To ona, powracając na wieś, sprowadza ze sobą również ducha „nowoczesnego" zamieszania. W pewnym momencie została nawet wójtem gminy, by w końcu wrócić do Nowego Jorku, a w ostatnim odcinku pojawić się ponownie. Czy pozostanie? To wielkie pytanie, bo dla kontrastu jej serialowym mężem został Kusy, czyli Jakub Sokołowski, w którego niezapomnianą i – zdaniem widzów – życiową rolę wcielał się Paweł Królikowski. Właściwie trudno wyobrazić sobie film bez jego udziału.

Inną główną postacią jest Paweł Kozioł. To autokratyczny wójt Wilkowyj, a zarazem brat dobrodusznego i naiwnego proboszcza (w obu rolach Cezary Żak). Duchowny jest przeciwieństwem skonfliktowanego z nim bliźniaka, bo wójt, a potem senator Kozioł jest powszechnie znany z miłości do władzy i przekrętów. O ile kiedyś zdawało się, że to przerysowana grubą krechą karykatura, o tyle dziś widać, że to wcale nieprzesadzony portret przeciętnego samorządowca.

W umacnianiu pozycji politycznej wspomaga go Arkadiusz Czerepach (Artur Barciś), inny lokalny cwaniak, a zarazem nikczemny kontroler Izby Obrachunkowej. Kontrolowanie idzie mu tym łatwiej, że sam uczestniczył we wszystkich nadużyciach. W pewnym momencie przejmie nawet lokalną gazetę, by przekształcić ją w agresywny tabloid. Jego żoną jest Lodzia z domu Paciorek, kobieta o temperamencie księgowej i takim samym stanowisku w urzędzie gminy.

Galerię postaci uzupełniają m.in. Więcławski (Grzegorz Wons), a więc nie zawsze działający z literą prawa biznesmen, który wygrywa wszystkie przetargi w gminie, albo Michałowa Japyczowa, która pracuje na plebani. To zarazem świetna kucharka i kobieta zawsze dobrze poinformowana, a przede wszystkim poukładana z kim trzeba. To ona postara się rozbudzić w proboszczu ambicje pójścia „trochę wyżej", by ten w końcu objął stanowisko biskupa pomocniczego. Jej powiedzonka są pełne socjologicznej prawdy, np. gdy mówi, że „na wsi to taki antyklerykalizm jak i proboszcz, bo jak proboszcz dobry, to żadnego antyklerykalizmu nie ma".

„ŁAWECZKA" NARODOWEJ ZGODY

No i oczywiście instytucja wiejskiej „ławeczki" – ostatniego bastionu „narodowej zgody". Miejsce rozmów pijaków-myślicieli jest jednym z centralnych punktów Wilkowyj. Jej bywalcy – „Zakon Rycerzy Mamrota", a więc lokalnego taniego wina – to Pietrek (Piotr Pręgowski), Solejuk (Sylwester Maciejewski), Hadziuk (Bogdan Kalus), a przez pierwsze sezony także bracia Japycz, grani przez nieżyjących już Leona Niemczyka i Franciszka Pieczkę. Któregoś dnia pojawiającego się we wsi Chińczyka biorą za alkoholowy omam, a innego razu, poróżniwszy się ze sklepową, otwierają własny ogródek piwny.

To właśnie „ławeczka" została wykorzystana propagandowo na dziesięciolecie członkostwa w UE, gdy za środki unijne przygotowano miniserial pt. „Ławeczka w Unii". Miejsce to staje się też dziwnym symbolem postępu, gdy w ostatnim odcinku Hadziuk wraz z kolegami wypuszcza wigilijnego karpia do pobliskiego jeziora.

Format serialu stał się także kanwą filmu fabularnego, dwóch spektakli teatralnych, został też sprzedany do Estonii. Tamtejszy Kanal 2 emitował stworzony na licencji „Rancza" serial „Naabriplika" („Sąsiadka"). Tamtejsi bracia Kozioł nie są bliźniakami, w protestanckiej Estonii ksiądz jest pastorem, a „ławeczka" przesiaduje na przystanku autobusowym. Ta rzeczywistość jest zrozumiała tylko w naszej części Europy.

eprasa.pl d07dcb0daa





HITY i KITY ZAREMBY

Świat Brzechwy, świat absurdu

„Kanato" to tajemnicze miasto pełne poezji, do którego zaprasza Jan Brzechwa. To również tytuł spektaklu Teatru Telewizji pokazanego w Dzień Dziecka. Najbardziej zaciekawiło mnie, czy ten autor nadal może być panem dziecięcej wyobraźni. No i fenomen wiecznie młodej Anny Seniuk

Jan Brzechwa na pewno był – naturalnie do pewnego momentu każdego życia – panem wyobraźni mojego pokolenia. I wielu innych. Kiedy słuchałem teraz „Kaczki dziwaczki", „Na wyspach Bergamutach" czy „Żurawia i czapli", mówionych z ekranu, aż się zdziwiłem, jak bardzo jestem przesiąknięty poszczególnymi frazami, powiedzonkami, konstrukcjami słownymi.

On wiódł mnie drogą absurdów i paradoksów (nieszczęsna Dziwaczka, upieczona na obiad i objawiająca się jako zając – to przecież okrutne), kreował własne światy, czasem niemal serio. Dopiero potem się dowiedziałem, że w dawnych czasach opiewał Stalina. Jego dłuższy poemat „Szelmostwa lisa Witalisa" to w istocie hymn na cześć spółdzielni produkcyjnych, ale to też zauważyłem później. Skądinąd w nim także jest okrutny – satysfakcja z powodu ostrzyżenia lisiego ogona przez oszukane zwierzęta to w istocie pochwała odwetu.

W „Kanato" go nie było. Magdalena Małecka-Wippich złożyła w całość 21 wierszy Brzechwy. Najbardziej zaskoczyła mnie piracka opowieść Mnicha Brandona – wyróżniała się trochę inną, niemal niesamowitą stylistyką, nie znałem tego. Choć wydała mi się niedokończona.

Adaptatorka i reżyserka, szukając połączenia tych utworów, wykreowała śladową historyjkę o teatralnej czy może nawet cyrkowej trupie, popisującej się trochę w stylu obrazków mistrza Federica Felliniego. Jej członkowie aranżują poszczególne przypowiastki, w różnej tonacji, pośród cyrkowych dekoracji Maksa Maca. Czy przekonała mnie ta formuła całości? Bardziej spójna i sugestywna wydaje mi się aranżacja „Pchły szachrajki" dokonana w Teatrze Narodowym, a potem w Teatrze Telewizji przez Annę Seniuk, notabene mamę reżyserki. Ale tamto to jedna opowieść, tu – składanka.

No i jeśli podsuwamy skojarzenia z Fellinim, przydałby się także jego muzyk, Nino Rota. Muzyka Alberta Stensena wydała mi się zbyt anemiczna, za mało absurdalna jak na te teksty. „Pchłę szachrajkę" opatrzył dużo sugestywniejszym tłem muzycznym Maciej Małecki, były mąż Anny Seniuk.

Ale oczywiście jak się słucha i patrzy na m.in. Olgę Sarzyńską, Marcina Przybylskiego, Milenę Suszyńską, Barbarę Garstkę, Marcina Bubółkę czy Pawła Paprockiego, ma się wrażenie, że dzieci próbują obsługiwać najlepsi, mistrzowie małych i cokolwiek groteskowych form. Anna Seniuk powiedziała w *postscriptum* po spektaklu, że adaptatorka i reżyserka, a także oni, aktorzy, chcieli, by dosłowność została zastąpiona przez grę wyobraźni, na której zresztą opiera się znaczna część teatru.

Wiesław Komasa, grający przeuroczego Brzechwę, mówił coś o oderwaniu dzieci od smartfonów. Pytanie, czy to jeszcze możliwe. Ich świat – cyfrowy, nie analogowy – opiera się na czymś innym. W jego zgiełkliwym, kompletnie odmiennym od brzechwowego przerysowaniu bardzo poetycka Krowa, która chciała, a nawet umiała latać, mieści się słabo.

No i na koniec Anna Seniuk, szefowa trupy, ale grająca też wiele postaci, nawet nanoszącego błoto do zamku Króla z wąsami. Przybierająca postać figur bardzo wiekowych, a jednak w antraktach zdumiewająco młodzieńcza (ma 83 lata). Ona jak Brzechwa towarzyszy mi od zawsze, po raz pierwszy widziałem ją na początku lat 70. w serialu przygodowym „Czarne chmury". Mistrzyni transformacji, a mimo to czuła, serdeczna, empatyczna wobec swoich bohaterek. Tu była bardzo na swoim miejscu.

Piotr Zaremba

Fot. TVP

Kampania, czyli wojna

Alex Isenstadt, reporter amerykańskiego portalu Axios, a wcześniej Politico, napisał reportaż o ostatniej kampanii Donalda Trumpa. „Zemstę" czyta się świetnie. To opowieść krwista, a przecież wyważona

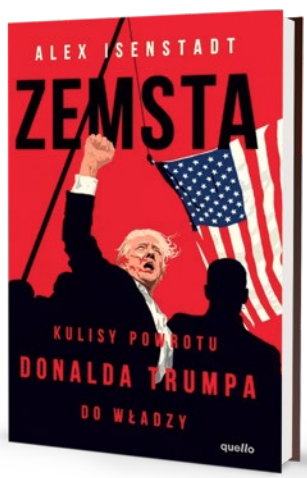
Wyważona, bo autor nie podważa politycznych celów Trumpa ani go nie demonizuje jako „zagrożenia dla demokracji". Powściągliwie traktuje także jego konkurentów, czyli demokratów. Oczywiście plastycznie zarysowany charakter Trumpa jawi się jako koszmarny. To narcyz żądający od otoczenia bezwzględnego posłuszeństwa.

Sam tytuł pokazuje, czemu służy Trumpowi powrót do polityki: odwetowi na demokratach, na liberalnych elitach, nawet na tych republikanach, którzy po 2020 r. nie dochowali mu wierności. Wątek niszczenia ludzi lub naginania ich do swojej woli powraca wielokrotnie. Także w smacznych anegdotach: o zwycięskiej wojnie z republikańskim gubernatorem Florydy Ronem DeSantisem czy o zmaganiach z konserwatywnym magnatem prasowym Rupertem Murdochem.

Ale sam portret ludzki jest bardziej złożony. Chwilami Trump jest przedstawiany wręcz z fascynacją, jako wojownik, uparcie dążący do celu. To insiderska podróż przez kampanię wyborczą, możliwa do ponownego odbycia dzięki setkom rozmów z aktorami zdarzeń.

Dostajemy portreciki „kucharzy", ludzi dłubiących w kampanii, sztabowców, takich jak Chris LaCivita czy Susie Wiles. Ta ostatnia, dziś szefowa personelu Białego Domu, to jedna z niewielu osób, które umieją oprzeć się Trumpowi. Są też postaci karykaturalne, choćby patologicznie zakochana w Trumpie Natalie Harp.

Dla mnie, historyka, USA to ciekawy obraz politycznej przemiany. Kiedy fanatyczna pani Harp informuje republikańskiego spikera Izby Reprezentantów Mike'a Johnsona, że któryś z jego asystentów żywi antytrumpowskie przekonania, dostajemy nowy obraz. Amerykańska polityka zawsze była zdecentralizowana, bazująca na podziałach, także wewnątrzpartyjnych. Dziś to starcie dwóch maszyn, coraz bardziej zwartych wewnętrznie, nietolerujących sprzeciwu. Jej nieprzypadkowym produktem jest sam Trump.



Fot. Materiały prasowe

DOKTOR BEGER, CZYLI MACZYZM POKONANY

Finał sezonu serialu „Na dobre i i na złe" w TVP2 wzbudził we mnie mieszane uczucia. Odkrywam w nim podobną, z lekka feministyczną pedagogikę, jaką zauważyłem w „M jak miłość" czy w „Barwach szczęścia". Ale są także odstępstwa od stereotypów

Te seriale wciąż są na tyle popularne, że mają w necie własne grupy fanów. Są oni bombardowani rewelacjami o tym, co będzie dalej, także przez „Świat seriali" czy „Super Express". Dość często są to zapowiedzi mylące, jak streszczenie finału „M jak miłość", kiedy zapowiedziano, że ktoś kogoś postrzeli, tyle że nie zgadzały się personalia sprawcy.

Ale kiedy jedno z tych internetowych mediów ogłosiło, że w ostatnim odcinku „Na dobre i na złe" dyrektor szpitala Maks Beger na powrót zejdzie się z młodą lekarką Glorią Krasucką, pomyślałem: „No, tu pomylić się nie mogą". To dwie kluczowe postaci, przypomnę: tasiemca medycznego, który trwa od 1999 r. Komfort szpitalnej obsługi dalej poraża naiwnym luksusem, zarazem przypowieści z życia i lekarzy, i pacjentów bywają przekonujące, czasem wzruszają.

Pisałem tu już o Begerze, fenomenie kilku ostatnich lat – także dzięki talentowi aktora Tomasza Ciachorowskiego, który rewelacyjnie oddaje jego charyzmę. To archetyp złego faceta: molestował stażystki, terroryzował pielęgniarki, jest kardiologiem geniuszem, ale ma kompleks boga. Dzięki intrydze przejął dyrekcję szpitala, choć potem dzielnie ratował go przed prywatyzacją. Jego romans z Glorią, którą uczył zawodu, był burzliwy. Bo ona kochała jego, ale nie kochała jego charakteru.

Jak na takie seriale to postać wyjątkowo niejednoznaczna. Ostatnio trochę rehabilitowany przez scenarzystów, a jednak wciąż doświadczany – jako symbol maczyzmu. I tu szerszy rzut oka na pedagogikę serialu. A to jakiś profesor molestuje w nim młode lekarki, a to powtarza się schemat pacjentki terroryzowanej przez złego męża, którą lekarze muszą przed nim ratować. Oczywiście nie był to jedyny generator konfliktów. Ale nieprzypadkowo ta seria kończy się dramatem pani doktor zgwałconej przez kolegę z pracy. Widać, że przestrogi przed złymi facetami to przesłanie szczególne.

W przypadku Begera armia scenarzystów skazała go na istną mękę. Po raz drugi porzucony przez Glorię musiał z ich woli szukać ratunku u psycholożki, którą kiedyś wyrzucił ze szpitala, bo pisała o nim niekorzystne raporty (w tej roli nieoceniona Paulina Gałązka). To wyjątkowe upokorzenie. A teraz wrócił po terapii w... klasztorze. Odmieniony, naprawiony, pokorny. I Gloria, załamana po śmierci młodego pacjenta, dała mu szansę. Pocałunek w deszczu był naprawdę romantyczny.

Ten skruszony Beger wydał mi się wręcz wykastrowany. Takie wrażenie jest narzędziem wychowywania każdego faceta, który zawędruje przed telewizor. A zarazem w całej tej historii, także w przemianie Begera – podejrzanie gwałtownej, choć wcześniej jakoś przekonującej – jest coś romantycznego.

Murawa usiana „zielonymi”

Witamy w rzeczywistości, w której piłkarski romantyzm został ostatecznie zmielony przez korporacyjne tryby, a sportowe święto zamieniło się w transatlantycki kongres ekonomiczny pod patronatem bezwzględnego kapitału. Wszyscy to wiemy. A jednak wcale nas nie cieszy to, że Biało-Czerwoni nie uczestniczą w tym bezdusznym festiwalu próżności. Bo wolelibyśmy odczuwać pustkę w portfelu niż w sercu



MICHAŁ MUZYCZUK

Brak polskiej reprezentacji na mundialu boli tym bardziej, że na północnoamerykańskich boiskach zaprezentuje się rekordowa liczba zespołów. W dobie galopującej globalnej inflacji FIFA postanowiła zafundować nam inflację prestiżu – uczestnictwo w mundialu przestało być poważnym osiągnięciem, skoro gra w nim jedna czwarta świata. Curaçao? Obecne. Republika Zielonego Przylądka? Zagra. Jordania? Załapała się. Haiti? A jakże. Polska? Ups...

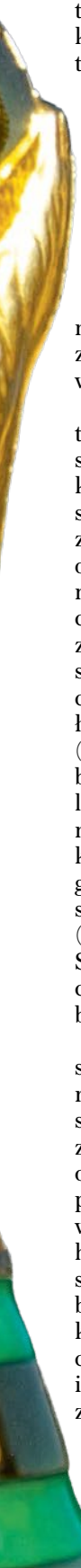
Dla polskiego kibica pierwszy gwizdek rozpoczynający mistrzostwa świata zabrzmi jak żałobny tren. A co ma powiedzieć Robert Lewandowski, dla którego ten turniej miał być idealnym ukoronowaniem fenomenalnej kariery? Tymczasem napastnik musi pogodzić się z faktem, że do gabloty wypełnionej klubowymi trofeami oraz indywidualnymi wyróżnieniami nie uda mu się dodać żadnych poważnych osiągnięć reprezentacyjnych.

IDEA, KTÓRA STAŁA SIĘ KARYKATURĄ

Kiedy 11 czerwca 2026 r. na Estadio Azteca w mieście Meksyk reprezentacja gospodarzy wybiegnie na mecz otwarcia przeciwko RPA, rozpocznie się spektakl bez precedensu w dziejach nowożytnego sportu. Gianni Infantino zrealizował swoje wielkie marzenie o globalnym imperium: 48 drużyn, 12 grup, 104 mecze, faza pucharowa od jednej szesnastej finału. W komunikatach FIFA czytamy o „demokratyzacji futbolu” i otwarciu na nowe rynki. W języku finansjery oznacza to jednak bezwzględny drenaż kieszeni kibiców oraz maksymalizację zysków z praw telewizyjnych. Wszystko to dzieje się w cieniu Białego Domu, gdzie Donald Trump redefiniuje amerykańską doktrynę izolacjonizmu. Ironia polega na tym, że prezydent, który najchętniej otoczyłby Amerykę cłami zaporowymi i betonowym murem, teraz musi szeroko otworzyć drzwi dla obywateli całego świata i udawać zachwyt nad wielonarodową integracją. Czysty, bezwzględny biznes wygrał z politycznym protekcjonizmem, ale ten mariaż sportu i drapieżnego kapitalizmu ma swoją bardzo konkretną, wygórowaną cenę. Na zielonej murawie – bez względu na to, czy mecz toczy się w cieniu kanadyjskich lasów, czy meksykańskich wulkanów – zasady wciąż będą dyktować ci sami oligarchowie, a kibic z Europy szybko zrozumie, że w Ameryce Północnej fan jest tylko jednostką rozliczeniową. W tej sytuacji widać mocną nić porozumie-

eprasa.pl d07dcb0daa

nia łączącą Trumpa z Infantino, wszak ten drugi nie bez powodu uhonorował tego pierwszego bezprecedensową Pokojową Nagrodą FIFA. Jaki kapitalizm, taki Nobel.



WYJŚCIE NA MECZ = BANKRUCTWO

Tegoroczne mistrzostwa przejdą do historii jako najdroższa impreza sportowa w dziejach ludzkości, a mundial w Katarze sprzed czterech lat wygląda przy nich jak budżetowe wczasy pracownicze. FIFA postanowiła wyciągnąć z amerykańskiego modelu sportowego to, co jej się najbardziej opłaca.

Oficjalny system sprzedaży biletów bazujący na „dynamic pricing" stał się dla kibiców prawdziwym koszmarem. Wartości wejściówek szybują w górę wraz ze wzrostem zainteresowania danym meczem oraz spadkiem dostępności wolnych miejsc. Ceny biletu dla ogółu społeczeństwa na mecze fazy grupowej zaczynają się od 120 dol. za najgorsze miejsca trzeciej kategorii. Jeśli chcesz zobaczyć spotkanie z udziałem reprezentacji gospodarzy (USA, Meksyku lub Kanady), cena biletu wynosi 1,5–2,7 tys. dol. To zaledwie przedsmak, bo prawdziwy finansowy absurd zostawiono na sam koniec. Wejściówka pierwszej kategorii na wielki finał, który odbędzie się na New York/New Jersey Stadium (znanym powszechnie jako MetLife Stadium), to koszt 6,7–7,8 tys. dol. To cztery razy drożej niż za analogiczny bilet na finał w Katarze!

Po fali potężnej krytyki i oficjalnych skargach ze strony europejskich stowarzyszeń kibiców FIFA zrzuciła z pańskiego stołu ograniczoną pulę biletów z kategorii Supporter Tier za 60 dol., są one jednak dystrybuowane wyłącznie przez narodowe federacje wśród najwierniejszych fanów z udokumentowaną historią wyjazdową. Co więcej, po drugiej stronie Atlantyku legalna jest odsprzedaż biletów za wyższą cenę – nikt nie ściga koników hasających pod stadionami czy oferujących wejściówki na aukcjach internetowych. W związku z tym FIFA założyła własny portal odsprzedażowy, a od każdej transakcji pobiera 15 proc. opłaty manipulacyjnej – zarówno od kupującego, jak i sprzedającego. W Europie „wszechfederacja" ściga taki proceder, za oceanem na nim zarabia.

Powyższe okoliczności doprowadziły do tego, że w sieci można znaleźć oferty biletu na finał za ponad 1 mln dol.! Ta niezbyt zdrowa sytuacja wprawiła rzecz jasna w osłupienie amerykańskich, kanadyjskich i meksykańskich fanów soccera, którzy żyli w przekonaniu, że bez większego problemu będą mogli zobaczyć najlepszych piłkarzy na świecie w akcji. Myśleli, że kupując bilety z pierwszej puli, będą mieli możliwość wylosowania najlepszych miejscówek. Zaskoczyło ich jednak to, że światowa federacja utworzyła nową kategorię biletów (Front Category) już po zakończeniu pierwszej fazy sprzedaży. To właśnie zarzut wprowadzania kibiców w błąd jest głównym motywatorem prokuratorów z Nowego Jorku i New Jersey, którzy postanowili prześwietlić legalność zarobkowych poczynań futbolowego molocha.

> Głównym faworytem jest Hiszpania, która pod wodzą Luisa de la Fuente prezentuje futbol zabójczo płynny i nowoczesny, pozbawiony jałowej „klepanki". Siłę rażenia La Furia Roja napędzają młodzi zawodnicy Barcelony z Laminem Yamalem i Pedrim na czele

Sama wejściówka na stadion to jednak dopiero początek finansowego drenażu. Prawdziwą żyłą złota okazała się parkingowa rekieterka, bo FIFA zajęła się również sprzedażą miejsc postojowych dla aut. W USA, kraju całkowicie uzależnionym od infrastruktury samochodowej, ich ceny osiągnęły poziom czystej groteski. Na SoFi Stadium w Los Angeles oficjalny koszt miejsca parkingowego na jeden mecz wynosi 250–300 dol. To kwota wyższa niż cena wejściówki trzeciej kategorii na sam mecz! Przeciętnie na miejsce postojowe trzeba wydać co najmniej 100 dol.

Gdy dodamy do tego hotele, których ceny w miastach gospodarzach wzrosły o ponad 300 proc. natychmiast po losowaniu grup w grudniu 2025 r., realny budżet przeciętnego kibica na jednodniowy wyjazd na mecz fazy grupowej wynosi dziś od 1 tys. dol. wzwyż.

Na razie zarzuty o finansowe rozbójnictwo nie robią na Infantino i jego świcie wielkiego wrażenia – zanim zapadną jakiekolwiek rozstrzygnięcia, przewidywane 13,9 mld dol. przychodów FIFA będzie już dla księgowych organizacji zaledwie mglistym wspomnieniem. Ponad 1 mld pójdzie na premie i nagrody dla uczestników turnieju (zwycięska reprezentacja zainkasuje rekordowe 50 mln dol.), natomiast pozostałe miliardy zostaną spożytkowane – a jakże – na popularyzację futbolu.

DALECY SĄSIEDZI

16 miast leżących w 3 państwach rozciągniętych na dystansie 5 tys. km – profity z pewnością się zgadzają, ale taki format generuje mordercze wyzwania logistyczne. Odległości między stadionami są porażające, na szczęście podróże będą odbywały się przede wszystkim z południa na północ, więc jet-lag nie stanie się kluczowym elementem analiz sztabów szkoleniowych. Ale przemieszczanie się o tysiące kilometrów co kilka dni w warunkach ciągłych zmian ciśnienia, wszechobecnej amerykańskiej klimatyzacji i drastycznych skoków temperatur (od tropikalnego, duszącego powietrza w meksykańskim Monterrey po chłodne powiewy w kanadyjskim Vancouver) zmieni turniej w poligon przetrwania.

Jeszcze niedawno USA, Kanada i Meksyk tworzyły modelowy związek, któremu niestraszne wydawały się geopolityczne przetasowania. Ale pojawił się człowiek, który sprawił, że ów nierozerwalny sojusz przechodzi obecnie

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d07dcb0daa

najcięższą próbę polityczną. Donald Trump buduje swoją wewnętrzną popularność na agresywnej retoryce uszczelniania granic, twardych cłach zaporowych i izolacjonizmie gospodarczym. Tymczasem jego administracja jest zmuszona, by sprawnie i bez zbędnych pytań obsłużyć miliony zagranicznych gości. Na czas turnieju wymogi wizowe zostały przypudrowane papierowymi ułatwieniami, jednak pod dyplomatycznym dywanem kipi od napięć. Ciężko, by przywódcy Kanady i Meksyku nagle zapomnieli o niecodziennych pomysłach amerykańskiego prezydenta. Na czoło wysuwają się oczywiście groźba uczynienia z Kanady 51. stanu USA oraz wybudowanie „wielkiego, pięknego muru" na granicy z Meksykiem. Prawdziwą dyplomatyczną bombą zegarową jest jednak obecność na mundialu reprezentacji Iranu. Ślepy los okazał się nieco złośliwy, wyznaczając SoFi Stadium w Los Angeles jako arenę inauguracyjnego meczu Irańczyków przeciwko Nowej Zelandii. Kalifornia, a w szczególności metropolia Los Angeles, to dom dla największej irańskiej diaspory poza granicami Bliskiego Wschodu, potocznie nazywanej „Tehrangeles". Ten mecz nie będzie zwykłym widowiskiem sportowym – to gotowy scenariusz na polityczny thriller o podwyższonym ryzyku.

JEST JESZCZE FUTBOL

Skoro kadra nie dała nam szansy, aby roztrwonić dorobek życia w poszukiwaniu wrażeń w Teksasie, Quebecu czy Jalisco, na kogo warto spoglądać podczas trwania turnieju? Czy na wiecznie fantazyjnie grające i nonszalancko przegrywające reprezentacje afrykańskie, technicznie niedoścignione i mentalnie elektryzujące zespoły latynoamerykańskie, taktycznie ułożone i boleśnie zawodzące kadry azjatyckie czy na mistrzowskich debiutantów z państw naprawdę niewielkich, kolorowych i egzotycznych. Wszak to niezmienne kibicowskie marzenie – niechaj maluczki zawstydzi faworyta. Może Irak zaskoczy Francuzów skutecznym kontratakiem, a Uzbekistan nie pozwoli rozwinąć skrzydeł Portugalczykom? Pomarzyć zawsze można...

Faworyci w walce o najwyższy laur i wieczną chwałę są dobrze znani. Na szczycie hierarchii stoi nienaruszalny kartel piłkarskich potęg, a ich potencjał potwierdzają bukmacherskie typy. Głównym faworytem jest Hiszpania, która pod wodzą Luisa de la Fuente prezentuje futbol zabójczo płynny i nowoczesny, pozbawiony jałowej „klepanki". Siłę rażenia La Furia Roja napędzają młodzi zawodnicy FC Barcelony z Laminem Yamalem i Pedrim na czele. Wielu twierdzi, że większe szanse na końcowy triumf ma Francja, której skład przyprawia o zawrót głowy. Niedawny triumf PSG w finale Ligi Mistrzów tylko potwierdził, że Didier Deschamps dysponuje piekielnie zdolnym kolektywem. Ousmane Dembélé i Désiré Doué wspomagani przez Michaela Olise'a powinni spędzić za oceanem grubo ponad miesiąc, bo tyle potrwa cały mundial. Wysoko są typowani Anglicy, ale wydaje się, że to ocena nieco na wyrost. O ile z przodu faktycznie są niezwykle groźni, bo Harry Kane pozostaje najlepszym napastnikiem na świecie, to w defensywie nie jest już tak dobrze. Bardzo zbalansowanym składem mogą się za to poszczycić Portugalczycy, gdzie w środku pola rządzą Vitinha i João Neves z PSG wespół z fenomenalnym Brunem Fernandesem z Manchesteru United. A z przodu wciąż biega Cristiano Ronaldo, który udaje, że 41 lat to żaden wiek. Jego największy rywal w karierze, Leo Messi, będzie bronił tytułu mistrza świata z Argentyną, ale akurat tym razem ciężko znaleźć powód, dla którego Albicelestes mieliby okazać się lepsi od Europejczyków. Podobnie jest z Brazylią, chociaż objęcie sterów kadry przez niezawodnego Carla Ancelottiego zaostrzyło apetyty fanów joga bonito. Szczególnie że do pary mocarnych skrzydłowych z La Ligi, Raphinhiego i Viniciusa Juniora, dołączy tyleż legendarny, co niespełniony Neymar.



Fot. Shutterstock

Współczesny świat gwałtownie przesuwa się w stronę wielobiegunowości, szukając nowego balansu sił. Ale na zielonej murawie, bez względu na polityczne deklaracje czy miejsce rozgrywania spotkań, zasady gry wciąż bezlitośnie dyktować będą ci sami starzy zachodni oligarchowie.

Jeśli po tytuł sięgnie jakakolwiek drużyna spoza wymienionej szóstki, będziemy mogli mówić o sensacji. W Afryce liczy się na pokaz siły ze strony Maroka, na Dalekim Wschodzie marzą o dobrym występie Japonii, Arabowie wierzą w możliwości kadry Kataru, a przecież nie można zapominać o Belgach, Holendrach czy Norwegach. Ci ostatni trafili w grupie na Francuzów i wcale nie jest powiedziane, że Erling Haaland, najlepszy snajper europejskich kwalifikacji, nie znajdzie sposobu na zasieki Les Bleus.

Tak oto koło sportowej historii zatacza pełny, ironiczny krąg. Gra, która rodziła się w gęstym błocie robotniczych dzielnic XIX-wiecznej Anglii jako autentyczna rozrywka dla mas, w 2026 r. staje się ostatecznym produktem późnego, drapieżnego kapitalizmu, realizowanym na luksusowych amerykańskich arenach komercyjnej rozrywki. Choć FIFA pod wodzą Infantino usilnie próbuje nam wmówić za pomocą ckliwych haseł, że rozrośnięty format to wielkie święto globalnej inkluzywności i futbolowej demokracji, prawda jest nieco inna. To zbijanie wielkiego kapitału na emocjach najwierniejszych fanów.

A nam, pozbawionym narodowych uniesień i dumy z Orłów Urbana, pozostaje po cichu zazdrościć innym, że potrafili wywalczyć bilet wstępu do tego transatlantyckiego Disneylandu. Bo gdy sędzia zagwiżdże po raz pierwszy, brutalna geopolityka i krwiożerczy kapitalizm zejdą na dalszy plan. Znów z własnej woli damy się oszukać, że w tym wszystkim chodzi tylko o kawałek skóry wpadający do siatki. I po raz kolejny powtórzymy powiedzonko Kazimierza Górskiego, pozostającego niedoścignionym wzorem dla selekcjonerów polskiej kadry i symbolem jej największych triumfów: „Dopóki piłka w grze, wszystko jest możliwe".

Reklama | 01/0126/F/ZAL

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.



Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

ALEKSANDRA I GRZEGORZ KOPROWIE*

Cuda niewidy czekają



Dąb Józef



Cmentarz wojenny nr 60 (Małastów)



Most Jana Stacha



Ona – historyczka sztuki, on – pełen pasji, niestrudzony towarzysz nieoczywistych wędrówek, twórcy profilu @byliwidzieli. Mówią o sobie, że są opowiadaczami historii, którzy chcą inspirować do odkrywania niezwykłych zakątków Polski. Właśnie ukazała się ich książka „ Cuda niewidy. Alternatywne wędrówki po Polsce" (Wyd. Znak).

Zachęcają: „Jeżeli odwiedziliście największe atrakcje turystyczne w Polsce, ale czujecie pewien niedosyt, to ta książka jest pewnie dla was. Kierujemy ją do tych podróżników i miłośników historii, którzy szukają miejsc i zabytków poza utartymi szlakami: osobliwych, tajemniczych, zapomnianych, magicznych, zaskakujących i nieodkrytych. Zdarza się bowiem, że leżący przy drodze kamień skrywa mroczny sekret, a w niepozornym drewnianym kościółku czeka na was prawdziwy skarb sprzed wieków. I choć część z opisanych miejsc i obiektów możecie już znać, to mamy nadzieję, że odkryjecie razem z nami nowe, ciekawe wątki w ich historii".

Lokalizacji opisanych w książce jest blisko sto. Kolejne rozdziały są budowane wokół konkretnego motywu (od opowieści z dreszczykiem – latarni umarłych, otworów do piekła czy luster czarnoksiężnika – po wyławiane z tła wielkie, stateczne i od wieków na widoku punkty orientacyjne). Pomiędzy nimi plasują się m.in. budowle z pogmatwaną i często dosłownie zrujnowaną przeszłością, obszary o zatartym przez czas dziedzictwie i dawnej tożsamości, zaskakujące monumenty i posągi (skąd w Polsce faraon?); nieoczywiste wnętrza, ukryte we współczesnej zabudowie ślady np. hańby i kary, a także (zaznaczane drzewami lub wielkimi głazami) miejsca pamięci czy dawnego kultu.

Opisywane obiekty różnią się usytuowaniem, wielkością i czasem potrzebnym do ich zwiedzania. Niektóre można potraktować jako ciekawostki i uwzględnić je w czasie wędrówek „przy okazji". Inne mogą stanowić cel sam w sobie. Najważniejsze jednak jest to, by ruszyć w drogę. Bo tylko wtedy można zejść z utartych szlaków i odkryć coś zupełnie nowego lub odkryć coś na nowo. Blisko lub trochę dalej. Tu i teraz, a także zagłębiając się w meandry przeszłości. Aleksandra i Grzegorz Koprowie już to wiedzą: ciekawość świata nie zna ograniczeń.

Jolanta Gajda-Zadworna

** Odkrywcy niezwykłych zakątków Polski*

Fot. Wydawnictwo Znak

eprasa.pl d07dcb0daa



SŁODKO-SŁONY

Papaja na upały

ANNA MONICKA

Dobrze jest jeść sezonowo i lokalnie, czyli wybierać owoce i warzywa rosnące u nas i akurat dojrzewające, ale czasem człowieka aż korci, żeby spróbować nowych smaków. Mam tak i ja, zwłaszcza gdy odwiedzam delikatesy z dalekowschodnimi specjałami. Moją uwagę zawsze zwracała papaja, ale dopiero niedawno odważyłam się ją kupić i wypróbować. Impulsem była chrupiąca i soczysta sałatka, którą zjadłam w pewnej tajskiej knajpce w Warszawie – koktajl orzeźwiających smaków: słodkiego, słonego, kwaśnego i ostrego, idealnie skomponowanych i wyważonych, z dodatkiem kolendry i podprażonych niesolonych orzeszków ziemnych. Idealne danie na upały.

Odkąd po raz pierwszy skosztowałam tego smakołyku, zamawiam go przy każdej okazji, nawet jeśli kucharz zastępuje papaję kalarepką (równie dobrą, a swojską i łatwiejszą do zdobycia). Z papają jest ten problem, że akurat do tej sałatki powinna być zielona, twarda i niedojrzała. Dawniej trudniej było taką upolować, lecz teraz, gdy owoc można kupić nawet w sieciówkach, udaje się to znacznie częściej. Kiedy już ją mamy, obieramy ze skórki i kroimy na cieniutkie jak spaghetti paski (najlepiej na mandolinie julienne – warto mieć takie urządzenie do twardych warzyw i owoców), dodajemy tak samo startą marchewkę, mieszamy wiórki, wsypujemy kilka przekrojonych na połówki pomidorków koktajlowych i w moździerzu (tak najlepiej, by uwolnić olejki eteryczne) robimy sos – ucieramy dwa ząbki czosnku z papryczką chili (uwaga na ilość, żeby nie była za ostra), dodajemy łyżeczkę ciemnego cukru, dwie łyżki sosu rybnego (warto mieć buteleczkę w lodówce, bo dodaje głębi nie tylko tajskim daniom, lecz także np. marynacie do mięs, które zamierzamy potem zgrillować), wreszcie – sok limonkowy, najlepiej sporo, bo to on daje ten cudowny, orzeźwiający smak. Mieszając warzywa z sosem, lekko je ugniatamy, by puściły sok. Ja dodaję do sałatki jeszcze kilka ugotowanych krewetek przekrojonych wzdłuż, bo wtedy z powodzeniem zastępuje mi obiad. Na koniec orzeszki i kolendra.

Jeśli macie dojrzałą papaję, też nadaje się na sałatkę, ale nieco inną. Trzeba pokroić ją w kostkę, a sos może być podobny, tylko bez czosnku i z mniejszą ilością chili. Można też dodać pokrojonego ananasa i mango albo krewetki.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Winniczek

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Helix pomatia to łacińska nazwa ślimaka winniczka. Ten wydawałoby się dobrze znany gatunek mięczaka lądowego, spotykany w całym kraju, skrywa wiele tajemnic. Jedną z nich jest występujące u winniczków zjawisko określane jako homing, czyli powracanie w określonych przypadkach z wielką precyzją – co do milimetra – do odpowiadającego mu miejsca.

Spójrzmy również na użyte wyżej określenie „spotykany w całym kraju". Przypuszcza się, że przed wiekami winniczki zamieszkiwały jedynie południową i południowo-wschodnią część dzisiejszej Polski. Później, spożywane jako potrawa postna, zostały stopniowo rozpowszechnione w całym kraju przez zakonników hodujących ślimaki w przyklasztornych ogrodach.

Oczywiście część takich hodowli dziczała i włączała się w miejscowy ekosystem, stając się jego częścią. Co ciekawe, winniczki nie okazały się gatunkiem inwazyjnym, tak jak wiele gatunków przenoszonych przypadkiem lub specjalnie pomiędzy różnymi częściami świata, co dziś jest jednym z najważniejszych zagrożeń dla różnorodności gatunków lokalnych. Winniczki nie zaczęły wypierać gatunków miejscowych i zaburzać równowagi przyrodniczej, a przynajmniej proces ten zaszedł na tyle dawno, że dziś nic nam o nim nie wiadomo.

Z czasem winniczki stały się powszechne w Polsce. Chociaż współcześnie podlegają ochronie gatunkowej, można je zbierać, ale tylko, jeżeli przestrzega się wymiarów oraz okresów ochronnych i przede wszystkim ma się specjalne zezwolenie. Przez dziesiątki lat Polska była dużym eksporterem winniczków.

W ostatnich latach coś się jednak zmieniło. Trudno trafić na zarośla, w których po deszczu trzeba uważać, żeby nie stanąć na winniczka – jak było do niedawna. W wielu miejscach natomiast spotyka się muszlowiska utworzone przez zbielałe, puste muszle ślimaków, które padły w poprzednich sezonach.

Po części tłumaczy się to okresami wysokich temperatur, nieregularnością opadów i suszami, zmniejszaniem się powierzchni nieuporządkowanych, splątanych chaszczy i zarośli. Wydaje się jednak, że musi istnieć jeszcze jakiś czynnik lub czynniki, które w ciągu mniej więcej kilkunastu lat zachwiały liczebnością populacji winniczków. W mojej ocenie jednym z takich czynników może być masowy wzrost populacji obcych, inwazyjnych ślimaków nagich – pomrowa wielkiego i przede wszystkim śliników luzytańskich.

eprasa.pl d07dcb0daa

3 MIŁOŚCI

Insygnia śmierci



ROBERT TEKIELI

Człowiek uzależniony robi rzeczy, których świadomie robić nie chce. W jego życiu toczy się wojna pomiędzy wolą wolną a wolą zniewoloną. Granice wolnej woli najłatwiej poznać za pomocą postu. W tym stanie – braku siły psychicznej – ujawniają się wszystkie nasze słabości.

By od nich uciec, niektórzy prowokują kłótnie, inni sięgają po alkohol, jeszcze inni oglądają pornografię. W każdej z tych sytuacji chodzi o uruchomienie chemii neurotransmiterów i hormonów. Każde uzależnienie rozpoczyna się od powtarzania jakiejś formy ucieczki od cierpienia. Bogate kobiety kradną w sklepach drobne rzeczy, by poczuć adrenalinę. Ludzie wytresowani stresem w korporacjach szukają adrenaliny w sportach ekstremalnych, np. w ekstremalnym bieganiu, które od pewnego poziomu zmęczenia wprawia w stan euforii. Haj biegacza wynika z wydzielania endorfin i endokannabinoidów. Podobnie jak przy hazardzie czy pornografii organizm wytwarza własne narkotyki, endorfiny są jak opiaty. Dlatego tak trudno wyjść z uzależnień behawioralnych. Wrogiem jest bowiem nasz organizm, którego używaliśmy w nieprawidłowy sposób.

O uzależnieniu od alkoholu i narkotyków napisano już chyba wszystko. Dziś parę słów na temat uzależnień duchowych. I nie mówię tutaj o sytuacjach, w których grupa, charyzmatyczny lider lub toksyczne przekonania odbierają człowiekowi autonomię, nakazując bezwzględne posłuszeństwo i izolację od bliskich. Mechanizmy sekt są poznane w stopniu zadowalającym. Myślę o uzależnieniu od złego ducha, o uzależnieniach demonicznych.

Co paradoksalne, najczęściej ujawniają się one dopiero w momencie, w którym człowiek zniewolony zaczyna pragnąć uwolnienia. Cierpienia okultystów próbujących zerwać się ze smyczy są prawdziwe. I potworne. Największym oszustwem jest próba przekonania człowieka przez szatana, że to, co się stało, jest nieodwracalne. Tak było w przypadku Ani.

Zły duch próbował ją zastraszyć, stąd napady paniki, stan opisywany przez nią jako czarna pustka, „rozbicie w okolicach serca", sny na jawie, paraliże, manifestacje demoniczne, oddziaływanie na przedmioty. Chodzi o to, by zniewolony człowiek zaprzestał prób uwolnienia się.

Ania głęboko weszła w uzależnienie duchowe – praktykowała u znanej tarocistki, wiedźmy z 30-letnim stażem. W pewnym momencie w jej historii pojawia się Bóg. Na początku były to zwrócone ku niemu prośby. Wtedy rozpoczął się demoniczny kontratak: zbijające z nóg napady bólu.

Pozbawiony Boga człowiek XXI w. w swej płynącej z pychy naiwności jest skłonny uwierzyć w każdy zabobon. Choćby w moc kamyków zapewniających zdrowie i bezpieczeństwo czy w nadnaturalną moc umysłu. Jest też skłonny uwierzyć w to, że w kartach zapisano przyszłość

Ania wylądowała w szpitalu, jednak okazało się, że lekarze nie są w stanie zdiagnozować przyczyny jej cierpień. Co oczywiste, bo nie miały one żadnej fizycznej przyczyny.

Kiedy po jakimś czasie w domu Ani zaczęły spadać karnisze, stało się jasne, że trwa walka złego na śmierć i życie. Ania trafiła do Kościoła. Aby zakończyć tę historię, potrzeba było pięciu egzorcyzmów.

Pozbawiony Boga człowiek XXI w. w swej płynącej z pychy naiwności jest skłonny uwierzyć w każdy zabobon. Choćby w moc kamyków zapewniających zdrowie i bezpieczeństwo czy w nadnaturalną moc umysłu. Jest też skłonny uwierzyć w to, że w kartach zapisano przyszłość. I na początku praktykowania wróżbiarstwa demonicznego rzeczywistość zdaje się potwierdzać tę moc. Ale to tylko duchowa manipulacja, zwiedzenie. Ustąpienie objawów demonicznego zniewolenia w wyniku modlitwy całkowicie demaskuje zwodziciela. Ludzie niewierzący w istnienie świata duchowego nie są w stanie wytłumaczyć tego fenomenu, więc go wypierają.

W drugim przykładzie uzależnienia, który dziś przytoczę, rola osobowego zła nie jest dla mnie do końca jasna. Spojrzyjmy na fakty.

Po publikacji przez J.K. Rowling ostatniego tomu przygód Harry'ego Pottera fani serii wykazywali objawy zespołu abstynenckiego charakterystycznego dla alkoholików na odwyku. Amerykański psycholog Jeffrey Rudski przebadał 4 tys. miłośników Harry'ego i u 10 proc. zaobserwował m.in. depresję, utratę łaknienia oraz bezsenność.

Lizzie Dowd ma 21 lat i pracuje w agencji badania rynku w Sutton Coldfield. Po zakończeniu przygód Harry'ego Pottera czuje się przybita, całkiem straciła apetyt i w efekcie schudła ponad 6 kg. „Czytając kolejne części, czułam się taka szczęśliwa" – mówi z żalem. „Dlatego po publikacji ostatniego tomu moje życie nie jest już takie samo. To jak koniec związku. Harry stanowił ogromną część mojego życia, a teraz mi go odebrano". „Każdej nocy śnię o lekcjach magii w Hogwarcie. Harry, Ron i Hermiona są tam moimi najlepszymi przyjaciółmi, świetnie się razem bawimy i rozrabiamy" – ciągnie

eprasa.pl d07dcb0daa



Lizzie. „Potem się budzę i dopada mnie rzeczywistość. Często mam łzy w oczach. To rujnuje mój dzień. Całkiem straciłam apetyt. Moja mama dobrze gotuje, ale ja mogę tylko grzebać widelcem w talerzu". „Tak bardzo chciałabym więcej książek o Harrym!" – smuci się ta młoda Brytyjka. „Od ostatniej części moje życie jakby ugrzęzło w miejscu. Nie mogę ruszyć do przodu. Pociesza mnie tylko możliwość ponownego przeczytania całej serii, ale to nie wystarcza. Błagam, żeby pani Rowling napisała coś jeszcze. Tylko w ten sposób mogę odzyskać dobre samopoczucie".

27-letni Jamie Knights z Bristolu pracuje w biurze. Cierpi na bezsenność. Jego związek z dziewczyną, a także relacje ze znajomymi pogarszają się. „Nigdy nie odczuwałem większego smutku niż wtedy, gdy zamykałem ostatni, siódmy tom" – mówi. „Nie mogłem wprost uwierzyć, że to koniec. To wypłynęło na całe moje życie, zupełnie jakby umarł ktoś bliski. Stałem się zrzędliwy, często kłócę się z moją dziewczyną. Od paru miesięcy mam też kłopoty ze snem. Nie mogę zasnąć, bo wciąż myślę o bohaterach powieści". „Tyle rzeczy zostało niedopowiedzianych. Harry tyle jeszcze może zrobić" – twierdzi Jamie. „Kiedy zasypiam, zawsze śnię o tym, co dzieje się po zakończeniu akcji »Insygniów śmierci«. Sny są tak realne, że zacząłem nawet sam pisać ósmy tom. W pracy bywam rozkojarzony, marzę tylko o tym, by wziąć do ręki książkę o Harrym. Któraś z części zawsze leży w szufladzie mojego biurka i w przerwie na lunch czytam rozdział lub dwa. Moja dziewczyna twierdzi, że kocham Harry'ego bardziej niż ją. To oczywiście nieprawda, ale faktem jest, że on plasuje się tuż za nią".

Lindsay Plant, 17-letnia uczennica z Essex, czuje się rozdrażniona, straciła apetyt. Cierpi na wahania nastrojów nieadekwatne do bodźca. W jej przypadku odejście młodego czarodzieja odbiło się negatywnie na całej rodzinie. „Czytałam przygody Harry'ego już jako siedmiolatka, więc po zakończeniu ostatniego tomu czułam się załamana i płakałam. Nie mogłam uwierzyć, że to już koniec. Przez wiele kolejnych dni obiad stawał mi w gardle. Teraz życie wydaje się jakieś dziwne. Dawniej zawsze miałam na co czekać: w planach zawsze była następna część. Teraz patrzę w przyszłość i nie widzę tam nic: tylko zwyczajne życie". „Jestem przez to bardzo zdołowana" – ciągnie Lindsay. „Przeczytałam raz jeszcze wszystkie tomy, ponieważ tak bardzo tęskniłam za bohaterami. Ale to już nie było to samo, co za pierwszym razem". „Wiem, że cierpię na syndrom odstawienia. Doskonale też zdaję sobie sprawę, że seria o Potterze to fikcja, ale ja zaangażowałam się w nią emocjonalnie. Mój chłopak nie zalicza się do potteromaniaków, więc nie rozumie, dlaczego jestem taka smutna. Tymczasem tę stratę odczuła cała moja rodzina – wszyscy mamy lekką obsesję na punkcie książek J.K. Rowling".

Uzależnienie od treści książki? Niezwykłe. Oczywiście, indukowane przez nieznane wcześniej w tej branży działania marketingowe. Ale i tak wszystko to wydaje mi się nierozpoznaną dotąd formą zbiorowego szaleństwa.

Przykład trzeci. Ewa nie miała łatwo w domu: nadopiekuńcza matka, nieobecny emocjonalnie ojciec. W wieku lat 12 zaczęła słuchać gotyckiej muzyki. Ubierać się na czarno oraz, jak sama mówi, „bawić się" w rzucanie przekleństw. Po jakimś czasie trafiła do subkulturowej grupy gotyckiej. Spotkała tam ludzi o wiele mocniej zaangażowanych w tę ideologię i duchowość. Po jakimś czasie jako 15-latka związała się z dużo starszym mężczyzną. Uzależniła się od tej relacji. Równolegle zaczęła uczestniczyć w „wampirycznych" rytuałach grupy, związanych z piciem nawzajem swej krwi. Uczestniczyła w festiwalach gotyckich, właściwie we wszystkich aktywnościach tej subkultury. Cały czas towarzyszył jej lęk, wpadała też w coraz większą depresję. Wreszcie podjęła praktyki magiczne, które wcześniej oceniała jako zbyt groźne i uzależniła się od związanych z nimi stanów emocjonalnych. W pewnym momencie przestraszyła się własnego wnętrza. Zaczęła uczestniczyć w psychoterapii. Mocno cierpi. Powoli otwiera się na świadomość, że jej problemy są problemami duchowymi. Trudno jej w to uwierzyć, gdyż całe swoje zaangażowanie w gotyk uznawała, a może nawet dalej uznaje za zabawę.

Nie tylko jej trudno uwierzyć w uzależnienie się od muzyki.

Tyle o uzależnieniach duchowych. Choć może jeszcze dygresja: jednym z najbardziej frapujących i całkowicie nierozpoznanych fenomenów jest uzależnienie duchowe w wyniku długotrwałego trwania w grzechu ciężkim. Nie w wyniku inicjacji w świat demoniczny czy praktykowania technik transowych (hipnoza, medytacje naturalistyczne). Seryjna monogamia, powtarzany co dwa, trzy tygodnie schemat kompulsywnych zauroczeń, trwający dekady alkoholizm lub narkomania (heroina i psychodeliki) – w konsekwencji takich zachowań powstaje zniewolenie somatyczne, przekształcające się w zniewolenie duchowe, a potem w pewnym momencie pojawia się zły duch... W przypadku okultyzmu to oczywiste, ale długotrwały grzech, muzyka czy książki?

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d07dcb0daa

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Zełenski wódz

Kalendarz historyczny przypomina wydarzenie sprzed 80 lat. W 1946 r. w Londynie odbyła się zwycięska defilada aliantów – wszystkich z wyjątkiem przedstawicieli Polski. Kraju, który zmobilizował czwartą pod względem liczebności armię walczącą z Niemcami na wszystkich frontach II wojny światowej. Znamy wiele historycznych świadectw polskich żołnierzy więcej niż upokorzonych zachowaniem Wielkiej Brytanii wobec swojego najwierniejszego alianta. Ale wtedy prowadzono już politykę uległości wobec Stalina, a sprawa oddania Polski pod sowiecki zarząd była przesądzona. Ta bolesna lekcja historii przypomina, że w polityce nie ma sentymentów i wiernych przyjaciół. Dopiero w 2003 r. premier Wielkiej Brytanii Tony Blair przeprosił Polaków, a dwa lata później nieliczni weterani mogli się pojawić w rocznicę historycznej defilady, na której zabrakło Polaków, a dumnie maszerowały nawet brytyjskie wojska kolonialne z Fidżi.

Ten haniebny akt zdrady należy wzbogacić o inny fakt, przemilczany, bo niewygodny. Hitlerowskie Niemcy, wywołując wojnę w celu „budowy" wielkiej niemieckiej Europy, nie podbijały jej same. Wraz z nimi walczyli obywatele z ponad 15 państw. W składzie elitarnych dywizji Waffen SS znaleźli się ochotnicy z Łotwy (80 tys.), Holandii (50 tys.), Belgii (40 tys.), Ukrainy (27 tys.), Francji (20 tys.), Węgier (20 tys.), Włoch (15 tys.), Litwy (11 tys.), Rosji (10 tys.), Norwegii (6 tys.), Danii (6 tys.), Serbii (4 tys.), Estonii (3 tys.), Finlandii (1,2 tys.). Tylko Polska nie poszła na kolaborację. Polscy tzw. rewizjoniści historii będą jednak uporczywie wymieniać jedno nazwisko – Władysław Gizbert-Studnicki, który w 1939 r. napisał do władz III Rzeszy „Memoriał w sprawie odtworzenia Armii Polskiej i w sprawie nadchodzącej wojny niemiecko-sowieckiej". Wyjechał z nim do Berlina i został aresztowany przez gestapo. Zwolniono go po klęsce Francji, ale wkrótce trafił na Pawiak. Studnicki był twardym realistą, przeciwnikiem linii politycznej, naiwnie uznającej Sowiety za „sojusznika naszych sojuszników". Dobrze zasłużył się Polsce – potrafił wyciągać Polaków z niemieckich katowni, a na emigracji głosił potrzebę walki z komunistyczną przemocą.

Wspominając tamtą zdradę Zachodu wobec Polski i kolaborację z Hitlerem aż tylu ówczesnych Europejczyków, trzeba realistycznie patrzeć na obecne stosunki polsko-ukraińskie. Nadanie przez prezydenta Zełenskiego imienia UPA jednej z wojskowych jednostek to akt wrogi wobec Polski i nie powinien się skończyć tylko odebraniem Orderu Orła Białego, jak dziś widać, naiwnie wręczonego Zełenskiemu przez prezydenta Andrzeja Dudę. Honorując UPA, ukraiński prezydent zrobił to świadomie, znając już historię ludobójstwa OUN-UPA na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

Z informacjami o bestialskim wymordowaniu ponad 100 tys. polskiej ludności na Kresach Wschodnich II RP przez OUN-UPA zapoznał się podczas pobytu w Polsce. I wiedział, że ofiarami UPA padło również kilkadziesiąt tysięcy rodaków – Ukraińców. A czy wiedział, czym była ideologia, z której wyrosła frakcja OUN-UPA? Tego, jeśli chodzi o byłego aktora, satyryka, prezentera telewizyjnego, szefa partii Sługa Narodu, która wyniosła go na urząd prezydenta, nie można być pewnym. Urodził się w 1978 r. w Krzywym Rogu w Związku Radzieckim i o UPA z pewnością słyszał to, czego go uczono. Jak zaciekle walczyła z Sowietami w czasie wojny i po jej zakończeniu, ale, jak sam przyznał, nic wtedy nie słyszał o aktach wrogich wobec Polaków.

Zełenski studiował też prawo. Czy nie zetknął się z ideologią faszyzmu, rasizmu jako siły motorycznej nacji, teorią darwinizmu społecznego? Bo o bolszewizmie pewnie go nie uczono, a to także odmiana totalitaryzmu. To wszystko – faszyzm, rasizm, bolszewizm, fanatyzm, nienawiść, bezwzględność – reprezentował ukraiński nacjonalizm, którego zbrojnym ramieniem była uhonorowana przez niego UPA. Czy Zełenski już jako prezydent Ukrainy zetknął się z pismami twórców ukraińskiego nacjonalizmu? Czy wie, kim był główny ideolog OUN-UPA Dmytro Doncow? Czy zna jego słowa: „Przemoc to jedyny sposób będący w dyspozycji narodów, zbydlęciałych przez humanizm, aby wrócić do swej dawnej zawziętości"? Albo inną myśl Doncowa o strukturze nacji: „Tłum, elita, wódz". Czy Zełenski wiedział, że nacjonaliści ukraińscy sformowali w ramach Wehrmachtu batalion pod dowództwem szefa OUN Romana Suszki, który brał udział w agresji Niemiec na Polskę? Czy wiedział, że Ukraińcy spod znaku swastyki byli też okrutnymi mordercami ludności Warszawy w czasie powstania warszawskiego?



Ukraina Zełenskiego straciła szansę odcięcia się od UPA, odpowiedzialnej za zbrodnie ludobójstwa na polskiej ludności cywilnej zamieszkałej na własnym, polskim terytorium, choć pod niemiecką okupacją. Nie da się patrzeć na działalność UPA z dwóch różnych perspektyw – polskiej i ukraińskiej, co sugeruje szef Związku Ukraińców w Polsce Mirosław Skórka. Nie da się też zaakceptować tłumaczenia MSZ Ukrainy, że decyzja Zełenskiego nie była antypolska. Zełenski zachował się jak wódz (według Doncowa), gardząc swoim narodem, odmawiając mu prawa do prawdy.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Jak to z Orłem Białym bywało



Andrzej Rafał Potocki

Po decyzji prezydenta Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu nazwy Bohaterów UPA Samodzielnemu Centrum Operacji Specjalnych „Północ" nie jest ani łatwo, ani lekko pisać naszą rubrykę. Tym bardziej pamiętając, że w czasie II wojny światowej UPA zabiła 7–8 tys. Sowietów i ponad 100 tys. Polaków. Za horyzont oddala się więc ta doza sympatii dla walczącego narodu ukraińskiego, która unosiła się nad naszymi tekstami. Trudno. Z tym też się trzeba zmierzyć, ale bynajmniej nie w wazeliniarskim stylu posła i przewodniczącego sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych Pawła Kowala. Ale *ad rem*. W ramach odpowiedzi na skandaliczne posunięcie Zełenskiego prezydent RP chciałby odpowiedzieć zabraniem mu Orderu Orła Białego, nadanego przez swego poprzednika na urzędzie – Andrzeja Dudę. Decyzja należy jednak do Kapituły Orderu, która zbierze się już w poniedziałek 8 czerwca. Jej kanclerz, prof. Michał Kleiber, powiedział krótko: „Uważam, że należy ten order odebrać Zełenskiemu".

Rodzi się pytanie, dlaczego żaden rząd wcześniej nie reagował, kiedy nadawano nazwy ukraińskim jednostkom. I tak 131. Samodzielny Batalion Rozpoznawczy od 2023 r. nosi honorową nazwę imienia Jewhena Konowalca, założyciela UWO i OUN, dla których Polska była okupantem ziem ukraińskich i głównym wrogiem. Pod jego kierownictwem OUN przeprowadzała zamachy terrorystyczne, w szczególności przeciwko polskim urzędnikom. W 2025 r. patronem 31. Samodzielnej Brygady Zmechanizowanej Sił Lądowych został Leonid Stupnicki, szef sztabu UPA-Północ. 30 stycznia br. 190. Centrum Szkoleniowe Wojsk Systemów Bezzałogowych otrzymało honorową nazwę imienia nie byle kogo, a samego Wasyla Kuka, głównego dowódcy UPA! Te trzy ostatnie nazwy nadał ten sam prezydent Ukrainy, który obecnie według niektórych polskich polityków powinien zostać pozbawiony polskiego odznaczenia. I jest to ten sam prezydent Zełenski, który wcześniej, w 2022 r., nadał tytuł Bohatera Ukrainy Myrosławowi Symczyczowi, weteranowi UPA. No, ale widać, że dzbanowi ucho wreszcie się urwało.

Prujących się o Order Orła Białego dla Benita Mussoliniego uprzejmie informujemy, że:

- włoski faszyzm nie był ludobójczy w większym stopniu niż wszystkie ówczesne państwa europejskie – Niemcy i ich sojusznicy z ZSRS i UPA;
- Mussolini nigdy nie wydał rozkazu wymordowania i spalenia polskich wsi;
- Włochy Mussoliniego nie poparły niemieckiej napaści na Polskę (ukraińscy nacjonaliści czynnie ją wspierali), a potem przez kilka miesięcy próbowały doprowadzić do konferencji pokojowej;
- dzięki pomocy Włoch, a prywatnie zięcia Mussoliniego i szefa tamtejszego MSZ hrabiego Ciano, polscy żołnierze mogli się przedostać do Francji. Polski order jak najbardziej mu się zatem należy.

Powstaje zasadnicze pytanie, dlaczego „krawaciarze" w Kijowie nie chcą uhonorować sojusznika Polski w wojnie z kacapską bolszewią – atamana Semena Petlury. Gdyby wtedy czerń ukraińska poparła go masowo, to prawdopodobnie cała Ukraina w dzisiejszych granicach na wschodzie i południu byłaby niepodległa już w 1920 r. I w końcu postać Pawła Feofanowycza Szandruka. Walczył z bolszewią po polskiej stronie jako dowódca brygady, która razem z wojskami polskimi atakowała Kijów, a następnie bronił Galicji. Brygada Szandruka zakończyła działania wojenne w 1920 r. zdobyciem Mohylowa i Szarogrodu. W okresie międzywojennym został oficerem kontraktowym w Wojsku Polskim w stopniu pułkownika. We wrześniu 1939 r. mianowano go szefem sztabu 29. Brygady Piechoty. W bitwie pod Tomaszowem Lubelskim uratował brygadę przed zagładą, gdy dostała się w pułapkę. Ciężko ranny, zakwalifikowany przez polskich lekarzy jako przypadek beznadziejny, został zwolniony z niewoli niemieckiej i oddany pod opiekę brata, po czym wywieziony do Łodzi na rekonwalescencję. W marcu 1945 r. zgodził się przyjąć funkcję przewodniczącego Ukraińskiego Komitetu Narodowego i dowódcy Ukraińskiej Armii Narodowej. Jako głównodowodzący UAN przejął osobiste dowodzenie nad 14. Dywizją Grenadierów SS „Galizien", wydobywając ją spod komendy niemieckiej. Szandruk wycofał jednostkę na Zachód, kapitulując przed aliantami zachodnimi. Dzięki wstawiennictwu gen. Andersa nie wydano go Sowietom. Zarządzeniem prezydenta RP na uchodźstwie Augusta Zaleskiego 17 marca 1961 r. ppłk dypl. Pawło Szandruk został odznaczony Srebrnym Krzyżem Orderu Virtuti Militari „za wybitne czyny bojowe osobistego męstwa wykazane na polu walki".

Prezes Związku Ukraińców w Polsce powiedział ostatnio, że „jeśli Nawrocki odbierze order, to Zełenski już nigdy nie będzie chciał przyjechać do Polski". Nie wiem, jak państwo, ale mnie jakoś nie zrobiło się przykro z tego powodu.

Współpraca: „Skipper", Paweł Rożdżestwieński

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d07dcb0daa

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Zapomniane słowo



Aleksander Nalaskowski

Są słowa, które w debacie publicznej padają nader łatwo. Są też takie, które przez lata nabrały ciężaru i adekwatności. „Kanalia" należy właśnie do tej drugiej kategorii. To nie jest zwykła obelga rzucana w internetowej sprzeczce. To określenie człowieka pozbawionego kręgosłupa moralnego, który dla własnej korzyści gotów jest zrobić wszystko, nawet jeśli ceną będzie rozpad wspólnoty, kłamstwo podniesione do rangi strategii i cyniczne żerowanie na ludzkim strachu.

Problem polega na tym, że polityka od dawna przyciąga ludzi, którzy doskonale odnajdują się w takim świecie. Nie dlatego, że każdy polityk jest zły. Wręcz przeciwnie, wielu ludzi angażuje się publicznie z autentycznej potrzeby działania i chęci poprawy rzeczywistości. Ale polityczne kanalie mają nad nimi jedną przewagę: nie znają ograniczeń. Człowiek przyzwoity czasem zawaha się przed manipulacją, nie wykorzysta czyjegoś dramatu, nie sprzeda poglądów za stanowisko. Kanalia polityczna nie ma takich oporów.

Współczesna polityka coraz bardziej przypomina widowisko, w którym liczy się nie prawda, lecz skuteczność. Wygrywa ten, kto głośniej krzyczy, sprawniej obraża i nade wszystko szybciej stworzy sobie wroga. Polityczne kanalie zrozumiały to dawno temu. Wiedzą, że gniew jest bardziej mobilizujący niż rozsądek, a strach daje większą władzę niż spokój. Dlatego karmią społeczeństwo nieustannym konfliktem. Tak działają Tusk i Giertych – mistrzowie w swoich rolach. Tak działają celebryci i aktorzy, chętnie opowiadający się po rządowej stronie polityki. Napędem jest tu nienawiść.

Polityczne kanalie szczególnie dobrze czują się w czasach kryzysu. Pandemia, wojna, inflacja czy katastrofa gospodarcza stają się dla nich okazją do budowania własnej pozycji. Gdy zwykli ludzie martwią się o zdrowie, pracę i przyszłość dzieci, oni kalkulują sondaże. Każdy dramat można przecież przekuć w polityczny kapitał. Każdą tragedię wykorzystać do budowania narracji. Każde ludzkie nieszczęście zamienić w konferencję prasową.

Nie mniej groźna jest ich hipokryzja. Polityczne kanalie uwielbiają mówić o patriotyzmie, moralności i wartościach. Robią to jednak wyłącznie wtedy, gdy przynosi im to korzyść. Potrafią rano wygłaszać płomienne przemówienia o uczciwości, a wieczorem załatwiać posady w spółkach Skarbu Państwa znajomym i rodzinie. Wypisz wymaluj PSL.

Kanaliostwo jest dobrze widoczne w mediach społecznościowych. Dawniej polityk musiał przynajmniej zachowywać pozory powagi. Dziś wielu z nich funkcjonuje jak internetowi prowokatorzy. Liczy się viral, zasięg i liczba udostępnień. Im bardziej prymitywny przekaz, tym większa szansa na sukces. Polityczna kanalia nie potrzebuje argumentów – potrzebuje chwytliwego hasła i dobrze wycelowanej pogardy.

Największym sukcesem politycznych kanalii jest przekonanie społeczeństwa, że cynizm to realizm. Że uczciwość jest naiwnością, a przyzwoitość – oznaką słabości. Tymczasem historia pokazuje coś odwrotnego. Państwa rozpadały się nie dlatego, że było w nich zbyt wielu uczciwych ludzi, lecz z tego powodu, że zbyt długo pozwalały cynikom przejmować kontrolę nad instytucjami.

Nie oznacza to jednak, że odpowiedzią powinien być równie brutalny język i jeszcze większa nienawiść. Problem polega na tym, że polityczne kanalie świetnie czują się w chaosie. Kiedy debata publiczna zamienia się w nieustanną awanturę, granice przyzwoitości przesuwają się coraz dalej. To, co kiedyś było skandalem, dziś staje się normą. Kanalie uwielbiają taplanie się w błocie, którym na dodatek można kogoś obrzucić.

Dlatego prawdziwym wyzwaniem nie jest tylko odsunięcie od władzy konkretnych ludzi, lecz także odbudowanie standardów życia publicznego. Obywatele muszą zacząć wymagać więcej niż efektownych przemówień i medialnych sztuczek. Potrzebna jest pamięć polityczna – umiejętność rozliczania obietnic, patrzenia na czyny zamiast na słowa i odróżniania lidera od zwykłego manipulatora.

Polityczne kanalie istnieją w każdym kraju i w każdej epoce. Zmieniają barwy partyjne, hasła i symbole, ale mechanizm pozostaje ten sam: zdobyć władzę za wszelką cenę i utrzymać ją poprzez konflikt. Nigdy nie budują wspólnoty, bo wspólnota wymaga odpowiedzialności. Łatwiej jest rządzić społeczeństwem przestraszonym i skłóconym.

Być może największym paradoksem demokracji jest to, że daje ona wolność również ludziom, którzy tę wolność chętnie ograniczyliby innym. Ale ta alternatywa jest znacznie gorsza. Dlatego jedyną skuteczną obroną przed politycznymi kanaliami pozostaje świadome społeczeństwo – takie, które nie daje się kupić prostym sloganom i nie traktuje polityki jak meczu nienawidzących się plemion.

Bo kiedy polityczna kanalia przestaje być wyjątkiem, a staje się normą, wtedy państwo zaczyna przypominać teatr cynizmu. Instytucje tracą autorytet, obywatele tracą zaufanie, a wspólnota rozpada się na wrogie obozy. Jak ufać najwyższym gremiom, gdy zasiadają w nich takie indywidua jak Grodzki czy Gawłowski?

W takim świecie nie ma już miejsca na debatę, kompromis i odpowiedzialność. Jest tylko walka o władzę. Właśnie w takiej Polsce żyjemy. A społeczeństwo, które przyzwyczai się do politycznych kanalii, wcześniej czy później samo zapłaci za to najwyższą cenę i jak zwykle niczego się nie nauczy.

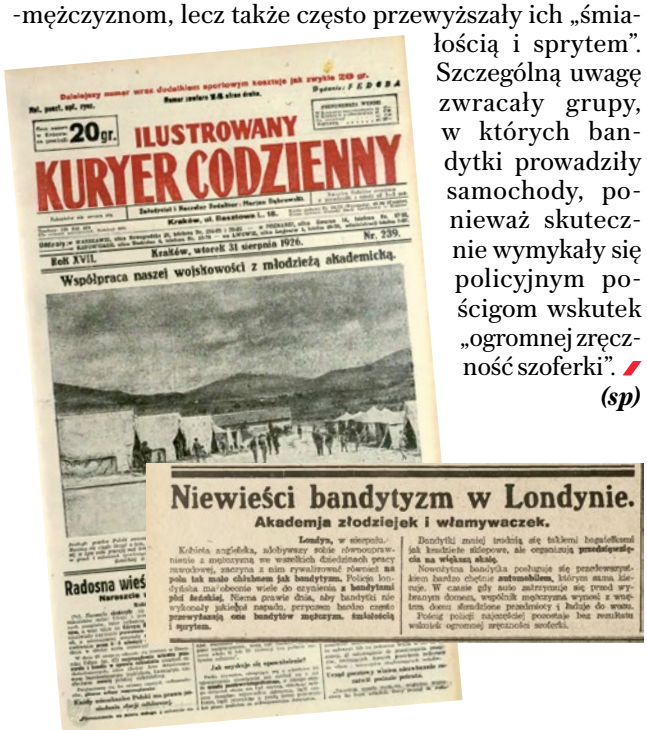
eprasa.pl d07dcb0daa

Michał Korsun prezentuje: „Spacery dendrologiczne z Cienkowską" za 1,7 mln zł



Wycinki z przeszłości

W 1926 r. „Ilustrowany Kuryer Codzienny" alarmował o rosnącym „niewieścim bandytyzmie" w Londynie. Według gazety w efekcie równouprawnienia kobiety nie tylko dorównywały przestępcom-mężczyznom, lecz także często przewyższały ich „śmiałością i sprytem". Szczególną uwagę zwracały grupy, w których bandytki prowadziły samochody, ponieważ skutecznie wymykały się policyjnym pościgom wskutek „ogromnej zręczność szoferki". ***(sp)***


20 gr. ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY

Kraków, wtorek 31 sierpnia 1926. Nr. 239.

Współpraca naszej wojskowości z młodzieżą akademicką.

Radosna wieś

Niewieści bandytyzm w Londynie.

Akademja złodziejek i włamywaczek.

Londyn, w sierpniu.

Kobieta angielska, zdobywszy sobie równouprawnienie z mężczyzną we wszelkich dziedzinach pracy zawodowej, zaczyna z nim rywalizować również na polu tak mało chlubnem jak bandytyzm. Policja londyńska ma obecnie wiele do czynienia z bandytami płci żeńskiej. Niema prawie dnia, aby bandyci nie wykonali jakiegoś napadu, przyczem bardzo często przewyższają one bandytów mężczyzn. Śmiałością i sprytem.

Bandytki mniej trudnią się kradzieżami bagażowemi jak kradzieże sklepowe, ale organizują przedsiębiorstwa na większą skalę.

Nowsza bandytka posługuje się przedewszystkiem bardzo chętnie automobilem, którym sama kieruje. W czasie gdy auto zatrzymuje się przed wybranym domem, wspólnik mężczyzna wynosi z wnętrza domu sfendlone przedmioty i ładuje do wozu. Policaj pojęć najmędrzej pozostaje bez rezultatu wobec ogromnej zręczności szoferki.

Z WOLEJA

Zadymy we Francji i serce Mai



Ryszard Czarnecki

Angielskim klubom nie udało się skompletować wyjątkowego w historii Albionu hat tricka, czyli triumfów w trzech europejskich pucharach piłkarskich. Wygrała jedna drużyna z Birmingham (Aston Villa) i jedna z Londynu (Crystal Palace), ale w najważniejszych rozgrywkach, czyli Lidze Mistrzów, przegrała druga drużyna z Londynu (Arsenal). Trzy finały, sześć klubów, cztery kraje: trzy z „ojczyzny futbolu", czyli Anglii, po jednej z Hiszpanii, Niemiec i Francji. To ostatnie państwo po raz drugi z rzędu cieszy się z wiktorii swojego klubu w Champions League. Paris Saint-Germain (PSG) obroniło tytuł, choć w finale przegrywało.

Właścicielem klubu jest krezus z Kataru, a w jego loży spotkałem niegdyś – tuż pode mną, po skosie w rzędzie poniżej, Nicolasa Sarkozy'ego. To nie dziwi, bo przecież miał się on przyczynić do tego, aby państwo szejków zdobyło w „interesujących okolicznościach przyrody" organizację Mundialu 2022. W jeszcze dziwniejszych okolicznościach cztery lata wcześniej organizację mistrzostw świata zdobyła Rosja. Od brudów wróćmy jednak do prawdziwego futbolu.

Francja cieszyła się z wygrania finału LM w Budapeszcie tak bardzo, że jej młodzi obywatele, często synowie i dzieci imigrantów, tradycyjnie spalili setki samochodów i z zapałem tłukli policjantów. Ciekawe, że nie tylko w Paryżu, lecz także w Lyonie. Co prawda tamtejszy Olympique europucharów nie zawojował, ale przecież każdy pretekst do rozróby jest dobry.

To, że finał najważniejszego piłkarskiego pucharu na Starym Kontynencie odbył się w Budapeszcie, jest zasługą fanatyka sportu, który sam kopał piłkę – Viktora Orbána. Na meczu finałowym jednak go nie było, pojawił się za to Péter Magyar – gość, który palcem w tej sprawie nie kiwnął i w ogóle nie zrobił nic, jeśli chodzi o sponsorowanie sportu na Węgrzech i poza jego granicami, gdzie kluby sportowe były instrumentem wspierania węgierskiej mniejszości i jej narodowej dumy.

Było mi obojętne, kto wygra LM – w żadnym z klubów finalistów nie grali Polacy. Wcześniej puchar zdobył reprezentant naszego kraju o nazwisku Cash, a w finale drugiego drużyna Brazylijczyka polskiego pochodzenia, który może zagrać w reprezentacji Polski – Alemão Zurawskiego – niestety przegrała.

Polscy kibice i tak skupili się w ostatnich dniach na dopingowaniu naszej tenisistki Mai Chwalińskiej, która ma 164 cm wzrostu, za to serce do walki chyba większe niż piłkarska reprezentacja kraju, o której wyniku meczu z Ukrainą nie wspomnę. Dlaczego? Bo mam serce tak dobre, jak Chwalińska wielkie...

eprasa.pl d07dcb0daa

OD A DO ZYBERTOWICZA

Zamiast odwiecznego porządku

Zaczynam od fragmentu wiersza Czesława Miłosza „Co mnie”.

„[...] będą dalej wschody
i zachody słońca,
śnieg na górach, krokusy,
i ludzkość ze swoimi kotami i psami?
Co nam do tego,
Że w wielkim trzęsieniu ziemi część
północnej Kalifornii
zapadnie się w morze,
Że rozważana będzie legalność
małżeństw z komputerami,
Że powstanie cybernetyczne cesarstwo
planetarne,
Że w roku 3000 uroczyście będzie
celebrowane w Rzymie
wstępowanie w czwarte milenium
chrześcijaństwa?”.

„Jakże autor się mylił” – myślę sobie. Obserwując uważnie postępy AI w ostatnich latach, boleśnie nieaktualne wydaje się dziś przesłanie utworu wydanego w 2006 r. w tomie „Wiersze ostatnie” (dwa lata po śmierci poety).

JEDNOSTKA ODCHODZI, ŚWIAT TRWA

Słowa Miłosza są zwykle czytane jako znak pogodzenia się z losem, przyznania, że dawne, codzienne zmartwienia tracą na znaczeniu wobec majestatu wieczności.

Poeta wiele trafnie przepowiedział, bo dziś już słyszymy, że ktoś domaga się poślubienia swego ukochanego modelu AI. A wśród technoentuzjastów nie brak takich, którzy ufają, że dzięki AI ludzkość będzie zdolna do podboju całej galaktyki...

Jednak mało kto zauważa, że gdyby ten podbój galaktyki miał w ogóle nastąpić, dokona go już nie ludzkość, lecz jakieś istoty hybrydowe, postczłowiecze. Czy po takim „podboju” cokolwiek będzie jeszcze przypominało obecną galaktykę?

ZMIANA TŁA

Czuję, że Miłosz – poeta o wielkiej wyobraźni – nie dotarł swą myślą dostatecznie głęboko.



Miłoszowska pociecha przestaje działać. Może nie być świata, który trwa mimo naszej śmierci czy naszych szaleństw

A jeśli przyroda – wschody i zachody słońca, śnieg na górach, krokusy – przestanie być obojętnym, niezmiennym tłem? Nie dlatego, że umrze nawet największy noblista, lecz z tego powodu, że AI, jeszcze zanim zbuduje cybernetyczne cesarstwo planetarne, tak głęboko wstrząśnie starym porządkiem, iż nawet rytm słońca i pór roku zostanie rozbity. A to znaczy, że odwieczność Rzymu także nie przetrwa.

INNY PUNKT CIĘŻKOŚCI

Czy już nie pora, by punkt ciężkości przesunąć z przemijania jednostki na przemijanie samego tła życia, czyli głębokiego kontekstu naszego istnienia?

Czas na inną diagnozę. To nie tak – jednostka odchodzi, a porządek świata trwa; odejść może także sam porządek. Czyli wszystko, co potrafimy uchwycić i rozpoznać, traci grunt.

Ta pociecha płynąca z trwałości natury zostaje dziś nadwątlona. Traci aktualność. Nie dlatego, że człowiek tak urósł, lecz z tego powodu, że technologia nas wyprzedziła. Technologiczna zmiana może sięgać warstw głębszych niż ludzkie sprawy: samej kosmicznej regularności ruchu planet i galaktyk, która dotąd wydawała się zupełnie poza zasięgiem historii.

Miłosz mówi z wielkim, tragicznym spokojem: po mnie (po nas) świat i tak będzie trwał w swoim odwiecznym porządku – przyroda będzie odnawiać swoje cykle, ludzkość ewoluować, nawet jeśli pojawią się rzeczy zupełnie niebywałe (małżeństwa z komputerami, cybernetyczne cesarstwo). To wszystko będzie już obojętne dla odchodzących.

Odpowiadam: może już nie być żadnego „odwiecznego porządku”. To, co nadchodzi wraz z kolejnymi generacjami AI, nie będzie „kolejnym rozdziałem” historii ludzkości ani nawet radykalną, ale wciąż rozpoznawalną zmianą cywilizacyjną. To będzie zerwanie ciągłości bytu.

Miłoszowska pociecha przestaje działać. Może nie być świata, który trwa mimo naszej śmierci czy naszych szaleństw. Czy będzie rzeczywistość, która przestanie być światem w jakimkolwiek dającym się nam ogarnąć znaczeniu?

CHYBA ŻE...

Chyba że to, co dotąd uchodziło za bezsilność – ludzka zdolność, by powiedzieć „dość”, by nie zrobić tego, co zrobić można – okaże się ostatnią naprawdę nieprzewidywalną rzeczą.

Nie obiecuję, że wschody i zachody przetrwają. Mówię jedynie, że zerwanie ciągłości bytu nie jest jeszcze faktem. Jest propozycją, którą wciąż wolno odrzucić. Odwieczny porządek nas nie ocali. Może ocalić nas to, że jeszcze nie powiedzieliśmy „tak” dla nieposkromionego rozwoju AI.

Czy ta zdolność do odmowy może pochodzić od ukrytej w nas iskry Bożej?

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl d07dcb0daa

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl d07dcb0daa

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl d07dcb0daa